

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

www.slaskgtl.pl

Nr 12 (289) • ROK XXVI • GRUDZIEŃ 2019



ŚWIĄTECZNY
CZAS

ISSN 1425-3719



9 771425 391707

*Wszystkim Czytelnikom miesięcznika „Śląsk”,
członkom Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego,
twórcom i animatorom kultury,
naszym Przyjaciółom i Współpracownikom –
Redakcja „Śląska” wraz z Zarządem GTL-u życzą wielu radosnych,
świętecznych i przyjaznych wzruszeń oraz licznych spotkań
z najbliższymi, a także mnóstwa pięknych, szczęśliwych dni
w Nowym Roku 2020.*

fot. Agnieszka Zielińska



Prawdziwą postać św. Mikołaja, na którym luźno opiera się jedna z ikon popkultury, przybliżyła Kościół w Targoszycach na terenie gminy Mierzęcice. W 2012 roku w parafii miała miejsce peregrynacja obrazu Jezusa Ufam Tobie, a co roku, z okazji Święta Niepodległości ma tu miejsce msza św. Za Ojczyznę, natomiast na błoniach kościoła św. Mikołaja, co roku odbywają dożynki.

Szczegóły str. 9

fot. Dariusz Pietrucha



Pasjonaci fortyfikacji coraz częściej odwiedzają Piekary Śląskie ze względu na unikatowy obiekt bojowy, wchodzący w skład umocnień Obszaru Warownego „Śląsk”. Schron ten, choć przystosowany do walki, w celach maskujących „udawał” budynek mieszkalny. Przetrwiał do dziś i znajduje się przy ul. Długosza.

Szczegóły str. 52

fot. Irek Dorotański



Na stronie facebook.com/minonslask/ znajdziemy informacje o japońskim tournée Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, m.in.: 約1カ月にわたり、行ってきたシロンスクの全国公演が昨日、中野サンプラザホールの公演をもって終了いたしましたポーランド文化を知ることができる素晴らしい公演になりましたお越し頂いた皆様、応援してくださいました皆様、本当にありがとうございました!! Jeżeli nawet niektóre znaki wydrukują się trochę niewyraźnie, to dwa końcowe wykrzykniki mówią wszystko

Szczegóły str. 88.

Nr 12(289). Rok XXVI. GRUDZIEŃ 2019

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

ANNA GAUDY-PIĄTEK Korekta

Stali współpracownicy:
EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
WOJCIECH LIPOWSKI
JULIA MONTEWSKA
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
DARIUSZ PIETRUCHA
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
JOANNA WAROŃSKA
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

ADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.pl

DTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp. j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGZ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Egzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1800 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4 *Ks. Henryk Pyka* ZDUMIENIE WYPEŁNIAJĄCE DUSZĘ
6 *Piotr Skowronek* TAKI POMNIK SIĘ NIE ZDARZA. ROZMOWA Z IWONĄ JANTON
9 *Agnieszka Zielińska* MIKOŁAJ – NAJBARDZIEJ LUBIANY ŚWIĘTY WSCHODU I ZACHODU
10 *Martyna Kleszcz* UTRACONE RAJE KURACJUSZY
14 *Marian Kisiel* SKAMANDER PŁYNIE PRZEZ ŚLĄSK
28 *Grzegorz Grzeskowiak* RYS HISTORYCZNY POLICJI WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO 1922–1939
32 *Tadeusz Sierny* TUTAJ ZNALAZŁEM SWÓJ... SZYB MACIEJ. ROZMOWA Z DR. INŻ. ZBIGNIEWEM BARECKIM
36 *Marian Kisiel* KRYTYK W MURACH AKADEMII
40 *Marian Kisiel* PORTRETY HUMANISTÓW. DOKTOR ELŻBIETA WRÓBEL
46 *Henryk Waniek* PROMIENIOWANIE NIEZWYKŁEGO
48 *Maciej Meleki* NIECZYTELNOŚĆ TEGO ŚWIATA – POSTACI NIEOBECNOŚCI
50 *Łukasz Józef Hubacz* DUCHOWE OBLICZA SZTUKI OKOPOWEJ
52 HISTORIE PACHNĄCE BETONEM *Dariusz Pietrucha* BUDYNEK, KTÓRY NIE DO KOŃCA BYŁ ZWYKŁYM BUDYNKIEM
56 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* ZAMEK W MILICZU
58 *Zbigniew Lubowski* GÓRSKA EKSPRESJA W STYLU COUNTRY
59 *Zbigniew Lubowski* GWIAZDY SPOD ZNAKU ALLIGATORA
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* SIŁACZKA W PUSTYNI I PUSZCZY TEKSTÓW
68 *Andrzej Jarczewski* NA KONIU I POD WOZEM
73 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* BIEDASZYBY MAXA STECKLA
88 *Agnieszka Kukula* „ŚLĄSK” W JAPONI

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: GRZEGORZ BANASZKIEWICZ, FOTOGRAFIA

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Tadeusz Kijonka* TALERZ
18 *Bogdan Prejs* WIERSZE
20 *Maria Korusiewicz* STAN WOJENNY, BOGUCICE
22 *Joanna Stoga* PÓŹNIEJ
24 *Solomon Bart* POJEDYNEK (Przełożył *Marian Kisiel*)
27 *Charles Bukowski* WIERSZE (przełożył *Andrzej Szuba*)
37 *Piotr Mioduszewski* PANORAMA ZWIERZĘCEGO IGRZYSKA
43 *Piotr Zaczkowski* Z DZIENNIKA

TEATR

- 75 *Wojciech Lipowski* OSTATNIA PRZESTROGA
77 *Wojciech Lipowski* KALINOWE NOCE I DNI

FELIETONY

- 38 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* PRZÓDZI BYŁY WE WROCŁAWIU
39 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* TAKI NIEGDYŚ BYŁ GRUDZIEŃ
57 JEŻYK W STRUŃNACH *Piotr Grella-Możejko* ROMANTYK NIEPOSKROMIONY

KSIĄŻKI

- 62 *Grażyna Barbara Szewczyk* FENOMEN LOU ANREAS-SALOMÉ
64 *Elżbieta Dutka* WAGA DROBIAZGU I SZTUKA BALANSU
65 *Andrzej Juchniewicz* ŚMIETNIKA NASZEGO POWSZEDNIEGO...
66 *Piotr Skowronek* PO CO KARLIKOWI APARAT?
67 *Grażyna Barbara Szewczyk* SILESIAŃSKA ŚLĄSKA REPUBLIKA UCZONYCH
87 KSIĄŻKI NADEŚLANE

NOTATNIK KULTURALNY

80 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Na okładce: fot. Joanna Stoga, cykl LILI

Pismo wspierane finansowo przez:	Projekt objęty mecenatem MIASTA KATOWICE  KATOWICE dla odmianny	Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.	
----------------------------------	--	---	---

Od Redaktora!

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w Polsce w 2018 roku ilość podmiotów działających w sferze kultury zamknęła się cyfrą **15 724 jednostek**. Najwięcej instytucji kultury realizowało swe zadania w województwach mazowieckim i małopolskim. Województwo śląskie, z **9,8%** wszystkich instytucji kultury w Polsce, zajmuje trzecie miejsce, reprezentowane przez **1540** podmiotów. Przeważają w organizacji imprez masowych, w naszym województwie odbyło ich się w największej, bo aż **896** (średnio 2,5 imprezy na każdy dzień w roku) z udziałem **4,2 mln** osób. Ale ważną pozycję zajmujemy także w ogólnopolskim rankingu frekwencji, zapewniając szczerze widowisk w 51 działających w województwie kinach.

Ogólnie w poprzednim roku w kinach w Polsce gościliśmy 59,2 mln widzów, muzea odwiedziło 38,1 mln osób. W przedstawieniach/koncertach organizowanych przez teatry i instytucje muzyczne uczestniczyło 14,9 mln widzów i słuchaczy, tak więc statystyczny mieszkaniec Polski uczestniczył w ciągu roku 2018 w przynajmniej 1 seansie filmowym, niemal każdy odwiedził muzeum, a co 3 był widzem lub słuchaczem w teatrze lub instytucji muzycznej. W 2018 r. działalność sceniczną prowadziło 189 teatrów i instytucji muzycznych, działalność muzealną 945 muzeów i ich oddziały, funkcjonowało 325 galerii sztuki, 1375 świetlic, 1342 ośrodki kultury, 674 domy kultury, 504 centra kultury, 342 kluby. To tylko niektóre dane ilościowe o podmiotach działających w tej sferze, łącznie zatrudniających armię ponad 60 000 pracowników.

Koszty utrzymania tej całej infrastruktury kultury w Polsce to zaledwie około 0,5% naszego PKB (czyli ponad 11,0 mld złotych) Największą część ciężarów finansowych ponoszą gminy, wydając blisko 9,0 mld złotych (80,8% wydatków publicznych). Z budżetów samorządowych najczęściej wydano pieniędzy m.in.: na działalność domów i ośrodków kultury, klubów i świetlic – 30,7% oraz bibliotek – 17,6%, a także

funkcjonowanie muzeów – 10,7% i teatrów – 9,3%.

Pozostałe niespełna 20% kwot publicznych finansujących działalność w sferze kultury to wydatki budżetu naszego państwa, który głównie z tej części finansuje inwestycje i funkcjonowanie muzeów – 30,7%). Na ochronę zabytków i inne formy opieki nad zabytkami przeznaczają kolejne 15,5% wydatków budżetu państwa, na centra kultury i sztuki wydano z tego źródła 11,5%, i na teatry – 9,0% oraz archiwa – 7,7%, na działalność radiowo-telewizyjną przeznaczono 1,1% wydatków budżetu państwa zaksięgowanych z przeznaczeniem tych środków na kulturę i ochronę dziedzictwa narodowego.

Dlaczego odwołujemy się do danych z 2018 roku – ponieważ jeszcze, z oczywistych względów nie może być aktualnej informacji statystycznej z roku 2019 (GUS opublikuje ją pewnie w II kwartale 2020 roku). Ważniejszym jednak powodem jest fakt, iż jak każdego roku o tej porze w mediach toczy się niestety powierzchowna dyskusja nad wielkością i podziałem środków przeznaczonych przez administrację samorządową na działalność kulturalną tej ogromnie ważnej i bardzo rozbudowanej jak widać sieci instytucji kultury. Powtarzana jest teza o powszechnym niedostatku, braku środków, niespodziewanych ograniczeniach w dostępie do źródeł finansowania tejszej działalności. Organizator instytucji kultury, czyli potocznie mówiąc polityczny reprezentant „właściciela”: a więc rady gmin, powiatów, sejmiki samorządowe województw zatwierdzają w grudniu/styczniu budżet, w tym także i budżet dla kultury – przygotowany w formie projektów przez zarządy województw, starostów, prezydentów, burmistrzów, wójtów na podstawie planów finansowych dyrektorów instytucji kultury. Ów organizator ma ustawowy obowiązek zapewnić swojej instytucji niezbędną ilość koniecznych środków finansowych z przeznaczeniem na jej działalność w kolejnym roku kalen-

darzowym. Problem jednak tkwi w samej ustawie, samorządy nie muszą przekazać owych środków w formie obowiązkowej subwencji, lecz jedynie jako dotacje dla swoich instytucji, czyli z litery prawa są to kwoty... uznaniowe.

Jak dotąd – mimo prowadzonej od 30 lat dyskusji – nikt o treść lub zmianę w tym zakresie – ustawy o organizowaniu i prowadzeniu działalności w sferze kultury się... nie spiera.

Nie toczy się także żadna zasadnicza dyskusja o zasobach i kierunkach modyfikacji oraz wzbogacenia zastanego kapitału kulturalnego: gmin, powiatów województw, którym to celom przede wszystkim winien służyć ów z takim trudem zdobywany budżet. Kolejny raz publicyści wdają się w dyskurs statystyczno-księgowy i personalny, z góry skazując się na porażkę. Historia odrodzonego samorządu nie zna bowiem przypadku, w którym środowiskowe i budżetowe (pomijam polityczne) postulaty ludzi kultury uzyskałyby tę samą rangę, co zderzane z nimi argumenty: społeczne, gospodarcze, zdrowotne, edukacyjne i wiele, wiele innych.

Dopóki więc będziemy się spierać o cyferki lub tylko personalia, a nie o argumenty, określające cele jakim owe cyfry mają służyć, los np. takich czasopism jak miesięcznik „Śląsk” i wielu innych inicjatyw, w tym cennych idei organizacji pozarządowych będzie wisieć na włosku i zależeć od incydentalnych, przypadkowych zdarzeń lub szlachetnych intencji osób rozumiejących wagę i znaczenie – także dla rządzących – wszelkich istotnych działań podejmowanych przez instytucje i ludzi kultury. We wrześniu 2020 roku minie 10 lat od zorganizowanego w 2010 roku Kongresu Kultury Województwa Śląskiego. To jest dobry powód, by powrócić do rozmowy o sprawach zasadniczych dla kultury i polityki kulturalnej w naszym regionie.

Tadeusz Sierny

Talerz

Ten pusty talerz
co roku na tym stole –
i te miejsca puste na wprost.

Porcelanowa biel
pulsuje w rozbłyskach świec,
gdy przywołuję znów do wieczerzy –

ciebie Ojcze,
ciebie Matko,
i ciebie Bracie młodziutki...
więc to już pół wieku mija
od rozstania za życia!

Jesteście tu znowu –
wy i po kolei
wzywani po imieniu
w myślach i na głos.

A niewidzialni jak czas,
bo ani dotknąć
i choć na chwilę zatrzymać.

Ta procesja nie ma końca,
gdy biały talerz po brzegi
wypełnia krąg światła.

Na dnie jak co roku:
kropelka miodu –
kruszyna chleba –
drobinka ryby
i łzą nasiąkłe okruchy opłatka.

Zapraszamy,
przybywajcie –
starczy dla wszystkich.

Kiedyś i ja w niej przybędę –
Lecz gdzie, do czyjego stołu,
Czy też wezwany jak oni
na głos po imieniu.

ZDUMIENIE WYPEŁNIAJĄCE DUSZĘ

Ks. HENRYK PYKA

Wigilia

Wydarzenie, które otworzy nowy rozdział ludzkiej historii ma swój początek w administracyjnym zarządzeniu cesarza. „W owym czasie wyszedł dekret cesarza Augusta...” – rozpoczyna historię o Bożym Narodzeniu święty Łukasz. Cały ówczesny świat, czyli mieszkańcy Rzymskiego Imperium pospieszyli: każdy udał się do miejsca własnego urodzenia, aby zaznaczyć swoją obecność na wiernopoddańczej liście. Józef, który pochodził z Betlejem, osiadł na swoim osiołku. Do tobołka zgarnął niezbędne w podróży przedmioty, i z Maryją, choć była brzemienna, wyruszył z Nazaretu w długą niebezpieczną drogę do Miasta Dawidowego. Wydarzenia, przez które od początku przeprowadza nas święty Łukasz, są pełne znaczeń. Jezus urodził się w drodze, w miejscu zapowiedzianym przez proroków, z dala od własnej ojczyzny, jako pielgrzym, nie mający miejsca „gdzie mógłby głowę złożyć”.

W Kunsthistorisches Museum w Wiedniu znajduje się słynne płótno Piotra Brueghla, które przedstawia tłum cisnący się przed kantor gminnego pisarza. Są tu przyjezdni i mieszkańcy. Popycha ich niewidzialny rozkaz. Brueghel w swoim *Spisie...* przedstawił milczący tłum, któremu odebrano prawo głosu. Wkrótce pochowa się on we własnych domach do czasu, gdy siewcze Heroda staną przed drzwiami niegościnnych

Pieter Brueghel Starszy, *Spis ludności w Betlejem*, 1566

mieszkańców Betlejem, by je bezkarnie wylamać. Na miejskim placu pozostaną bezradni przyjezdni, szukający, jak chcą jasełka miejsca w przepelnionych gospodach.

W ten oto sposób powstaje prolog wydarzeń, które mają nastąpić. Literatura i sztuka wspomagają biblijną opowieść Ewangelisty, byśmy mogli zrozumieć tę noc, w której nie zdobyli jeszcze domów choinki. Nie jarzyły się na nich światełka.

Ozdobą fasad średniowiecznych katedr są znaki zodiaku, bo czas jest komponentą procesu zbawienia. Zbawienie dokona się w czasie, który osiągnie swoją Pełnię w znaku Koziorożca, kiedy to cała natura zdaje się być sprzymierzeńcem tego co mroczne w człowieku. To natura skażona, która szuka ocalenia po omacku. Jeśli nawet jest w niej światło, to jest go mało, bo dzień krótki, noc długa. Piękne poetyckie przełożenie pierwotnego dramatu człowieka, pozbawionego światła, wołającego z otchłani własnego grzechu i bezradności oddaje poezja Ernesta Brylla:

„Na góry z góry opada noc
Ściemnia się ziemia ciemna
Nad chmury, nad burze wołanie szło
To woła gwiazdy ziemia.”

„Zapalaj, rozpalaj, podpalaj noc...” Tak woła ziemia, w tę noc.

Zdumienie Bogiem

Tymczasem rodzi się dziecko. Bazylika Konstantyńska w Betlejem kryje miejsce Jego Narodzenia. Trzeba zejść do grotы równie wilgotnej i chłodnej jak wtedy, kiedy Dziecko się narodziło. Święty Hieronim ostatnie trzydzieści pięć lat swego życia przeżył w pobliżu tego miejsca. Tu tłumaczył Septuagintę na łacinę, język oficjalny, powszechnie stosowany w ówczesnym świecie. Tak powstała Wulgata. Przekładał Biblię Hieronim bo zrozumiał, że Słowo Boże w betlejemskiej grocie zaznało największego umiżenia. Było jak dziecko nieme i bezradne. Zapisana Księga, której nikt nie potrafi przeczytać. Cóż za korzyść z niemego Słowa? W jaki sposób trud tłumacza Biblii przekłada się na chrześcijańską Mistykę, dla której milczenie betlejemskiej Nocy jest zasłoną okrywającą Misterium Boga. Milczenie Boga i noc spotykają się w betlejemskiej grocie. Dziwne jest zejście między ludzi Gwiazdy, o którą woła pogrążona w nocy ziemia. Ta Gwiazda wydaje się ciemna, nieprzenikniona. Nie jest herosem, przywódcą, politykiem, lecz istotą, która mimo szlachetnego urodzenia i natury porównywana była z niewolnikiem. „Jak długo dziedzic jest nieletni, niczym się nie różni od niewolnika, chociaż jest właścicielem wszystkiego” / Gal 4,1 /.

Schodząc do betlejemskiej grotы, schodzimy w przestrzeń – najbardziej gęstą – chrześcijańskiej



mistyki. Tu doświadcza się Boga w gwałtownym ścieraniu się ze sobą przeciwieństw:

Bóg – się rodzi
Moc – truchleje
Pan niebiosów – obnażony

Święta Teresa z Avila nie lęka się tego, co przekracza doczesność. Lęka się tego, co choć zawiera się w realnych kształtach własnego bytu, nie potrafi siebie do końca wyrazić, a tym bardziej zrozumieć.

Prawda, kiedy już znajdzie swój kształt w ludzkich słowach, najczęściej musi umrzeć – wyinterpretowana przestaje być prawdą. Dlatego też pojęcia, które tworzymy według właściwego nam sposobu rozumowania i opiniowania, zamiast objawiać nam samego Boga, tworzą idole Boga, relatywne pojęcia. „Jest tylko jedno określenie na wyrażenie natury Boskiej – zdumienie wypełniające duszę, kiedy myśli ona o Bogu” (św. Grzegorz z Nyssy, Homilia XII do *Pieśni nad Pieśniami*). Doświadczenie mistyczne jest z pewnością jedynym sposobem na to, by schodząc do grotty betlejemskiej nie spłycić tego, co się tam zobaczy, bo przecież „takie światy widzę tam przed sobą”. Bogactwo ukryte w prostym znaku. Zdumiony tym znakiem powie Bierdiajew: nad Betlejem zajaśniała *Humanitas Dei*. Człowiekowi, który bywa nieludzki objawiła się w betlejemskiej grotcie „ludzkość Boga”. Kto tak widzi? Ten, kto „przed życiem czuje – nie przed śmiercią trwogę” (*Ułamek naśladowany z głosy św. Terezy Zygmunta Krasieńskiego*). Chodzi więc o pewien rodzaj nabożnego lęku, który musi wstrząsnąć człowiekiem, kiedy uświadomi sobie, że w tym kształcie świata Miłość jest często niekochana, a Prawda jak małe dziecko musi milczeć. Taki wstrząs graniczy ze zdumieniem. Mógłby być zgorzaniem Bogiem, gdyby On sam nie leżał na gołej ziemi jak przedstawiają to Fra Angelico, anonimowy malarz Bożego Narodzenia z Ptaszkowej, Stefan Lochner, czyli ci wszyscy artyści, którzy otarli się o mistykę późnego średniowiecza rozpamiętującą uniżenie się Syna Bożego. Takie jednak zdumienie Bogiem musi prowadzić do wielkiej światłości, ośnienia, które dość często jest rozbudzeniem się leniwego sumienia:

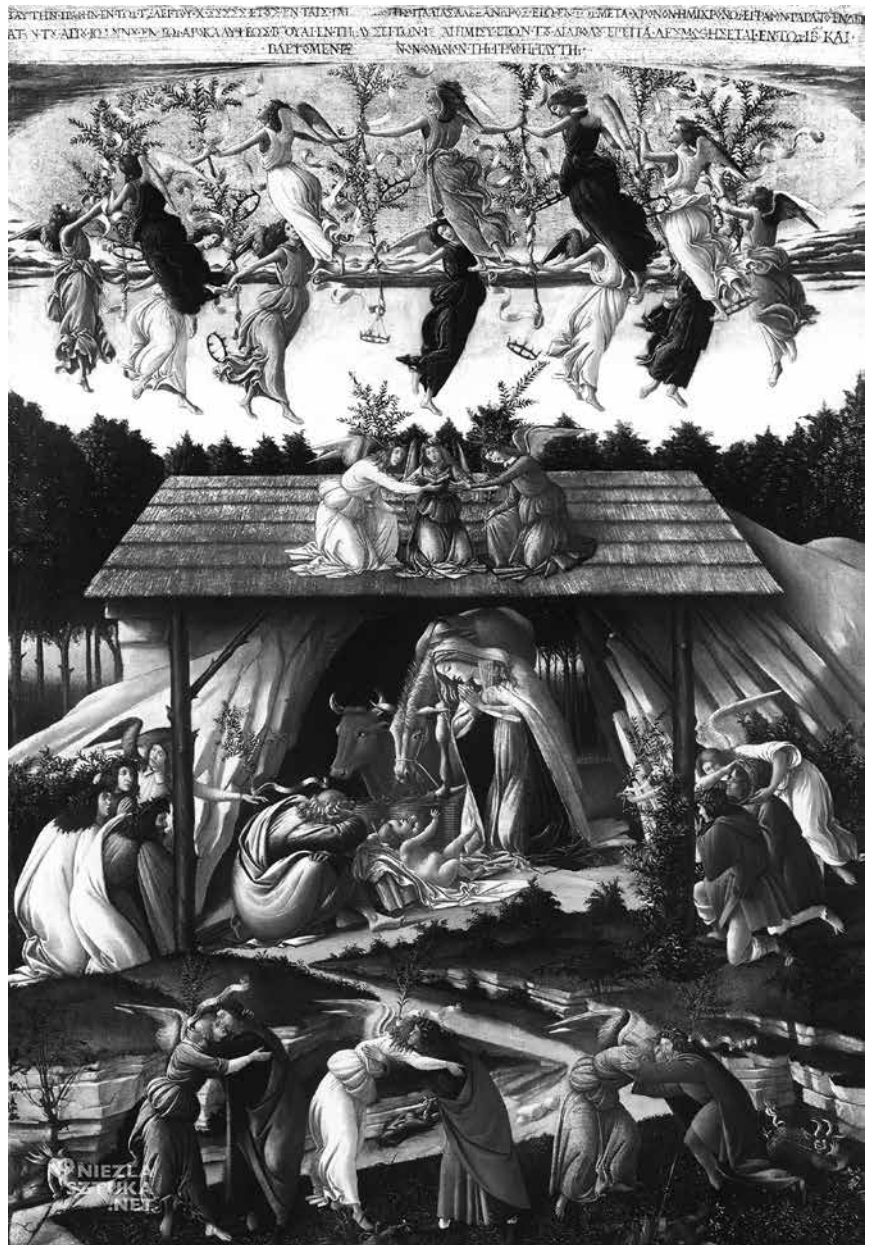
„W jakiej pościeli my tę noc przespałi,
Żeśmy Bożego Syna nie witali...

Spali my w smutku, jako i dziś śpiemy
I betlejemskiej gwiazdy nie widzimy” / Ernest
Bryll, *Po górach, po chmurach*

Krąg mistyczny

Nie wszyscy jednak spali tej nocy. Nie wszyscy też cisnęli się do przepelnionych zajazdów i pensjonatów. Czuwali Józef i Maryja. Zaś pasterze w polu trzymali swą straż. Ci wszyscy, którzy tej nocy czuwali, podług wczesnych teologów chrześcijaństwa stanowili antycypację założonego później przez Chrystusa Kościoła.

U schyłku roku 1500, czyli w czasie bliskim świętom Bożego Narodzenia włoski malarz Sandro Botticelli ukończył swój obraz, który zatytułował *Natività Mistica*. Jest to jedyny jego obraz, który sam osobiście podpisał: „To ja Aleksander, namalowałem ten obraz u schyłku roku 1500, w czasie gdy Italia przeżywała wielkie niepokoje, w połowie okresu, o którym św. Jan pisze w rozdziale XI Apokalipsy, że szatan zerwawszy więzy szalał na ziemi przez trzy i pół roku – następnie



Sandro Botticelli, *Natività mistica*, 1501

według tego źródła zostanie okiełznany i pozbawiony siły, tak jak to widzimy na obrazie”. Były to czasy wielkich zaburzeń we Florencji. Ich lupem padły przedmioty zbyt kosztowne, często dzieła sztuki. Był to czas działalności Savonaroli, który walczył o to, by sztuka religijna przestała być zabawą artysty. Nie godzi się, głosił Girolamo Savonarola, by przedstawianie wydarzeń zbawczych było pretekstem do portretowania kochanek artysty, jego przyjaciół. Lękał się mielizny. Dlatego żądał, by sztuka malowania wydobyla ze zdarzenia biblijnego teologiczną prawdę Ewangelii. Savonarola przy swojej gwałtowności był mistykiem. Odzucał więc to, co i dzisiaj ludzi usypia – święteczna komercja – choć stoją w kręgu Tajemnicy. *Mistyczne Boże Narodzenie* Botticellego wydaje się być naiwną bożonarodzeniową kolędą. Każdy jednak, kto zna jego *Narodziny Wenus* powstałe na piętnaście lat przed namalowaniem *Bożego Narodzenia* musi zrozumieć, że Botticelli poświęcił swoją wcześniejszą sztukę. Wrócił do średniowiecznej konwencji. Widocznie renesans był zbyt powierzchowny, aby mógł ukazać to, co średniowiecze przekazywało ze zrozumieniem

istoty przekazu. Naiwna bożonarodzeniowa kolęda Botticellego, kiedy ją głębiej analizować, okazuje się głębokim traktatem o radości i pojednaniu. Uczestniczą w tej radości aniołowie, czyli te istoty, które płytkie nigdy być nie mogą, bo stoją zbyt blisko Boga, wpatrując się w Jego Oblicze. To za sprawą aniołów tańczących nad betlejemską grotą – sugeruje Botticelli – człowiek przeżyje zdumienie Bogiem. Jeden z nich bierze nawet w swoje ręce głowę pasterza, by nią pokierować tak, by ten człowiek mógł zachwyć się Tajemnicą Obecności. Za sprawą nieba człowiek nagle zaczyna widzieć. I to z jakim skutkiem: oto znika przepaść między niebem i ziemią. Ludzie niegdyś pochyleni do ziemi, dla nieba obojętni, bratają się z całym światem niebieskim w pocałunku pokoju. Aniołowie obejmują pasterzy. A szatan? Dokładnie spełnia to, co nakazuje mu prorocтво Izajasza, który zapowiedział, że „posągi bożków znikną całkowicie... wejdą do jaskiń skalnych i jam podziemnych z lęku przed Panem” / Iz 2, 18–19/. Botticelli przedstawia wielkie Misterium zrozumienia, z którego musi wyłonić się nowa wspólnota założona na skale, w której wnętrzu narodził się Chrystus. ■

O Krystianie Burdzie (1935–2015), grafiku, rzeźbiarzu, twórcy figur przestrzennych oraz budownictwa sakralnego

Taki pomnik się nie zdarza...

Z IWONĄ JANTOŃ rozmawia PIOTR SKOWRONEK

Jakie cechy charakteru odziedziczyłaś po ojcu?

Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie... Na pewno z cech artystycznych jest we mnie prostota, którą tata tak lubił. Z cech charakteru odziedziczyłam także stoicyzm, po prostu tak jak on lubię – spokój. Mój tato nigdy nie irytował się z błahego powodu. Te dwie wspólne cechy wydają mi się najistotniejsze: prostota i spokój.

Jak to się stało, że śląski synek, rydułtówik (bo tak się u nas mówi) nie kształcił się zawodowo i jak większość jego rówieśników nie poszedł na kopalnię?

Tata chodził do szkoły plastycznej, a potem Ogniska Plastycznego im. Ludwika Konarzewskiego Seniora w Rydułtowach, lubił rysować ale przede wszystkim lubił lepić i dłubać. Wiem, że w ognisku wykonywał podobizny górników w węglu i to był początek jego fascynacji formami przestrzennymi, rzeźbą. Już wtedy zauważono jego talent, rzeźba taty została wyróżniona w 1948 r. Pojechał wówczas z nią i mistrzem Konarzewskim do Warszawy na Kongres Związków Zawodowych – pierwsza podróż synka do Warszawy widać nie była przypadkiem.

Były na tym polu jakieś rodzinne tradycje? Ktoś z bliskich był artystą? Co myśleli o jego zainteresowaniach rodzice?

Nikt wcześniej w rodzinie nie miał takich zdolności artystycznych. Wprawdzie ojciec wspominał, że odwiedzał ich potrafiący dobrze rysować doktor Bruckner, któremu tato siadał na kolanach, kiedy ten rysował mu konie, i była to pierwsza, spontaniczna forma lekcji, taki „rysunkowy szlif”, ale tradycji rodzinnych w tym zakresie nie było. Jednak zanim rodzina po śmierci dziadka zbiedniała, przyjeżdżał do ich domu nauczyciel muzyki i ojciec wraz z siostrą uczyli się grać na fortepianie. Potem w czasie zawierowań wojennych, dzięki żołnierzom radzieckim instrument trafił do polskiej rodziny w Rybniku, i dopiero po kilku latach starań i perturbacji prawnych fortepian wrócił do nas. Jako dziecko pamiętam, że gdy przychodziliśmy do babci, stał duży z otwartym skrzydłem i robił na mnie bardzo duże wrażenie. Ojciec siadał wówczas przy klawiaturze i grał. W moim rodzinnym domu dopiero później, z pasji do muzyki, pojawiło się pianino. Pamiętam niedzielne koncerty taty.

Nigdy nie grał z nut, bo uwielbiał improwizować. Ze słuchu grał wszystko. Dla mnie jako dziecka był genialny... Najwyraźniej czarno-białe klawisze już wtedy grały mu w duszy, nie tylko muzycznie... Tata był zatem w twórczości plastycznej pierwszy. Trudno mi coś więcej powiedzieć o reakcji dziadków. Babcia, chociaż w domu się nie przelewało i klepałi biedę, bo dziadek nie wrócił z wojny i wcześniej osierocił brata i jego siostrę, nie robiła mu żadnych przeszkód, żeby realizował swoje zainteresowania i poszedł na studia.

Ich zapowiedzią był wybór liceum, a nie technikum?

Tak, po ukończeniu naszego rydułtowskiego Liceum, maturę zdał w 1953 roku, jako bodajże drugi powojenny rocznik złożył papiery i teczkę na ASP w Warszawie, ale jako Ślązakowi dokumentów i teczki nawet nie przyjęto, więc nie mógł pojechać na egzaminy. W takiej sytuacji poszedł do pracy na kopalnię „Jankowice”. Pracował tam w wydziale mierniczym. Przy różnych okazjach partyjno-państwowych wykonywał robotnicze plakaty z okazji 1 Maja, dekoracje na zjazdy partyjne i tym podobne produkcje. Oczywiście dla ojca nie miało to żadnego kontekstu politycznego, z równym zapałem co plakaty, malował martwe natury. Po roku Krystian Burda ponownie spakował teczkę i dokumenty, i wyruszył do Warszawy. Druga próba zakończyła się także fiaskiem. Ślązaka odrzucono zaraz na wstępie. Wrócił zatem do pracy ale... stał się cud?! Władze kopalni, widząc jego pracowitość, talenty i wytrwałość, zaczęły interesować się jego sprawą. Napisano ponoć do Ministerstwa Kultury i Sztuki... o zdolnym synku z Rydułtów. Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie do-

stała zatem odgórny „prikaz”. Mimo że rok akademicki już się rozpoczął, musiała się zebrać specjalnie Rada Wydziału i rozpatrzyć kwestię prac, i umożliwić ojcu przystąpienie do egzaminu! Krystian Burda zdał go bez najmniejszego problemu.

To musiało dopiero być wyzwanie. Uparły śląski synek z małego górniczego miasteczka wyjeżdża do Warszawy, by studiować na Akademii Sztuk Pięknych...

Dostał się na Wydział Rzeźby i tam pod kierunkiem profesora Jerzego Jarnuszkiewicza z Oskara Hansena, twórcy teorii formy otwartej, z pochodzenia Fina, próbował obronić pracę dyplomową w 1961 roku.

Jak to próbował?

Stworzył rzeźbę *Droga do Żelazowej Woli – studium czasoprzestrzeni* w ramach uczczenia 150. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina. Chciał stworzyć coś zupełnie innego. Rzeźba miała stać przy drodze na odcinku 10 kilometrów, aby odbiorca mógł ją podziwiać, jadąc samochodem. Problemem było to, że zaskoczył komisję i pokazał makietę oraz film. To była ogromna nowość



Droga krzyżowa, Górki Śl.

w przedstawianiu rzeźby, jakiś ewenement. Spotkał się z dwoma skrajnymi opiniami. Jedni mówili, że pomysł jest genialny, drudzy, że absurdalny. Powstała istna „burda”. Sam koncept, już po obrobie z wyróżnieniem zresztą, został doceniony. Tata miał propozycje pozostania na uczelni i wyjazdu na stypendium do Danii, ale ani z jednego, ani z drugiego nie skorzystał. Na wyjazd nie dostał zgody władz, a przyszyła żona, w której kochał się już od czasów licealnych zdecydowała o jego powrocie na Śląsk. Postawiła tacie wyraźnie ultimatum: „Jest jedynaczką i swoich rodziców nie opuści!”. Przypominam sobie, że w latach siedemdziesiątych dostał także propozycję pracy w prestiżowym zakopiańskim Liceum Plastycznym im. Kenara, ale mama i tak postawiła na swoim. **Czy wracając do domu ojciec miał świadomość swojego sukcesu? Przecież film z projektu prezentowany był ponoć w Stanach Zjednoczonych, Paryżu i Moskwie. To ogromny sukces, który spotkał tatę zaraz na początku jego artystycznej kariery.**

Nie. Przyznam szczerze, że największym jego sukcesem, a właściwie satysfakcją z pracy była jego ostatnia przed śmiercią wystawa poświęcona w całości *Droga do Żelazowej Woli* zorganizowana w 2014 roku. Wszystko zaczęło się w związku z ogłoszeniem roku 2010 Rokiem Chopinowskim dla uczczenia dwusetnej rocznicy urodzin kompozytora. Z inicjatywą wyszedł Narodowy Instytut Fryderyka Chopina w Warszawie i wówczas Krystian Burda zablęsnął na nowo jako artysta. Zorganizowano wystawę w Żelazowej Woli. Ormianin Sarmen Beglarian zaczął promować twórczość ojca w Europie. Ta ostatnia wystawa, prestiżowa, była jak gdyby kłamrą. Odbyła się w najwłaściwszym miejscu, a więc w pawilonie wystawowym obok dworku Chopina w Żelazowej Woli. Wystawa ta, już po śmierci ojca, była pokazywana m.in. w Zagrzebiu.

Uczestniczył w niej? Mam wrażenie – jako kompletny laik, że na świecie nigdy „nie powstało” nic podobnego. Owszem, są rzeźby, które, nazwijmy to „ruszają” się, jak prace czeskiego artysty Davida Černego, ale twój ojciec wymyślił, że to odbiorca ma się poruszać w określonej szybkością, zdaje się wówczas 60 km na godzinę obok rzeźby. To coś zaskakującego. Prawdziwe opus magnum jego życia. Niestety nie zrealizowane!

Tak. Kluczowymi składnikami tego pomysłu były czas, ruch i przestrzeń. Te same parametry są istotne także w muzyce, którą pomnik upamiętnia. Przyznam się, że do dzisiaj w Akademii Sztuk Pięknych, chyba w Poznaniu, studenci mają w programie studiów projekt taty. I to jest fajne.

Książka Krystian Burda. Droga do Żelazowej Woli – Studium czasoprzestrzeni

wydana w Warszawie w 2014 roku pokazuje makietę pomnika. Poszczególne jej elementy korespondują z klawiszami fortepianu... ale także umieszczonymi we wklejce wierszami, kojarzonymi z muzyką Chopina.

Sam film nie jest tylko realizacją zapisu przemieszczania się odbiorcy i nachodzących na siebie przestrzeni, ale wprowadza także odbiorcę w pewien rytm, jakiś interwał – tworzą go spadające ping-pongi, woda drżąca pod wpływem wiatru. To były dodatkowe inspiracje. Na pracę składają się tylko makietka i film, ale także 10 dość dużych czarno-białych zdjęć przedstawiających mazowiecki krajobraz oraz pamiętnik-szkicownik zawierający koncepcje, przemyslenia, analogie.

Czy film dołączono do książki?

Nie. Wiem, że jest zrobiona kopia. Oryginał był na bardzo delikatnej taśmie celuloidowej, której nie można już odtwarzać i trzeba przenieść to na nośnik cyfrowy.

Czy w oryginalnym pomysle odbiorcy miała towarzyszyć również muzyka?

Nie. O ile mi wiadomo, nie.

To w zasadzie największy paradoks życia twojego ojca. Rzeźba, która nie została wykonana, zrealizowana jest największym dziełem jego życia. Ale jest i paradoks drugi. Pracując na Śląsku w Rybniku w Hucie Silesia, tworzy coś, z czym obcujemy na co dzień, nie znając autora. To dopiero przewrotność losu wobec artysty, eksponować swoje dzieła na codziennym stole i w domu swoich odbiorców, a jednocześnie być w absolutnym cieniu.

Wydaje mi się, że tata był osobą skromną. Nie był mu potrzebny żaden aplauz, zwłaszcza, że nic takiego go nie spotkało w związku z jego pracą projektową w hucie. Kazali mu zaprojektować logo – to je zrobił, projektował kolorowe wzory na garnki, ich kształty, np. kwadratowe ze specjalnymi uchwytyami i przykrywkami, dzbanki, talerze ale i kalendarze zakładowe. Wymyślił kolorowe lodówki, ale te produkowano tylko na specjalne zamówienia. Ojciec był propagatorem zachowania tradycji huty i utworzenia muzeum jej wyrobów emaliowanych, tym bardziej, że zakład produkował od końca XVIII wieku i był jednym z najbardziej znaczących w tym regionie. W latach siedemdziesiątych huta przeżywała swój „złoty wiek”. Komplety kolorowych garnków eksportowane były na całą Europę. Garnki z Silesii otrzymała w prezencie królowa brytyjska Elżbieta II i trener reprezentacji polskiej piłki nożnej! Jednak w czasie przemian część zbiorów została przez kogoś przywłaszczona, a część znalazła się prawdopodobnie w Muzeum Miejskim w Rybniku. Zależało mu, aby zachować to dziedzictwo. Pamiętam do dzisiaj piękną rycinę, grafikę starej emalierni, która potem była



odbijana na reklamówkach z rybnickiej Huty Silesia. Niestety pomysł stworzenia izby pamięci czy muzeum przy hucie padł razem z nią.

A czy w sztuce użytkowej projektowanej przez ojca, zwłaszcza w emalii w dalszym ciągu panował minimalizm? To w końcu ta sama epoka, w której nowoczesny typ muzyki współczesnej w postaci sonoryzmu, a później dodekafonii tworzył Henryk Mikołaj Górecki. Co więcej obaj z pewnością znali się z korytarczy rydułtowskiego Liceum do którego uczęszczali. Różnica wieku wynosiła zaledwie dwa lata, więc większość pedagogów mieli wspólnych. Wychowawcą Góreckiego był Augustyn Dreinert, geograf i wicedyrektor szkoły, zaś twojego ojca Alfred Płonka – matematyk. Ojciec był do swojej pracy profesjonalnie przygotowany, bowiem u swojego drugiego promotora Oskara Hansena studiował obok rzeźby równolegle wzornictwo przemysłowe. Prawdopodobnie to on zaszczerpił w nim minimalizm połączony z funkcjonalizmem. Tata wymyślił coś, co nie doszło nigdy do skutku, a uważam, że było bardzo fajnym pomysłem. Otóż zaprojektował lodówkę otwieraną nogą. Stwierdził, że kiedy gospodyni domowa ma zajęte obie ręce, np. wkładając do niej tort, to taka forma otwierania drzwi byłaby bardzo pomocna. Od spodu w drzwiach był zainstalowany przycisk, który pozwalała na ich otwarcie. Pomysłu nigdy nie zrealizowano, ale gdyby co, patent jest nasz (śmiech).

Być może sposób otwierania i sam tort były wtedy za bardzo imperialistyczne? (Śmiech). Słyszałem, że ojciec rekompensował sobie brak swobody twórczej w sztuce religijnej. To jest również niezwykle ciekawe, że zawsze idzie pod prąd. Kiedy panuje socrealizm, wymyśliła totalnie abstrakcyjny pomnik, kiedy szaleje „rumiany” komunizm, najpierw w kościele akademickim św. Anny w Warszawie wspólnie z Bogusławem

Kubicą tworzy prowokacyjną instalację Grobu Pańskiego, w którym polską flagę deptają czerwone stopy, wreszcie sam projektuje, i co ważne, wykonuje charakterystyczne ołtarze do kościołów, tych nowych i tych, którym nadgorliwie zniszczono prezbiteria po soborze watykańskim II.

To nie tylko były kościoły, ale również budynki użyteczności publicznej. Ojciec opracował autorską metodę klejenia emalii na dużych płytach metalowych, z których powstawały znacznych rozmiarów obrazy, upiększające elewacje budynków. Na przykład dom towarowy „Diament” w Wodzisławiu Śląskim miał takie brązowo-pomarańczowe koła, a jego mozaiki zdobiły baseny kryte w rodzimych Rydułtowach i na Słowacji. Obecnie w zrewitalizowanym budynku po basenie pozostała tylko jedna pamiątka, niewielka mozaika przedstawiająca pływaków na wprost wejścia, a fenomenalna była kiedyś ściana w głównej pływalni z olbrzymimi rybami... W Wodzisławiu mozaika mojego taty zdobiła biuro Orbisu, a w Kamieniu koło Rybnika Ośrodek Rekreacji i Sportu. Ta powstała jako pierwsza. Ściany z emalii znajdziemy także w ośrodkach wypoczynkowych na Mazurach i na Słowacji.

A jak wygląda szlak kościołów z ołtarzami autorstwa Krystiana Burdy?

Wszystko zaczęło się na pobliskim Orłowcu, dzielnicy Rydułtów, kiedy tam budowano kościół. To był pierwszy ołtarz taty pod wezwaniem Matki Boskiej Uzdrawienia Chorych, potem były Adamowice i kościół pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Królowej Aniołów oraz Kościół Dobrego Pasterza w Górach Śląskich. Inne postaci świętych znajdziemy w przygranicznych Chałupkach i w Chróście Opolskiej. Pamiętam, że mniejsze formy powstały najpierw. I na końcu duży, prawie 7-metrowy ołtarz św. Jerzego w rydułtowskim kościele parafialnym, obecnie zdemontowany i w części przeniesiony do kaplicy cmentarnej.

Czyli gdyby wsiąść na rower, można by właściwie w ciągu jednego dnia odwiedzić wszystkie ołtarze ojca... A jak się czuje twórca dzieł sakralnych, wiedząc, że przez lata będą dla wiernych wizualną drogą do Boga?

Nie wiem, ojciec nie dzielił się z nami tego typu odpowiedzialnością. Tworzył w dosyć trudnej i szkodliwej dla zdrowia technice powielanej żywicy.

Na czym to polegało?

To był proces bardzo długotrwały. W tym domu w pracowni jest ściana wybita drewnem na wysokości parteru i piętra. Zrobienie odlewu z żywicy polegało na tym, że do drewnianej ściany tata wkręcał zaplecione miedziane druciki, na końcu których były drewniane krzyżyki. Mieliliśmy zezwolenie na przewóz kilkunastu ton gliny z Wielikąta z Lubomi. Oczywiście transport odby-

wał się w bagażniku naszego fiata, a glinę rodzinnie i ręcznie ładowaliśmy do worków. Ojciec narzucał glinę na przygotowane rusztowanie, formując w proporcji 1:1 przygotowywany model. Po modelowaniu trzeba było rzeźbę podlewać, aby nie wyschła, więc najlepszą porą roku było lato. Kiedy model odpowiadał jego oczekiwaniom, narzucał na niego gips, włosie hydrauliczne i listwy. Tak przez kilka dni model wisiał na ścianie. Następnie zdejmował skorupę i pozbawiał ją gliny, a do powstałej formy ciął płótno o grubym splocie z włóknami szklanymi i to dopiero zalewał warstwami laną żywicą. By żywica szybko i dobrze się wiązała, musiało być ciepło – sama żywica jest rakotwórcza, mocno śmierdzi, więc wynosiliśmy całą rzeźbę na stojakach na podwórko, by ją „wywietrzyć”. Dopiero potem odbijał gips, szlifował i malował patynującym lakierem uzyskany kształt rzeźby. Proces był bardzo czasochłonny, a muszę dodać, że ojciec pracował przy modelach po swojej pracy w hucie. Mimo złudzenia lekkości rzeźby z żywicy epoksydowej musiało wynosić z pracowni kilka osób.

Często ojciec potem odwiedzał „swoje” ołtarze i kościoły?

Tak, lubił przyjechać tam razem z mamą na mszę lub po prostu się pomodlić. Poza tym był taki okres, kiedy ks. Szyszka z Orłowca i ksiądz z Adamowic zapraszali tatę na odpusty parafialne. Miał z nimi bardzo dobre relacje. Oczywiście nie ma co ukrywać, że nie robił tych rzeczy za darmo, ale też z nikogo nie żądał skóry i powtarzał, że „ryzko jak robi!” i wkłada w pracę swojego ducha.

Podsumujmy. Można powiedzieć, że twój ojciec jest realizatorem jakiejś śląskiej, nieco smutnej odmiany amerykańskiego mitu pucybuta. Synek z biednej rydułtowskiej rodziny broni na Akademii Sztuk Pięknych dyplom z wyróżnieniem, ale jego praca nigdy nie zostaje wcielona w życie. Powra-

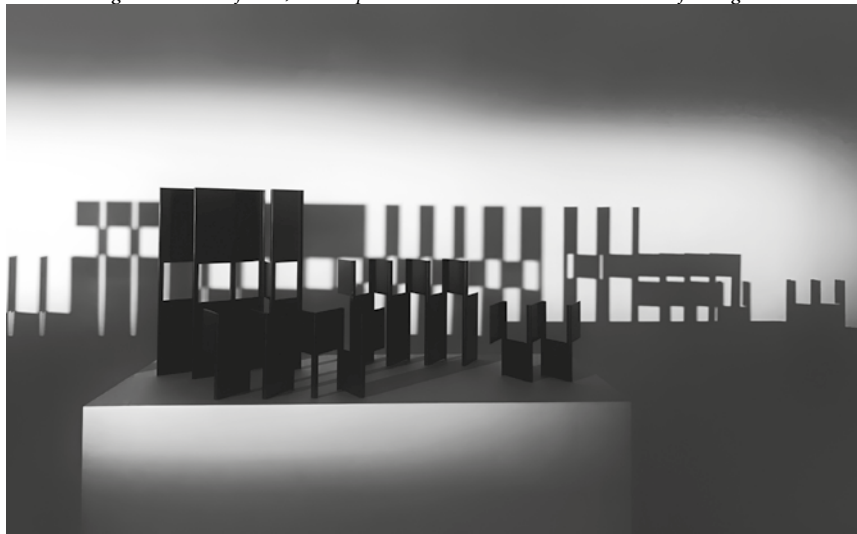
ca do domu, pracuje jako projektant i znowu zostaje autorem najbardziej popularnych wyrobów emaliowanych, tyle, że o pochodzeniu i osobie ich autora prawie nikt nie wie. Wreszcie zdobi przestrzeń publiczną, która jeszcze na jego oczach ulega degradacji, i... właściwie, jedyne co mu pozostało, to ślady pozostawione w kościołach, także dla wiernych, szczególnie dzisiaj, niemal bezimienne jak mediewistyczne ad maiorem Dei gloriam. Jak to wszystko znosił, odczuwał, przeżył? Pod koniec życia czuł się bardzo pokonany i przygaszony. Gdy zrobiło się o nim na świecie głośno (zresztą ciężko już wtedy chorował), a jednocześnie tu na miejscu likwidowano w tym czasie „jego” ołtarz, zrywano zaprojektowane w krytym basenie płytki... , to, z czego był kontent i usatysfakcjonowany. Co zrobił dla miasta, zniknęło jeszcze za jego życia. Przyznam się szczerze, że on o tym nie mówił, ale widać było i można było odczuć, jak go to bolało.

Paradoksalnie jedyną „nieśmiertelną” rzeczą okazał się niezrealizowany projekt Drogi do Żelazowej Woli – jak napisali we wstępie do monografii pomnika kuratorzy wystawy o nim: wspomniany już Sarmen Beglarian i Sylwia Szymkowiak: „Gdyby koncepcja artysty została zrealizowana, powstałby najbardziej oryginalny pomnik Chopina na świecie”.

Część prac ojca nadal jeździ po świecie. Popiersie Fryderyka Chopina wyjechało już cztery lata temu na wystawę do Budapesztu i jeszcze nie wróciło. Część eksponatów wystawiono w warszawskich galeriach do sprzedaży. Szkicownik ojca są nadal w Instytucie Chopinowskim...

A może warto, znowu paradoksalnie, aby teraz „świat” poszukał dzieł i samego Krystiana Burdy tu na miejscu, w Rydułtowach, Rybniku, Górach... Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Makieta Drogi do Żelazowej Woli, Ania Opalić. Fot. Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Zagrzebiu



Mikołaj – najbardziej lubiany święty Wschodu i Zachodu

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

To święty kościoła rzymskokatolickiego i prawosławnego, który przez wieki był jednym z najbardziej czczonych na całym świecie. Mikołaj biskup Miry według hagiografów żył w III i IV w. naszej ery i wstawił się cudami na rzecz ubogich i potrzebujących. Także daniem hojnych podarunków. W ikonografii chrześcijańskiej nie wygląda jednak tak, jak przedstawia go kultura masowa. To nie rubaszny, krągły mężczyzna z brodą w czerwonym stroju. Sztuka sakralna, jak np. piękna rzeźba w parafii w Targoszycach w gm. Mierzęcice pw. św. Mikołaja, przedstawia go w biskupich szatach w mitrze i z pastorałem. Nie umniejsza to jednak sympatii, jaką wzbudza ten święty na całym świecie.

Święty Mikołaj urodził się ok. 270 r. w Patarze (dzisiejsza Turcja). Został biskupem Miry z woli jej mieszkańców. Zasłynął jako cudotwórca, ratując żeglarzy i miasto od głodu. Wstawił się cudami na rzecz biednych i potrzebujących. Istnieje wiele opowieści o cudach św. Mikołaja. Jedna z nich głosi, że wskrzesił troje ludzi zamordowanych za to, że nie zapłacili pieniędzy należnych za nocleg, inna opowiada o ufundowaniu posagów trzem młodym dziewczętom, by mogły wyjść za mąż z miłości. Wszystkie przedstawiają świętego jako dobrego i skromnego człowieka. Mikołaj zmarł 6 grudnia między 345 a 352 rokiem.

W ikonografii św. Mikołaj przedstawiany jest z brodą (ale jako szczupły, ascetyczny mężczyzna), w szatach biskupa rytu łacińskiego lub greckiego, z mitrą i pastorałem.

Nie inaczej jest w Targoszycach. Drewniana barokowa figura św. Mikołaja znajduje się w niszy w ołtarzu głównym. Cały ołtarz utrzymany jest w stylu renesansowo-barokowym, w zwieńczeniu ma Grupę Przemienienia. W ołtarzach bocznych (także w stylu baroku) można zobaczyć wspaniałe rzeźby świętych, Matki Boskiej

i Chrystusa. Są tu też elementy stylu gotyckiego, np. szkarpy i portal kamienny prowadzący do zakrystii. Ostatnio znaleziono też zamurowane w ścianie zabytkowe sakramentarium, które będzie teraz podane renowacji.

Pierwsza wzmianka o kościele pochodzi z 1324 r. Korzenie miejscowości sięgają XIII w. Wieś została zniszczona w czasie najazdu tatarskiego w 1259 r. W 1357 r. przywilej książąt cieszyńskich (zwolnienia z danin) wymienia nazwy „Mirzanczice” i „Thargoschicze”. W XV w. Mierzęcice i Targoszyce stanowiły siedzibę rodu Mirzowskich. Potem teren należał do kasztelanii bytomskiej. W czasach Księstwa Siewierskiego w Targoszycach odbywały się Sejmiki.

Z informacji zebranych przez społeczników, w tym ks. Janusza Rakoczego (od 1 lipca 1988 r. proboszcza parafii) wynika, że na przełomie XV i XVI w. liturgię odprawiano w kościele św. Wawrzyńca w pobliskich Mierzęcicach. W 1529 r. parafię św. Mikołaja oszacowano na 5 grzywien i 12 groszy. Plebanem był wtedy Marcin z Bytomia. W 1572 r. plebanem w Targoszycach został, po zmarłym Franciszku Mieszkowskim, Jan Rozwadowski, franciszkanin. Prawo patronatu należało do biskupa krakowskiego.

– Przed 1598 r. do parafii należały m.in. Nowa Wieś i Celiny, jednak w tym samym roku miejscowości te przyłączono do parafii Sączów. Targoszyce należały wtedy do dekanatu Bytom. Ówczesny protokół wizytacyjny mówi, że plebania i wszystkie zabudowania znajdowały się w Mierzęcicach, natomiast w Targoszycach był jedynie kościół pod wezwaniem św. Mikołaja: murowany i stojący samotnie w polu. Pleban Walenty Nicocius z Siewierza posiadał dom rektora szkoły z ogrodem przy kościele – napisała Renata Bocian w publikacji Parafia św. Mikołaja w Targoszycach.



Proboszcz parafii ks. Janusz Rakoczy (ks. Rakoczy objął funkcję proboszcza 1 lipca 1988 r.) dba o kościół św. Mikołaja

W latach 1644–1645 w Mierzęcicach było 16 kmieci, 4 zagrodników, a także 7 garncarzy, którzy oddawali do zamku w Siewierzu po 30 naczyń rocznie. Na początku XIX w. parafia znalazła się w dekanacie siewierskim (część Nowego Śląska, diecezja wrocławska). W 1864 r. została tu zniesiona pańszczyzna, gminy zorganizowano zgodnie z nowymi zasadami prawa. Zakazano parcelowania gospodarstw mniejszych niż 6 morgów.

Na początku XX w. proboszczem został ks. Czesław Chodorowski, wielki patriota, społecznik, autor wielu publikacji. Dzięki jego inicjatywie powstały remizy straży pożarnych w Mierzęcicach i Przeczycach oraz szkoła w Targoszycach. Był też opiekunem organizacji „Strzelec” (ks. Chodorowski, był majorem wojska polskiego). W latach 50. proboszczem parafii był ks. Wacław Kałuski. Nadal dzieci uczęszczały tu na lekcje religii. Wierni w większości byli rolnikami, a część osób pracowało w kopalniach Śląska i Zagłębia. Często organizowano zabawy taneczne przy remizach ochotniczych straży pożarnych.

Dziś parafia liczy ok. 4,5 tys. wierznych, a kościół jest nie tylko miejscem kultu religijnego, ale i miejscem ważnych wydarzeń społecznych. ■



GRZEGORZ PODLEJSKI, wójt gminy Mierzęcice: Kościół w Targoszycach (to największa parafia na terenie gminy Mierzęcice) pełni bardzo ważną funkcję w społeczności lokalnej. Tu m.in. co roku celebrowane są msze św. Za Ojczyznę z okazji Święta Niepodległości i Konstytucji. Dzięki uprzejmości Proboszcza teje parafii corocznie na błoniach przy kościele odbywają się dożynki gminno-parafialne, były tu także organizowane dożynki powiatowo-diecezjalne (diecezji sosnowieckiej). Na takich uroczystościach pojawia się wielu gości z całego regionu. Wszyscy odwiedzający naszą gminę są tu bardzo mile widziani i zawsze serdecznie witani. Kościół pw. Świętego Mikołaja to zabytkowa świątynia w stylu barokowym, która ma wyjątkowy klimat, o czym każdy odwiedzający go mówi, ale jest to przede wszystkim duża zasługa gospodarza, ks. kanonika Janusza Rakoczego, który potrafi zachęcić wszystkich do częstego jej odwiedzania, nawet osoby spoza gminy Mierzęcice.

Utracone raje kuracjuszy

MARTYNA KLESZCZ

Jedne oblegane przez kuracjuszy i turystów, inne zapomniane. Polskie uzdrowiska – choć przyjęło się uważać, że przeżywają dzisiaj swój renesans – mają losy odmienne od powszechnych wyobrażeń. Ich historie, podporządkowane przypadkowi, innym razem biegowi wielkich wydarzeń, są świadectwem przemian zachodzących w Polsce na przestrzeni ostatnich wieków. Aby dostrzec ową zależność, wystarczy wspomnieć kilka z nich. W historiach Ustronia, Jaworza czy Truskawka przejawiają się bowiem nastroje społeczne, zmiany gospodarcze, postęp nauk medycznych i wreszcie bezlitośna polityka. Ta ostaną zniweczyła rozwój wielu świetnie prosperujących, nowoczesnych uzdrowisk, którym do dziś nie udało się przywrócić dawnej świetności. Inne próbują sprostać coraz bardziej wymagającym potrzebom masowego turysty, tracąc jednocześnie swój dawny, kameralny urok.

Śląskie piramidy zdrojowe

Ustroniu, miasteczko położone w malowniczej dolinie Wisły, to najlepszy świadek przemian społeczno-politycznych, jakie zaszły w Polsce w XX wieku, a w szczególności w jego II połowie. To właśnie wówczas stał się on częścią państwowego planu zmodernizowania polskiej służby zdrowia. Plan ów zakładał stworzenie na południu kraju rozległego pasa uzdrowiskowo-rekreacyjnego, a średnio popularny wówczas Ustroniu stanowił jego ważną, choć nie jedyną część. Architektoniczna koncepcja obejmowała również Wisłę oraz Szczyrk, ale z nieco odmiennym dla nich przeznaczeniem. Gdy Wisła miała stać się zimowym ośrodkiem sportowym, a Szczyrk największym na południu

kraju centrum wypoczynkowym, w Ustroniu dostrzeżono ogromny potencjał turystyczno-uzdrowiskowy. Tymczasem to małe miasteczko już od dawna, bo od przełomu XVIII i XIX wieku, było celem leczniczych podróży. To tu od czasu, gdy odkryto, że żużel – będący nota bene odpadem hutniczym – nadaje wodzie prozdrowotne właściwości, do miasta zaczęli nadciągać pierwsi kuracjusze. Żużlowe kąpiele przynosiły ulgę w chorobach reumatycznych i niwelowały towarzyszący im ból. Z czasem, wraz ze zwiększającą się liczbą przyjezdnych przybywało miejsc noclegowych, a wraz z nimi parków oraz skwerów, w których przyjezdni mogli spacerować i odpoczywać. Stopniowo, dzięki ulepszonej infrastrukturze, rozrastającemu się zapleczu noclegowemu oraz coraz liczniejszym wygodom turystycznym, Ustroniu stawał się miejscem lubianym i chętnie odwiedzanym.

Znaczącym momentem dla Ustronia okazał się jednak przełom XIX i XX wieku. Wraz z wyczerpaniem się złóż rud żelaza oraz stopniowo upadającym przemysłem zniknęły również kąpiele żużlowe. W międzyczasie w mieście odkryto jednak naturalne pokłady borowiny, będącej odmianą torfu o wyjątkowych właściwościach zdrowotnych. Substancja ta zresztą wykorzystywana jest po dziś dzień do przygotowywania leczniczych kąpielei oraz okładów. Podgrzana do odpowiedniej temperatury stanowi remedium dla bolących stawów oraz ścięgien, w szczególności w przypadku ich zwyrodnień oraz urazów. Papki z niej przygotowane, z uwagi na zawartość w swoim składzie naturalnych hormonów, są stosowane także w schorzeniach ginekologicznych.

Borowina nie była jednak jedynym ustroniskim odkryciem tamtego okresu. W latach 80. XIX wieku odnaleziono tam źródła cennych dla zdrowia wód. Przeprowadzone badania dowiodły, że posiadają one w swoim składzie wartościowe substancje mineralne, takie jak chociażby potas, żelazo czy wapń. Obecnie jednak jedynym działającym w Ustroniu źródłem jest Źródło Karola, z którego wodę czerpano na długo przed tym, jak odkrył je kasjer ustroniskiej kuźni Karol Hoheisel.

Dzięki źródłom wód leczniczych oraz wspomnianej wcześniej borowinie Ustroniu stał się jednym z najchętniej uczęszczanych uzdrowisk. Prawdziwą rewolucję miała jednak przynieść druga połowa XX wieku, gdy ówczesny wojewoda śląski Jerzy Ziętek zaplanował odmienić oblicze południowego pasma województwa śląskiego. Zainspirowany planami swojego poprzednika Michała Grażyńskiego postanowił uczynić z Ustronia największy w Polsce kompleks uzdrowiskowy dla śląskich hutników. Do tego celu konieczne było wybudowanie kilkudziesięciu budynków mieszkalnych, w których mogliby przebywać kuracjusze. Plan zakładał ponadto stworzenie domu uzdrowiskowego, szpitala reumatologicznego, hali spacewowej, pijalni wód czy nawet kina.

Do realizacji tego niezwykle odważnego i zarazem trudnego przedsięwzięcia powołano parę śląskich architektów, Aleksandra Frantę i Henryka Buszko. To według ich koncepcji oraz planów miał powstać najnowocześniejszy na tamte czasy kompleks uzdrowiskowy. I nie stało się inaczej. Znany i niezwykle ceniony duet – nie tylko zresztą w środowisku architektonicznym, ale rów-

Sanatorium Równica w Ustroniu. Fot. arch.



BAD ERNSDORF. — Schloßpark.
KĄPIEL JAWORZE. — Park zamkowy.



for. arch.

niez poza jego kręgiem – stworzył na stoku Równicy zachwycający zespół modernistycznych budynków. Co więcej, architektom udało się wpisać go w górski krajobraz, nie przytłaczając i nie zaburzając naturalnej urody miejsca. Z uwagi bowiem na ogromne wymagania władzy cały kompleks musiał pomieścić ogromną liczbę odwiedzających, co z kolei pociągało za sobą konieczność wybudowania wysokich obiektów. Aby więc nie zniszczyć wizualnej strony krajobrazu, Buszko i Franta zdecydowali się nadać budowłom kształt piramid. W ten sposób ich dzieło, choć ostatecznie niedokończone, idealnie wpisało się w naturalne tło zbocza i cieszy oczy przyjezdnych po dziś dzień.

Niegdyś jednak, szczególnie w latach nasilonej krytyki systemu komunistycznego, nowatorska na ówczesne czasy wizja Buszki i Franty spotkała się z falą niezbyt przychylnych opinii. Głosy krytyków podkreślały inwazyjny charakter projektu i jego negatywne konsekwencje dla środowiska. I rzeczywiście, działania budowlane obejmujące stworzenie wielopiętrowych obiektów oraz niezbędnej dla nich infrastruktury zagarnęły rozległy obszar wolnej do tej pory, niemalże dziewiczej przestrzeni. Mimo tego trudno zaprzeczyć, że ten modernistyczny kompleks uzdrowiskowy to perła polskiej architektury, godna światowej sławy budynków. Jak wielkie jest to osiągnięcie, można dostrzec jeszcze wyraźniej, gdy weźmie się pod uwagę kontekst społeczno-polityczny ówczesnych czasów. Dzisiejsze spojrzenie architektów, krytyków, historyków czy chociażby turystów jest więc odmienne i nie brak w nim również szczerego zachwytu. Ustrońskie piramidy upodobał sobie między innymi Filip Springer, reporter

i fotograf, którego książki o polskiej architekturze cieszą się ogromną popularnością. To w jednej z nich możemy przeczytać: „Na piramidach ich zadanie się jednak nie kończyło. Dominantę i centrum całego zespołu na Zawodziu stanowi sanatorium Równica. To nawiązanie do najlepszych modernistycznych tradycji, budynek bowiem w swym kształcie przypomina wielki statek z wyraźnie wyodrębnionym mostkiem. Horyzontalnie biegnące pasma balkonów nadają mu lekkość, podobnie jak biały kolor i tarasy na rozległych dachach. Całość mimo ogromnych rozmiarów zachwyca, z daleka obiekt ten wygląda, jakby płynął w zieleni, lawirując między białymi skałami śląskich piramid rozrzuconych po okolicy, wystających ponad wierzchołki drzew”.

Zapomniane Jaworze

Oblegany dziś przez turystów i kuracjuszy Ustron to niezaprzeczalnie jeden z najważniejszych kurortów leczniczych na mapie Polski. Inne miejscowości uzdrowiskowe nie miały już tyle szczęścia. Wiele z dawnych, świetnie prosperujących uzdrowisk upadłolub zostało zapomnianych. Dziś część z miejscowości zdrowych stara się jednak odzyskać swoją dawną świetność, tak jak położone niespełna 15 km od Ustronia Jaworze. Ta niewielka, bo licząca około 7 tysięcy mieszkańców wieś była niegdyś prężnie działającym i chętnie odwiedzanym uzdrowiskiem. To tu pod koniec XVIII wieku właściciel tutejszych ziem, baron Maurycy wywodzący się z rodu Saint Genois d'Anneaucourt, zainicjował działalność uzdrowiskową. Aby zapewnić pierwszym kuracjom najlepsze warunki do powrotu do zdrowia, oddał do użytku swój klasycystyczny pałac oraz przy-

legający do niego park krajobrazowy. XIX-wieczne, kameralne i pełne zieleni Jaworze przyciągało tłumy kuracjuszy – jak zauważa w swojej książce *Zapomniane uzdrowiska* Jarosław Kita – zbyt liczne na ówczesną bazę noclegową. Do przyjazdu do Jaworza kusily jednak korzystne warunki zdrowotne tamtejszych okolic, jak i niezbyt wysokie ceny zabiegów oraz noclegów. Świetni lekarze czuwający nad zakładem oraz pacjentami stanowili równie przekonujący argument do wizyty w beskidzkim zdroju. I choć na początku XX wieku Jaworze wciąż odstawało od zagranicznych, a nawet polskich kurortów, do zdrojowiska przybywało wielu kuracjuszy, w tym Niemców, jak i Polaków. Wśród tych ostatnich znalazły się znane postaci: poeta i etnograf Wincenty Pol, pisarka Maria Konopnicka, a także Julian Tuwim, Stefan Kisielewski czy Jan Parandowski. Do Jaworza dotarł również Stanisław Ignacy Witkiewicz, w niezwykle trudnym dla siebie okresie depresji. Zachwycony atmosferą panującą w uzdrowisku pisał do swojego przyjaciela, że właśnie tu rozpoczyna nowe życie.

Maria Dąbrowska z kolei, pisarka i jednocześnie stała bywalczyni Jaworza, zachwalała uzdrowisko słowami: „Dzięki wysokiej kulturze, jaką odznacza się w ogóle ta okolica kraju, mamy tu we wszystkim komfort wielkomięjski, a zarazem przebywamy wśród autentycznej wsi. Toteż grozi tu zawsze to, co się stało w Zauberbergu Tomasza Manna. Chorzy zostają wprowadznie nie dziesięć lat zamiast czterech tygodni, ale dwa lub trzy razy dłużej niż zamierzali. Zostają, mimo że nie ma tu żadnych rozrywek, jedynie «Ziemia, prosty człowiek i Bóg». Trzeba też, ma się rozumieć, mieć własną treść wewnątrz-

na, aby się w tych prostych warunkach czuła niby w raju”. Dzięki podobnym wpisom Marii Dąbrowskiej, drukowanym w warszawskiej prasie, pisarce udało się rozpromować Jaworzę wśród mieszkańców stolicy. Dzięki niej do tego niewielkiego uzdrowiska położonego w Beskidzie Cieszyńskim przyjeżdżała elita intelektualna okresu międzywojennego. Ponadto, to w Jaworzcu pisarka stworzyła znaczną część *Nocy i dni*. Z Jaworzca pisała również listy do swojego wieloletniego partnera i wybitnego intelektualisty Stanisława Stempowskiego, z których wyczytać można, jak wielkie znaczenie miało to miejsce dla zdrowia, a także twórczości samej pisarki.

Jaworzańskie krajobrazy oraz spokój tamtejszego źródła wychwałała także tłumaczka i poetka Irena Tuwim, siostra Juliana Tuwima, w tych oto słowach: „[...] wybrałam najmiłsze miejsce: Jaworzę. Już w samej nazwie zawierało się tyle: był tam i jawor szumiący, i już delektowałam się w myśli jego cieniem w sierpniowym upały, był i bór, i grzybami pachniało w tym borze, i czarne jeżyny, na które tam mówią: ostrężyny. Pod wiecзор znalazłam się w schludnym i pogodnym miasteczku Bielsku. Stamtąd mała miejscowa kolejka zawiozła mnie do miłej stacyjki Jasienica. Potem tylko autem wysiłiganą, połyskującą szosą prosto przed siebie. Na widnokręgu ciemniały granatowe regle, a u ich stóp, niby na końcu świata, już samo Jaworzę, które jakby szukało odosobnienia i tu właśnie sobie przycupnęło”.

Jaworzę przyciągało zresztą nie tylko malowniczymi krajobrazami i spokojną atmosferą. Kuracjusze zachwycał się także perłą Jaworzca, czyli wspomnianym wcześniej parkiem zdrojowym, zlokalizowanym tuż przy pałacu barona Maurycego. Niezaprzeczalnie największym sekretem uzdrowiska była jednak słynna, choć dziś mało znana żętyca, czyli serwatka pozyskana z owczego mleka. Aby otrzymać żętycę o najwyższej jakości, hrabia Maurycy sprowadził do Jaworzca ponad 100 owiec specjalnej rasy. Te wypasane były na dworskich pastwiskach znajdujących się nieopodal kompleksu parkowego, i tam też dojono je, aby następnie wytworzyć z ich mleka cenną dla zdrowia serwatkę. Ową żętycę pijano najczęściej w godzinach porannych, zgodnie z zaleceniami lekarzy pracujących w uzdrowisku i doglądających pacjentów. Każda taka kuracja żętyczna dostosowana była do stanu zdrowia danego kuracjusza. Nierzadko wykorzystywano w niej dodatkowo tamtejsze wody zdrojowe. I choć nigdy nie potwierdzono naukowo właściwości leczniczych żętycy, uważano ją za doskonałe panaceum na dolegliwości układu oddechowego, w tym często występującą wówczas chorobę gruźliczą. W prasie popularnej oraz medycznej nieraz wychwalano zbawienne działanie żętycy na zdrowie. Nie bez przyczyny Wincenty Pol, poeta, geograf i botanik, stworzył słynne żartobliwe zdanie: „Kiedy w Jaworzcu piję żętycę, z radości jak baran rycę”.

Obok żętycy, kuracjusze przybywający do Jaworzca korzystali także z właściwości leczniczych wód mineralnych. Nad kuracjami tymi czuwał między innymi dr Edmund Kowalski, specjalista w dziedzinie balneologii i autor wydanego w 1895 roku podręcznika *Zasady Wodolecznictwa*. Owe zabiegi – kąpiele solankowe, kąpiele z igliwia, kąpiele ciepłe i zimne, kąpiele w naturalnych oraz sztucznych źródłach – pomagały w schorzeniach krążeniowych, chorobach układu nerwowego oraz dolegliwościach gastrycznych. W zakres kuracji wpisywały się również porady dietetyczne, zajęcia gimnastyczne oraz ogólna rekonwalescencja po ciężkich chorobach. Kompleksowe terapie miały przynosić długotrwałą poprawę zdrowia fizycznego oraz psychicznego pacjentów.

Na tym bynajmniej nie kończyły się korzyści płynące z tamtejszych kuracji. Zadbano również o komfort kuracjuszy oraz ich wolny czas. Jaworzę w okresie międzywojennym mogło bowiem pochwalić się Zakładem Przyrodoleczniczym gwarantującym wszelkie niezbędne dla gości wygody oraz rozbudowanym zapleczem rekreacyjnym z basenem i kortami tenisowymi. Dzięki owym dogodnościom zdroj przyciągał kuracjuszy również w okresie zimowym. O atrakcyjności beskidzkiego źródła w chłodniejsze miesiące decydował jeszcze jeden aspekt, mianowicie jego lokalizacja. Jak wspomina Jarosław Kita, Jaworzę stanowiło doskonały punkt wyjścia na szlaki górskie prowadzące na okoliczne szczyty oraz do śląskich uzdrowisk, takich jak chociażby położona nieopodal Wisła czy Ustroń.

Kres świetności uzdrowiska w Jaworzcu przyniósł wybuch II wojny światowej, której linia frontu przebiegała dokładnie przez ten malowniczy zakątek Beskidów. Działania wojenne nie tylko zniszczyły wiele cennych zabytków architektonicznych, ale zaprzepaściły lata pracy i starań lokalnych działaczy, którzy chcieli uczynić z Jaworzca popularne uzdrowisko. Od zniszczeń wojennych ocalał jednak pochodzący z końca XVIII wieku pałac wraz z dwoma należącymi do niego oficynami. Obecnie w budynkach tych, nie-

dostępnych dla turystów i kuracjuszy, mieści się Młodzieżowy Ośrodek Wychowawczy. Tymczasem przepiękny park zdrojowy pozostaje otwarty dla wszystkich osób odwiedzających Jaworzę. Działa w nim między innymi tężnia solankowa oraz parkowe biblioteczki z książkami do czytania. Pielegnowany przez tamtejsze władze park jest najlepszym dowodem starań, jakie czynią one, aby przywrócić Jaworzcu utracone miejsce na uzdrowskiej mapie Polski.

Złotodajna Kolchida Galicji

Tragiczne wydarzenia II wojny światowej odmieniły oblicza wielu świetnie prosperujących polskich uzdrowisk. Losy Jaworzca podzielił również Truskawiec, położony obecnie na terenach Ukrainy, nieopodal Drohobycza. Ta niewielka niegdyś wieś w okresie międzywojnia przyciągała znane postacie z różnych zakątków Europy, w tym również Polski. Bywała tu między innymi Zofia Nałkowska, a także Bruno Schulz, którego *Sklepy cynamonowe* ukazały się dzięki uznaniu oraz pomocy tejże pisarki. W tamtejszym parku zdrojowym swoje słynne przeboje, w tym utwory *Ostatnia niedziela* i *Tango Milonga*, zaśpiewał Mieczysław Fogg. Truskawiec odwiedziła także piosenkarka Hanka Ordonówna oraz aktorka teatralna i filmowa Mieczysława Ćwiklińska. W tamtejszych kuracjach zdrowotnych uczestniczyli również znani politycy, a spośród nich między innymi Wincenty Witos i Ignacy Daszyński.

Do Truskawca ściągali ponadto kuracjusze różnych narodowości, w tym obywatele Czechosłowacji, Węgier oraz Niemiec. Wśród mieszkańców z kolei przeważali Polacy, Ukraińcy oraz Żydzi. W historii tego miejsca zapisali się także Ormianie, Tatarzy, jak i Wołosi. Od dawna więc w Truskawcu stykały się różne tradycje, języki oraz wyznania, co znacząco wpłynęło na niepowtarzalny charakter miejsca oraz jego turystyczną atrakcyjność.

Tym jednak, co zachęcało do przyjazdu do Truskawca gości z dalekich zakątków Polski były tamtejsze wody lecznicze. Od-



TRUSKAWIEC-POMIARKI. Plaża.

fol. arch.



TRUSKAWIEC. Źródło „Naftusia“.

kryte przypadkowo, bo podczas poszukiwań złóż ropy naftowej, przyciągały osoby zmagające się z dolegliwościami zdrowotnymi, jak i osoby zdrowe, chcące zadbać o siebie profilaktycznie. W celu wsparcia swojego nadwątlonego zdrowia spożywano najczęściej słynną Naftusię, charakteryzującą się specyficznym smakiem oraz ostrym zapachem. Zawarte w niej minerały miały pomagać przede wszystkim w dolegliwościach układu moczowego, a w szczególności przy tworzeniu się piasku oraz kamieni nerkowych. Zalecaną ją ponadto w schorzeniach reumatycznych, dnie moczanowej czy przy zwężeniu tętnic. Naftusię, jak zalecali rezydujący w uzdrowisku lekarze, pito bezpośrednio ze źródeł. Woda ta, ze względu na zawarte w swoim składzie substancje, bardzo szybko bowiem traciła swoje prozdrowotne właściwości. Wodę tę wielokrotnie poddawano szczegółowym badaniom oraz analizom, jak czynił to chociażby Teodor Torosiewicz, lwowski farmaceuta i chemik, jeden z ojców polskiej balneologii. Jej dobroczynne działanie zachwalano również w popularnych piosenkach, w tym takimi słowami:

„Pij, pij, pij, pij, Naftusię pij,
na starość odrzucisz kij,
pij, pij, z choroby drwij,
w Truskawcu wesoło żyj”.

Poza Naftusią w Truskawcu pijano również inne wody: wodę chlorkowo-siarczanową Marię, wspomagającą organizm w nieżytach oraz stanach zapalnych układu pokarmowego, czy wodę Bronisławę, pomocną przy schorzeniach górnych dróg oddechowych. Lecnicze wody służyły nie tylko do picia, ale również do kąpieli, inhalacji czy

hydromasaży. Wykorzystywano tu ponadto borowinę, stosując ją do okładów lub kąpieli zdrowotnych.

Dzięki owym naturalnym wodom mineralnym i ogromnemu spektrum metod ich wykorzystania Truskawiec w bardzo szybkim czasie stał się jednym z najpopularniejszych polskich kurortów. Jak podkreśliła Anna Lisiecka w swojej książce *Wakacje 1939*,

„Miejscowość uwodziła także położeniem na wschodnich stokach Karpat oraz architekturą i dbałością o każdy szczegół w organizowaniu przestrzeni zarówno parkowej, jak i miejskiej. Dominował styl podhalański, ale w latach 20. pojawiać się zaczęły także obiekty w stylu Bauhausu – znakomicie zresztą wkomponowane w dotychczasową drewnianą zabudowę. [...] Zabudowania tonęły w zieleni. Parki były trzy: zdrojowy, Adamówka i położony najwyżej park leśny zwany Horodyszcze. Zagajniki na obrzeżach tego ostatniego pełne były paproci i leśnych dzwonek. Walory miejsca przyciągały jak magnes. Trudno się więc dziwić, że do Truskawca przyjeżdżały osobistości ze świata, dyplomaci, artyści”.

Do dziś w architekturze Truskawca zachowały się przepiękne wille, a wśród nich Goplanka w stylu zakopiańskim, będąca niegdyś własnością Rajmunda Jarosza, wieloletniego właściciela Truskawca. To tu znajduje się obecnie muzeum ukraińskiego artysty Mychajła Biłasa i zachwycający witraż z 1925 roku z widniejącym na nim XIX-wiecznym źródłem Naftusia. Jarosz, szanowany i ceniony zarządca uzdrowiska, zyskał sobie uznanie mieszkańców i kuracjuszy, modernizując i rozbudowując uzdrowisko. W okresie jego działalności Truskawiec tętnił życiem, goście nie tylko poddawali się

indywidualnym kuracjom, ale korzystali zarówno z uroków miejsca, jak i atrakcji, jakie oferowało. W wolnych chwilach, między zabiegami lub w trakcie przyjemnych wieczorów, można było posłuchać koncertów odbywających się w parku zdrojowym lub obejrzeć wystawę plastyczną. Tuż przy basenie solno-siarkowym utworzono plażę, na której kuracjusze mogli wypocząć lub skorzystać z porannej gimnastyki. Chętnie wypożyczano kajaki i łódki. „Las ochraniał plażę i basen od wiatru. Nieopodal znajdowało się Muzeum Przyrodnicze imienia Emmy Jarosz [...]. Poza cennymi ekspozycjami, kolekcjami żuków i motyli, ulokowano tutaj też wyborną bibliotekę gromadzącą kilkaset tomów literatury światowej na temat uzdrowisk”.

II wojna światowa, podobnie jak w przypadku Jaworza, zakończyła dobrą passę uzdrowiska w Truskawcu. Zniszczeniu uległo wiele budynków zdrojowych, ucierpiały między innymi piękne wille tworzące kameralny nastrój miasteczka. Polacy zamieszkujący Truskawiec na co dzień wysiedleni zostali na tereny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, głównie na obszar Dolnego Śląska. Dziś wielokulturowy i wytworny niegdyś Truskawiec istnieje tylko na kartach historii. I choć kurort wciąż odwiedza ją tysiące kuracjuszy, wśród których rzesza to Polacy, coraz trudniej odnaleźć spokój i upragniony wypoczynek. Historia nie oszczędziła bowiem Truskawca, podobnie jak Jaworza, które dziś zaciekle stara się o polskich kuracjuszy. Ustroń tymczasem, mimo że tłumnie odwiedzany dziś przez turystów, traci swoją modernistyczną klasę w gąszczu wielkoformatowych reklam i odpustowych straganów.

Formuła pierwszych i kolejnych tomów *Skamandra* („studia z zagadnień poetyki i socjologii form poetyckich”) zeniła ogień z wodą. Połączenie poetyki historycznej i socjologii form poetyckich (kultury literackiej) miało przełożyć się na nowoczesny sposób lektury zarówno samego ugrupowania literackiego, jak i formuły poezji przez nie proponowanego. Reguły tej lektury nie składały się wszakże na jednorodne modele. Poetyka historyczna, jako jedna z wersji historii literatury, poszukiwała uzasadnień sensu w *universum* gatunku lirycznego, jego kontynuacji czy zmienności, a socjologia literatury otwierała się na rozmaite przestrzenie komunikacyjne, również w kontekście obiegu wydawniczych, dystrybucji dzieł, ich obecności w środowiskach czytelniczych itd. Zbliżanie odmiennych, a nawet wyłączających się możliwości „czytania” środowiska/poetów/poezji było wpisywaniem się w ówczesne założenia metodologiczne polskiego strukturalizmu, na tyle synkretycznego, że dopuszczającego rozmaite formuły poszukiwań naukowych. Synkretyzm ten widoczny był także od samego początku w refleksji nad Skamandrem i skamandrytami.

Skamander jako grupa literacka traktowany był w szkole zagłębiowskiej szeroko: nie tylko w perspektywie wielkiej piątki poetów, ale także ich satelitów czy epigonów. Nie do wszystkich można było zastosować te same narzędzia lektury, nie wszyscy badacze chcieli też wykorzystywać je przy ocenie poszczególnych twórców. W intencjach Ireneusza Opackiego – pomysłodawcy, koordynatora badań i serii wydawniczej – pierwszy tom otwierał nowe perspektywy, ale równocześnie kotwiczył się swoimi ustaleniami w refleksji przedstrukturalistycznej, tj. w badaniach genetyczno-biograficznych. Nie inaczej było w tomach późniejszych. Początek i koniec (zagłębiowskich) badań skamandryckich znaczone były, jeśli można tak powiedzieć, optymistycznie manifestowaną niechęcią do metodologicznej jednomyślności.

U źródeł refleksji nad skamandrytami leżały – opublikowane w latach siedemdziesiątych XX wieku, więc wtedy najświeższe – badania dokumentacyjne Janusza Stradeckiego, Aliny Kowalczykowej oraz teoretyczna refleksja Michała Głowińskiego, Janusza Maciejewskiego i Stefana Żółkiewskiego nad instytucją grupy literackiej. Aplikacje historycznoliterackie Głowińskiego, Kowalczykowej, Jadwigi Sawickiej i innych przystosowane zostały jednak w zagłębiowskiej szkole wybiórczo. W istocie rzeczy, ścierały się w niej rozmaite koncepcje lektury. Badań dokumentacyjnych czy recepcyjnych tu nie prowadzono, koncentrując swoją uwagę przede wszystkim na interpretacji tekstu poetyckiego. Poezja zdominowała inne formy literackiego wysłowienia. Zaciążyła na tym osobowość Ireneusza Opackiego, oczekującego od swoich uczniów i współpracowników bardziej maestrii lektury niż historycznoliterackiej czy kulturologicznej zgodności tekstu z *universum* pozaliterackim. Miało to swoje konsekwencje: z perspektywy ćwierćwiecza widać, że poza obszarem prowadzonej refleksji pozostały olbrzymie polacie ska-

6 grudnia 1919 roku w sali Towarzystwa Higienicznego w Warszawie odbył się pierwszy wieczór autorski grupy Skamander, najważniejszego ugrupowania poetyckiego międzywojennej Polski. W Uniwersytecie Śląskim w latach 1978–1993 prowadzone były badania nad twórczością Skamandra, czego efektem – prócz autorskich monografii – była unikatowa seria dziesięciu tomów zatytułowanych po prostu Skamander. W stulecie istnienia grupy przypominamy historię tych badań.

Skamander płynie przez Śląsk

MARIAN KISIEL

mandryckiej eseistyki, a także prozy, dramatu, felietonistyki, przekładu itd. Zagłębiowskie badania były zasadniczo refleksją nad wierszem.

Podstawowe zadanie zostało jasno określone i miało doprowadzić do trwałego zdefiniowania relacji poetyki sformułowanej do immanentnej. To najprostsze – z dzisiejszego punktu widzenia – rozróżnienie strukturalistyczne na tyle zdominowało refleksję nad dorobkiem i dziedzictwem skamandrytów, że w serii pierwszej *Skamandra* i tomów około-skamandryckich poza nie raczej nie wychodzono, uznając, że między zamierzeniem (pomyśłem) a spełnieniem (realizacją) kryje się tajemnica badawczego odkrycia. Nad tą sprawą nie ma się chyba co pochylać i ją serio roztrząsać, ponieważ obrazuje tylko fakt, że młody zespół, rozpoznając dotychczasowy stan badań, wpisując się w jego poznawcze ustalenia, przygotowywał się do koniecznych odskoczni. I takie odskocznie wnet znalazł.

Najpierw – równoległe do koncepcji dzieła jako tworów autonomicznych – na płaszczyźnie komunikacyjnej. Komunikacja literacka, którą najlepiej definiował wówczas Edward Balcerzan, łączyła kwestie historycznoliterackie z tym, co względem historii literatury zewnętrzne. Głównie z zagadnieniami semiotyki literackiej, więc relacji znaku do znaku, gdzie od znaku idzie się do interpretacji, czyli – w istocie rzeczy – do człowieka, zrozumienia jego obecności w najróżniejszych modelach/układach kultury. Także w kontekście rozmaitych sposobów jego wysławiania się.

Najprościej mówiąc: chodziło o pokazanie twórców i ich tekstów w ścisłej łączności z kulturą masową XX wieku. Kwestię tę dogłębnie opisano w warszawskiej szkole kulturologicznej Stefana Żółkiewskiego, w odniesieniu do poezji lat dwudziestych była ona podnoszona także wcześniej. Rzecz w tym, iż dopiero w zagłębiowskiej szkole Opackiego doszło do tak wyraźnego pokazania socjologicznej koncepcji poety, realizowanej przez skamandrytów i ich gwiazdy odbite, a nade wszystko do wyinterpretowania z tekstów poetyckich, krążących w obiegach masowym i elitarnym, ich nowych funkcji estetycznych i poznawczych, określenia relacji tradycji „wysokiej” do „niskiej”, rozpoznania obiegu społecznych

i kulturalnych, gdzie role nadawcy i odbiorcy są naprzemienne. Poezja widziana w kontekście różnorodnych języków kultury, poszerzona o wypowiedzi przed XX wiekiem uważane za nieliterackie bądź słabo literackie, np. satyryczne czy kabaretowe, stawała się w ten sposób podstawą do pokazania rozmaitych form nowych – w ujęciu poetyki i socjologii.

Najlepiej do takich badań nadawał się Julian Tuwim. Poeta – jeden z największych w przeszłym stuleciu – znakomicie, przynajmniej, poddaje się rozmaitym interpretacjom. W szkole zagłębiowskiej/śląskiej stał się też koronnym poetą skamandryckim. Nie wnikając w przyczynę, warto przypomnieć, że autor *Sokratesa tańczącego* jest też najlepiej rozpoznany poetą tego kręgu w ogóle. Pisali o nim wszyscy. W tomie pierwszym serii (1978) poświęcono mu sześć szkiców, w tomie trzecim (1982) siedem, w ósmym (1991) i dziesiątym (1995) po jednym. Za pojedynczymi esejami przyszły wnet książki autorskie: Anny Węgrzyniak *Dialektyka językowej organizacji tekstu w poezji Tuwima* (1987) i Tomasza Stępnia *Kabaret Juliana Tuwima* (1988), później także inne prace.

W studiach Anny Węgrzyniak i Tomasza Stępnia, którzy ujęcia komunikacyjne konsekwentnie stosowali do opisu twórcy *Balu w Operze*, została pokazana nowa twarz poety. Patrząc na twórczość Juliana Tuwima z kilku perspektyw (socjologicznej, genologicznej, estetycznej), Anna Węgrzyniak dowiodła, że o specyfice jego języka artystycznego decyduje równoczesność uprawianych ról poety i kęściarza. Pod wpływem technik satyry i kabaretu monologowy czy dialogowy związek kodów artystycznych z imitacjami języków rzeczywistości został w twórczości autora *Balu w Operze* przedstawiony jako sposób na odświeżenie i uproszczenie języka poetyckiego. Kody stylowe tradycji „wysokiej” i przejawianie się zjawisk imitacyjnych (stylizowanych) miały wpływ na formowanie się satyrycznej i estradowej poetyki Juliana Tuwima. Badaczka przekonująco pokazała, jak w liryce „wysokiej” poeta z powodzeniem wykorzystywał chwytosy stosowane w tekstach satyrycznych i kabaretowych. Z jednej strony interesowały ją parodystyczne gry z frazeologią romantyczno-patriotyczną (obecną np. w po-

pularnej ówczesnie piosence legionowej), bądź ze „słowem gazety”, z drugiej natomiast reguły socjolingwistycznej poetyki wykorzystaną do interpretacji zorientowanej na kwestie związane z istnieniem.

W późniejszych swoich rozpoznaniach badaczka nie zrezygnowała z tej optyki, jakkolwiek już nie ona stała w centrum jej zainteresowań. W książce *Ja głosów świata imitator. Studia o poezji Juliana Tuwima* (2005) podjęła inny dialog z poetą. Widoczna we wcześniejszych studiach (w różnym natężeniu) analiza strukturalistyczna, ustąpiła miejsca ujęciom hermeneutycznym i genderowym (np. w zamkniętej zbior rozprawie „*Syn chuci bożej*”. *Kreacje siły i fantazje metafizyczne*). Powracając do Tuwima, autorka zatoczyła koło. Jej pierwsza książka koncentrowała się wokół zagadnień „dialogowości” tekstowej, książka ostatnia – wokół „wielogłosowości” kulturowej („[poeta] to przede wszystkim ktoś, kto jest wyczulony na wielogłosowość otaczającej go rzeczywistości kulturowej”). Badaczka napisała: „Tuwimowska praktyka artystyczno-producentcka (...) sprzyja formowaniu się poetyki tekstu wielogatunkowego, wielogłosowego, wielostylowego, w którym na równych prawach może spotkać się wszystko z wszystkim, bo wszelkie cezury ulegają zatarciu”.

To stanowisko, znane przecież od lat, zostało podbudowane gruntownymi i drobiazgowymi analizami wierszy, cykli wierszy czy – w ogóle – całych „rozdziałów” dorobku autora *Balu* w *Operze*. Jest tu więc mowa i o intertekstualnych związkach poezji Tuwima z różnymi stylami i gatunkami wypowiedzi literackich i paraliterackich, i o spotkaniu w niej żywiołu egzystencjalnego z metafizyką. Historia i ideologia (polityka), kultura wysoka i masowa stały się w książce Anny Węgrzyńskiej punktem wyjścia do wieloaspektowych rozważań nad relacjami liryki i piosenki, językiem komunikacji masowej, satyrą polityczną i jej hierarchiczną podrzędnością wobec liryki (cykl *Z wierszy o państwie*). Rozważania te zostały uzupełnione o nowy wątek, badaczka pochyliła się nad sensualizmem Tuwima i jego

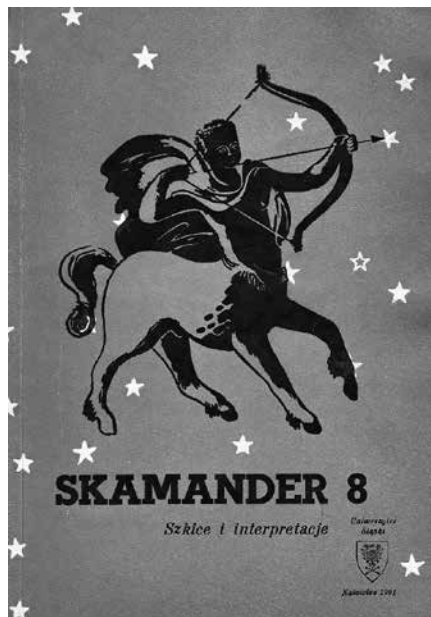
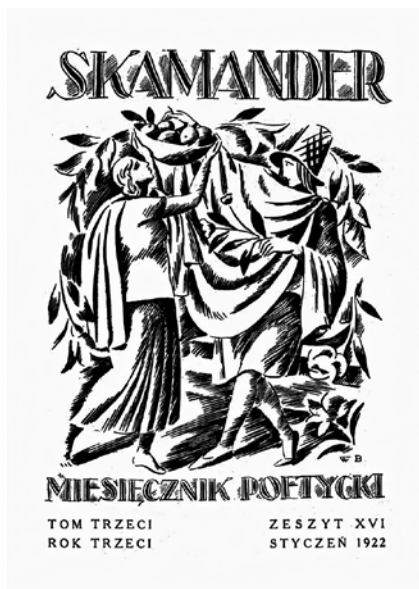
– skrytą za retorycznymi maskami – psychomachią. Jest to propozycja lektury niezwykle kusząca, odsłaniająca to, co ukryte „poza kolczastym ogrodzeniem języka: seksualizm poety, jego kłopoty z tożsamością, a wreszcie bezradna próba zastąpienia wirtuozerskim słownym rygoryzmem dramatu samotności, bezpłodności i pustki. Dzięki połączeniu wszystkich tych wątków, zobaczyliśmy nie tylko poetę „głosów świata imitatora”, mierzącego się ze współczesną mu „kakafonią języków i stylów” rzeczywistości, ale także osobowość pełną wielorakich napięć duchowych i tożsamościowych.

W tym samym czasie, co Anna Węgrzyńska, badania nad twórczością satyryczną i – głównie – kabaretową Tuwima podjął Tomasz Stępień. Prekursorów właściwie tu nie miał. W *Kabarecie Juliana Tuwima* (1988) zajął się „księciem poetów” i „królem kabareciarzy” na tle kabaretu warszawskiego, którego był jednym z najważniejszych twórców, i kabaretu w ogóle – „istotnego elementu kultury literackiej międzywojnia”. Badacz napisał: „Tuwim uprawiał wszystkie gatunki kabaretowe (np. piosenka, melodeklamacja, skecz), swobodnie operował literackimi technikami kabaretowymi (stylizacja, parodia, parafraza), tworzył teksty oryginalne oraz adaptował, kompilował i «pożył»”. Pokazał poetę na tle rynku rozrywki międzywojennej, nie rezygnując z wyrażenia tego, co obliczone ku publiczności, i tego, co autoteliczne. Wszystko mieści się w horyzoncie oczekiwań: Tuwim wychodzi naprzeciw potrzebom publiczności literackiej, nie rezygnując z bycia poetą *sensu stricto*. Owo współrzędniczenie ról, o którym pisał przekonująco Janusz Stradecki, a więc: poety, twórcy kabaretowego i satyryka – w monografii Stępnia zostaje przełożone na portret niebywały.

„Poeta kanoniczny swego czasu, ekspert literacki, a zarazem człowiek mający upodobanie do «kuchennych schodów» kultury: tandety, kiczu, grafomanii, kuriozów”. Właśnie taki Tuwim – pisze badacz – nobilitujący tandetną, trywialną rozrywkę, zacierający

granice między literaturą „wysoką” i „niską”, „między tekstami, ludźmi, instytucjami”, „kulturą, polityką i sztuką, wydaje się ciągle aktualny”. Stopień tę „aktualność” pisarstwa Tuwima pokazał w fundamentalnej edycji *Kabaretiana* (2002). Co zawiera ten zbiór? „Część (...) to dokumenty minionej epoki – ludyczne świadectwa zjawisk politycznych, społecznych, obyczajowych; inne – to brakujące ogniwa w ewolucji Tuwimowskiej poezji, materiał liryczny, szkice robocze i zarys niespełnionych możliwości; grupa ostatnia – to po prostu kanon polskiego kabaretu, estradowe arcydzieła”. Do kwestii nakładania się kultury wysokiej i niskiej powrócił Tomasz Stępień jeszcze w monografii *O satyrze* (1996; tu trzy studia o Tuwimie) i w zbiorze *Zabawa – Poetyka – Polityka* (2002), publikując tam m.in. rozprawę *Alkohol w kulturze literackiej dwudziestolecia (casus Tuwima)*.

Nie bez powodu poświęciłem więcej uwagi komunikacyjnemu wątkowi badań nad Skamandrem i dwojgu tylko badaczom. Wydaje mi się, że ich interpretacje są w tej perspektywie – najważniejsze. Komunikacja literacka jako dyscyplina wewnątrz polskiego literaturoznawstwa teoretycznego przeżywa dzisiaj kryzys, a może – jak twierdzą niektórzy – zmierzcha, niemniej do prac Węgrzyńskiej i Stępnia przyjdzie jeszcze wielokrotnie się odwoływać, ponieważ w sposób nowoczesny próbują one wyjaśnić sensy Tuwimowego dzieła. Odsuwa się natomiast na plan dalszy model patrzenia na Tuwima w perspektywie ewolucji form uprzednich i rzutowania na mapę prądów literackich (jak w pionierskich pracach Michała Głowińskiego). Ten – wywodzący się z reakcji przeciw genetyzmowi – model interpretacji historycznoliterackiej, opierający się na szeregach literackich, zakotwiczony w historycznej ciągłości, przyczynowej logice i ekstrapolacji, uprawiany jest już bardzo rzadko, odszedł do lamusa. Tu przywołały nazwisko Ireneusza Opackiego, twórcy serii *Skamander*, który historię literatury uprawiał z perspektywy poetyki historycznej (więc: ewolucji gatunków). Jeżeli jed-



nak prace Węgrzyniak i Stępnia kierowały się w stronę semiotyki strukturalnej, socjologii literatury, biografistyki czy rynku literackiego, to Opacki poszukiwał odpowiedzi literaturoznawczej w przestrzeni historycznoliterackich konkretów. I chociaż wtedy – prawdopodobnie – niezauważane/niezauważalne, dzisiaj te podejścia mistrza i uczniów stają w opozycji do siebie, a nie w dialogu.

Ireneusz Opacki poświęcił Tuwimowi dwa teksty. Dał interpretację *Zadymki* (1971) oraz napisał studium *Rousseau mieszczkańskiego dwudziestolecia. „Samotność” i „wspólnota” w międzywojennej poezji Juliana Tuwima* (1978). Pierwsza z tych prac – *Mówione rytmem* – jest mistrzowską realizacją literaturoznawczej interpretacji, druga – stała się wypowiedzią całościowo próbującą portretować międzywojenną poezję autora *Czyhania na Boga*. Twierdzi tutaj Opacki, że akceptujący cywilizację mieszczańską witalizm Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i Kazimierza Wierzyńskiego został w twórczości Juliana Tuwima przeciwstawiony witalizmowi antycywilizacyjnemu, natomiast problematykę jego poezji można „sprawdzić do kilku podstawowych opozycji: natura – kultura, indywidualizm – zbiorowość, autentyczność – pozory, samotność – wspólnota” (*Skamander*, I). Alternatywy te, wzięte z myśli Jana Jakuba Rousseau, przekładają się z kolei na takie kwestie, jak: koncepcja zuniformizowanej wspólnoty, świat wartości pozornej, tragizm osobowości rozbitej na „być” i „wydawać się”, przeciwstawienie miasta i prowincji, języka intymnego i publicznego, koncepcja powrotu do natury i sentymentalnego buntu, rozumianego jako manifestacja samotności. Ten sposób patrzenia na międzywojenną poezję Tuwima zawążył w dużej mierze na zagłębiowskiej lekturze wierszy innych członków *Skamandra* (przynajmniej do końca serii). Później o propozycji Opackiego raczej już nie mówiono lub tylko mówiono wybiórczo. Twórcze rozwinięcie jego koncepcji dał Tadeusz Makles w studium *Wobec ojczyzn. O ojczyznach ziemskich i idealnych w twórczości Juliana Tuwima i Antoniego Słonimskiego* (1987).

Prawem przypisu dodajmy, że po zakończeniu zespołowych badań nad *Skamandrem* były później kontynuowane rozmaite badania dalsze. Warto tutaj wspomnieć Ryszarda Koziołka i jego pochylenie się nad intertekstualną relacją Tuwim – Baudelaire (2009), czy też refleksje Macieja Tramera nad skandalem skamandryckim (*Literatura i skandal. Na przykładzie okresu międzywojennego*, 2000) czy też *Lewym profilem Juliana Tuwima (Rzeczy wstydyliw, a nawet mniej ważne*, 2007). To wszakże tylko drobne wyimki z większego obszaru.

Drugim poetą skamandryckim, który w szkole zagłębiowsko-śląskiej zyskał równie wielką jak Tuwim popularność, był Kazimierz Wierzyński. Poświęcono mu nie tylko tom zbiorowy, ale także dwa doktoraty: Romualda Cudaka (opublikowany we fragmentach) i Zdzisława Marcinowa. Autor *Wiosny i wina* miał swoje wcześniejsze dobre rozpoznania m.in. w krakowskich monografiach Marii Duskiej i Jolanty Dudek, a jednak wciąż domagał się

dopowiedzeń i usytuowania w nowych kontekstach. Na Wierzyńskiego najpierw patrzone jak na Tuwima, tj. komunikacyjnie (Romuald Cudak), ale zaraz zmieniła się optyka i w tomie piątym *Skamandra* głównym terenem badań stała się twórczość emigracyjna poety. (Zaznaczyć trzeba, że w tym czasie na polonistyce zagłębiowskiej zaczęto szerzej interesować się emigracją, zwłaszcza londyńską; głównym moderatorem tych badań był Marek Pytasz). Wierzyński międzywojenny i emigracyjny był analizowany podobnie – w kontekście tradycji romantycznej. W szkicach o nim zaczęły się pojawiać takie toposy emigracji, jak: „tu” i „tam”, „ojczyzna” i „obczyzna”, Polska i Europa (Ameryka), „zakorzenie” i „wykorzenie”...

Omawiano tę twórczość od strony uobecnionej w niej kreacji bohatera romantycznego, mitu podróży, ale także zwracano uwagę na polityczność jego wierszy. Wierzyński równie popularny co Tuwim, fascynujący własnym idiolektem poetyckim, a jednocześnie niezamykający się wyłącznie w poezji samej, próbujący siłą na różnych polach literatury, nie został jednakże tak wszechstronnie opisany w szkole zagłębiowskiej, jak jego grupowy towarzysz. Warto zwrócić w tym miejscu uwagę na rozprawę doktorską Zdzisława Marcinowa, która w wersji zmienionej i poszerzonej ukazała się pt. *„W szczęściu i w trwodze”. Wątki egzystencjalne w twórczości Kazimierza Wierzyńskiego* (2004). Nawiązując m.in. do filozofii Martina Heideggera, badacz zajął się kluczowymi dla poety kwestiami: czasem (porami roku), codziennością/powszednością życia, historią, zagadnieniami dobra i zła („wojny w człowieku”), a zatem: fizyką, metafizyką, etyką i aksjologią, czyli kwestiami fundamentalnymi z punktu widzenia poezji.

Wierzyńskiemu poświęcony został tom piąty serii (1986). Tom czwarty (1984) nieoczekiwanie miał jednak innego bohatera. Po dwóch tomach ogólnych, trzecim o Tuwimie, ukazały się studia o twórczości Stanisława Balińskiego. Wcześniej tego poetę zapowiadał szkic Jana Piotrowiaka *Literackie podróże. Międzywojenna twórczość Stanisława Balińskiego* (*Skamander*, II), teraz doczekał się on zbliżeń i przekrojów, głównie jednak wąskotematycznych (motyw podróży, wspomnienie przeszłości, emigracyjna nostalgia). W ostatnim tomie serii ukazał się szkic Ireneusza Opackiego *Przemiany teraźniejszości. O poezji Stanisława Balińskiego* (*Skamander*, X), pierwotnie założony jako wstęp do poezji Balińskiego, które miało opublikować Wydawnictwo Literackie w Krakowie. Opacki interpretował Balińskiego jako poetę typowo skamandryckiego, z pozycji „teraz” podejmującego rozmaite „przewartościowania i przestrukturyzowania”.

Wcześniej Ewa Jaskółowa poświęciła poecie dysertację doktorską (*Poetyckie podróże Stanisława Balińskiego*, 1988). Po raz pierwszy w krajowej historiografii literackiej przywrócono w takim wymiarze honor wybitnemu poecie międzywojennemu i emigracyjnemu, „ostatniemu ze skamandrytów”, który – mimo upływu lat od jego śmierci – wciąż dobija się do świadomości współczesnych. Do dzisiaj jest

to bodaj jedyna praca o tym twórcy, dodajmy: znakomicie syntetyzująca jego dorobek. Autorka wiele uwagi poświęciła motywowi podróży w liryce Balińskiego, łącząc go z rozmaitymi tropami romantycznymi. Zauważyła wszakże, że ów romantyczny ślad nie jest tutaj wcale jednoznaczny. Zwłaszcza w tomikach wojennych, gdzie między samoświadomością polskości a wyobcowaniem, między pamięcią tradycji a nacierającymi zewsząd znakami inności, podmioty wierszy Balińskiego odczuwa swoją sobowótowość, jest rozdwojony między pragnieniem i koniecznością, między światem własnego „ja” i historią. Ważny interpretacyjnie jest ten fragment książki, który pokazuje emigrancki status podmiotu. Obczyzna determinuje zajęcie postawy, jakiej nie spodziewa się człowiek, który nie doświadczył straty. Odbywa podróżę w sen i przeszłość. Nawiązuje kontakt z rzeczywistością, jaką utracił kiedyś, a jaka *in illo temporis* wydawała mu się mało ciekawa. Podróżę Balińskiego są więc stałą ucieczką: najpierw w nieznaną (bo niedoświadczoną), a następnie w znane (i już nigdy niedostępne tajemnicy). Ten wątek zostanie później (1994) twórczo podjęty w interpretacji wiersza *Lechoń* autorstwa Jolanty Kisiel (druk w jej zbiorze *Imiona łęku. Szkice o poetach i wierszach*, 2009).

Słonimski to seria szósta *Skamandra* (1988). Jak wiemy, poeta wcześniej został świetnie opisany w monografiach Aliny Kowalczykowej *Liryki Słonimskiego 1918–1935* (1967) oraz Marka Pytasza *„Nie mam recepty na zbawienie świata...” Wokół „Kronik tygodniowych” Antoniego Słonimskiego* (1987), ale jego obecność w recepcji czytelniczej była raczej nieznaną. Czasami poeci za życia stają się klasykami współczesności, „ku czci” i „od akademii”, a ich twórczość bytuje peryferyjnie, jest marginesowa w omówieniach krytycznych, nie może się wydobyć z marmurowych szat. Badacze szkoły zagłębiowskiej również nie przywrócili poecie jemu należnej rangi. Pisali o wierszach wczesnych (Ewa Jaskółowa) i ostatnich (Anna Węgrzyniakowa), o symbolicznym umieraniu ojczyzny w wierszach wojennych (Ewa Pytasz, Tadeusz Makles), o sztuce perswazji (Jadwiga Sawicka) i sztuce aluzji literackiej (Anna Szawerna-Dyrzka), o powieściach *Teatr w więzieniu* (Krzysztof Kłosiński) i *Torpeda czasu* (Stefan Szumutko), a wreszcie o Słonimskim uwikłanym w życie polityczne i literackie przedwojnia i powojnia (Marek Pytasz, Jerzy Paszek, Józef Olejniczak, Włodzimierz Wójcik). Trudno z tego złożyć spójny portret. Jeżeli więc owe dopowiedzenia, próby nowych odczytań, czy też nowe oświetlenia starych kwestii brzmiały odkrywczo i świeżo, to dlatego, że są one wypowiedziane nie w narracji historycznej, lecz w języku interpretacji (zwłaszcza szkice Maklesa i Węgrzyniakowej), odbitej od strukturalizmu, zmierzającej ku hermeneuetyce form.

Jan Lechoń doczekał się tomu i nowych o nim refleksji pod koniec serii. Wcześniejsze szkice o nim autorstwa Ireneusza Opackiego interpretowały jego poezję w kontekście narodowych „mitów” i „wyobraźni” (warto przypomnieć także studium *Od „Karmazynowe-*

go poematu” do „Wolności tragicznej”. *Problematyka mitów narodowych w poezji Skamandra – zarys*, 1978). „Cóż to za nazwisko, pachnące Polską, Słowackim, legendą, tajemnicą?” – pytał w roku 1920 Jacek Malczewski, ów genialny artysta łączący Polskę i Tanatosa. I z tym pytaniem wkroczone w serię siódmą (1991) i ósmą (1991) *Skamandra*. Dla Lechonia nie był to dobry moment. Kończyła się seria, kończył się strukturalizm, nawet kończyła się chęć zajmowania się emigracją. I kończyła się „polskość” widziana jako wartość romantyczna, utracona, zaprzepaszczona. Kiedy przysłyżły tomy analityczne o Lechoni, wszyscy oddychaliśmy pierśią wolności! Zmieniała się epoka. Nie historia, pamięć przeszłości, lecz terażniejszość – jak w roku 1918 – i człowiek w nowym świecie, tarmoszący się z samym sobą – to były ówczesne zainteresowania.

Lechoń w szkole zagłębiowsko-śląskiej ma dwa oblicza: Ireneusza Opackiego i Joanny Kisiel. Pierwszy postrzegal go więc w zaklętym kręgu polskości (ostatni jego szkic o poecie nosi tytuł *Lechoń i polskie mity*, 1993). Badacz pozostawił znakomite szkice na ten temat. Ale Lechonia poromantycznego, polskiego, czytał znawca romantyzmu, polskości utrwalonej w znakach nieoczywistych. Joanna Kisiel w monografii *Retoryka i melancholia. O poezji Jana Lechonia* (2001) poszła inną drogą, zobaczyła Lechonia jako poetę retorycznego i romantycznego jednocześnie, melancholika, porywającego się na swoje życie u źródeł młodości i tragicznie kończącego w wieku niestarym. Lechoń melancholijny – to była pionierska lektura, za nią poszły inne, już nie z kręgu śląskiego. Więc te dwa oblicza Lechonia – zamkniętego w polskości i w ciemnej żółci egzystencji – to także dwa jego wizerunki w krajowym literaturoznawstwie.

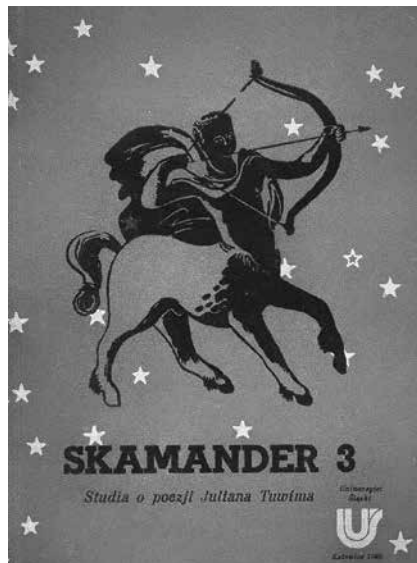
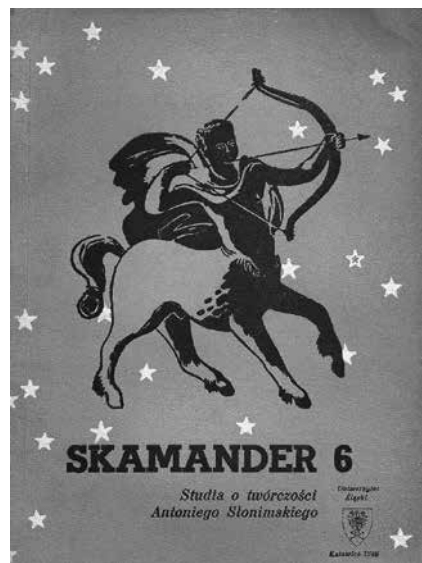
Iwazkiewicz doczekał się tomu dziewiątego serii (1993). Tom ten nie ma żadnej idei głównej, jest zbiorem szkiców, które łączy jedynie osoba poety. Cztery interpretacje o trzech wierszach, próbka interpretacji jednego opowiadania i jednej prózki poetyckiej – oto cały tom. Widać na tym przykładzie, a symptomów zmierzchu upatrywać należy wcześniej, że definitywnie kończyła się idea badań skaman-

dryckich w szkole zagłębiowsko-śląskiej. Tom o Iwazkiewiczu przyniósł precyzyjną analizę muzyczności *Nieba* pióra Joanny Dembińskiej-Pawelec oraz mistrzowską interpretację *Uranii*, której autorką była Anna Węgrzyniak. Z lektury przebijała twarz Starego Poety i Poety Odchodzącego. Symbolicznie ostatni jego wiersz – *credo* i *requiem*, jak napisała Węgrzyniakowa, doczekał się dwóch odczytań. I trzeba było czekać kilku lat, zanim ukazała się – poza serią, kiedy była już ona legendowym wspomnieniem – dwie ważne książki: Adama Dziadka *Rytm i podmiot w liryce Jarosława Iwazkiewicza i Aleksandra Wata* (1999) oraz Zdzisławy Mokranowskiej *Młodość i starość. Studia o twórczości Jarosława Iwazkiewicza* (2009).

Zaznaczyć trzeba, że seria *Skamander* (1978–1993) miała swoje rzuty równoległe, szkice o Skamandrze i skamandrytach ukazywały się na łamach *Prac historycznoliterackich* (tomy 10, 14), w *Studiach skamandryckich i innych* (1985), że ze spotkań konferencyjnych zrodziły się zbiory studiów – Włodzimierza Wójcika o podróży i przyjaźniach *Skamandryci i inni nad Sekwaną* (1995), monografia Zdzisławy Mokranowskiej *Prozy pototów kręgu „Skamandra”* (2003), czy wreszcie podsumowanie analiz Ireneusza Opackiego *Król Duch, Herostrates i codzienność. Szkice* (1997). Nie zapominamy o interpretacjach Leonarda Neugera czy – z młodszego pokolenia – Moniki Ładoń („*Bardzo proszę pamiętać, że ja byłem przeciw*”). *Studia o Antonim Słonimskim*, 2008). Na tym tle miejsce szczególne przypada zbiorowi Aleksandra Nawareckiego *Rzeczy i marzenia. Studia o wyobraźni poetyckiej skamandrytów* (1993). Badacz podejmuje fundamentalną kwestię „wyobraźni poetyckiej” (idzie tutaj tropem Gastona Bachelarda), a także temat rzeczy, zdawałoby się marginalny, a nawet „drugorzędny lub niefortunny w dorobku Skamandra”. Książka ta idzie obok równoległych prac szkoły zagłębiowskiej, a nawet w poprzek nich. Otwiera refleksję nad „mikrologią”, interpretacją wierszy i ich odmian: fragmentów, urywków, czasami tylko metafory lub znaku niejasnego.

Szkic o „naszych skamandrytach”, czyli badaczach nie wielkiej piątki, ale szóstki poetów warszawskich byłby niepełny, gdybyśmy pominęli w nim refleksję o skamandrytach „mniejszych” i ich satelitach. Nie pisano o nich prawie nic, trochę o Feliksie Przywieckim i Zygmuncie Karskim (Anna Szawerna-Dyrszka), nic o Karolu Husarskim (jeżeli był skamandrytą), Zuzannie Ginczance, Irene Tuwim, Jerzym Liebercie. Nie sięgnięto do Kazimierza Iłakowiczówny, choć bardzo by do tego towarzystwa pasowała, Józef Wittlin doczekał się tomu poza serią, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska wielu szkiców autorstwa Elżbiety Hurnik i jej dwóch (klasycznych już dzisiaj w krajowym literaturoznawstwie) książek *Natura w salonie mody. O międzywojennej liryce Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej* (1995) oraz *Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. Zarys monograficzny* (1999, 2012). I to ta poetka właśnie przeżywa dzisiaj swój renesans czytelniczy, znakomicie czuje się w nowych interpretacyjnych kostiumach. Z innych ważnych szkiców o poecie należy wymienić Aleksandra Nawareckiego *Akwatyki* (1993) i Joanny Kisiel *studium o fantazmacie samobójstwa* (1999) oraz *zasłonach ciała* (2011). Ostatnie z wymienionych prac, czerpiąc inspirację z myśli Bachelarda, są znakomitą i rzadko obecną w refleksji nad Skamandrem realizacją krytyki tematycznej.

Co zostało z badań nad Skamandrem? Kilka dobrych książek, wiele dobrych szkiców i – legenda środowiskowa. Nie został wypracowany nowy sposób czytania grupy i poetów. Stało się tak dlatego, że – jak napisałem wcześniej – intencją pomysłodawcy serii było uważne odczytywanie poezji, wnikiwanie w sens pojedynczych utworów, szukanie w nich potencjalnej nowości. A jednocześnie zakotwiczenie w porządku tradycji literackiej, w przemianach gatunkowych. Raz się udawało, raz nie. Jeżeli jednak wracamy pamięcią do dawnych lat, i jeżeli mówimy o szkole śląsko-zagłębiowskiej czytania Skamandra, częstokroć zastępując ją (nie zawsze trafnie) określeniem „szkoła Opackiego”, to chyba zostało coś jeszcze – świadomość własnej wartości. Nowa polonistka na nowym uniwersytecie (Uniwersytet Śląski „urodził się” w roku 1968) od razu stawała w centrum zdarzeń i wymiany myśli. Nie jako polonistka peryferyjna, ideologicznie określona, ale nowoczesna, której przedstawiciele należy i trzeba uważnie słuchać. ■



Artykuł pod pierwotnym tytułem *O zagłębiowsko-śląskiej szkole badań skamandryckich* ukazał się jako posłowie do publikacji *Skamander. T. 11: Reinterpretacje*. Pod red. Macieja Tramera i Agnieszki Wójtowicz, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2015. Tutaj prezentujemy jego lekko zmieniony autor-ski skrót. Wydawnictwu Uniwersytetu Śląskiego dziękujemy za zgodę na przedruk oraz za udostępnienie materiału ilustracyjnego.

derma taka sama od lat

czytam niemal wyłącznie, kiedy jadę, zmierzam tam, z reguły sam. nierzadko również wracając stamtąd, chociaż wówczas zdarza mi się woleć rozmyślać o tym, co tam. ale nie zawsze, gdy jadę tam, czytam. nieraz stoję, bo – na przykład – nie ma żadnego wolnego miejsca, a wtedy trudno czytać, naprawdę, gdy jest się włożonym między pasażerów równie cierpliwie stojących (czasem niecierpliwie). drapiących rany, gubiących wzrok, gładzących kanty zbroi. festung nicolai, festung tichau, festung hindenburg.

chomik to ma klawe życie

tyle nam starcza na powitania, przebywania oraz traumatyczne rozstania. ponownie świat okazał się być sztucznym bytem stworzonym dla innych, dzień jutrzejszy wczorajszą rozterką, przyszłość no future. kogo tu witać? może jedynie chomika, który znalazł dom otoczony klatką, po czym zmarł, bo ileż można być zabawką. świat skrojony pod chomika? zawsze to jakieś universum: miska, woda, huśtawka, parę patyczków dla zabawy. po czym miło było, lecz teraz wasza kolej: miska, woda, karuzela i parę patyczków dla doraźnej rozrywki. innej proszę nie oczekiwać.



rys. Bogna Skwara



rico

siedem dni temu miałem dziewczynę, swój piękny czarny plecak i sens. teraz mam plecak oraz wszystko, co powoduje, że księżyc za oknem wydaje mi się być utykającym perypatetykiem bez psa.

można by tę myśl rozwinąć. rozwijać. ale po co? bo co to za świat bez ariadny? kici kici.

serotonina

- ty się czasami uśmiechasz?
- tak, ale z rzadka. dla mnie uśmiechnąć się to tak, jakby się publicznie rozebrać. nieczęsto rozbieram się publicznie.

jutra dla nas nie ma

dopiero później zaczniemy się wspinać na te góry wysokie, przepływać (rwące) rzeki, odkrywać atlantydy, może i inne morza, pokonywać pacyfiki, startować w kosmos. ale raczej później. wszystko ma swój czas, nawet budziki składowane w misce. traumy pielęgnowane wyłącznie po to, by móc je wypierać. takie czasy, proszę pani, nastały, że człowiek nie wie. nic nie wie, choć informacji coraz więcej. na przykład, że coś wynaleziono, odnaleziono, odkryto, wykryto, nakryto, skonstruowano. a że tych sztucznych ludzi, to nie wiadomo już po co. po ile pani jajka kupiła? naprawdę? pięć do jednej jajecznicy? co też pani... pięć do jednej, pięć do jednej. no co pani powie. że mąż? wie pani, ja też czasem płonę, za szybko się jednak spalam. stara makulatura. wyblakłe litery. i druk już za mały, bez okularów ani słowa. nawet jęku. kwęku. Nic

Stan wojenny, Bogucice

MARIA KORUSIEWICZ

Kronika 80

moja twarz pełna jest zębów
rosną mi w oczach, wiercą w nosie i pod językiem

przebijają delikatną skórę dłoni
wykluwają się z kolan i paznokci
jeszcze nie umieją gryźć nie potrafią kąsać
jeszcze nieporadnie chwieją się jak trawy

ulicą szybko i cicho idzie tłum
w bloku naprzeciwko zapalono światła

powoli owijam się kocem
powoli nadciąga mróz

zima
za oknem szary mur i hasło
przy zamrzłym „C” siedzi ptak

na ulicy chłopak z ogoloną głową dostojnie
jak żuraw przechodzi na drugą stronę
rośnie mgła

niebem ciągną kaczkę
wysoko nad kominami łamią się ich brunatne klucze
bije wiatr

kobiety przed piekarnią podnoszą głowy
jedna bezradnie jak owca wchodzi na schodki
na wózku przywieźli chleb

rzucili kawę
na śniegu pękate figurki jak wrony
zlatują się pod sklep

ulicą ostrożnie pnie się wojskowy samochód
kobiety milkną
znowu jest grudzień

fot. Maria Korusiewicz



od dawna nie widziano tu ryb
kobieta z dzieckiem jak parostatek brnie przez tłum
na ladzie dymią zimnem blade płyty makreli

teraz mocno ściskam torbę
w zaduchu postępujemy jak fok
sześćset kilometrów stąd po morzu spływa kra

kwiecień
wróble jak szare bazy obsypały drzewo
chudy chłopak uparcie grzebie w wyschłej piaskownicy

wolno jak ziemia obraca się w moją stronę
jego twarz oblepia
żarłoczny łopian kurzu

czerwone familoki jak flamingi stoją w wodzie
do wodopoju ulicy podjeżdża odrapana ciężarówka
pachnie błotem

dwie kobiety w ciemnych kurtkach ociężałe podchodzą pod sklep
w wyrwach pomiędzy brukiem
błyszczą ziemia



niebo
jak biała cielna krowa stoi nad polem
po ośnieżonym torowisku chodzi wrona

buty mam całkiem przemoczone więc
siadam na szynach i wykręcam niebieskie skarpetki
to tu w zeszłym roku chciałam umrzeć

Później

JOANNA STOGA

Budzi go jej kaszel. Otwiera oczy. Ona siedzi na brzegu łóżka. Wymiotuje, choć od dawna nie ma czym. Jest taka szczupła, że promienie wstającego słońca zdają się ją przenikać na wylot. Ciałem wstrząsają dreszcze.

Kiedyś bardzo to przeżywał. Teraz po prostu wstaje i robi herbatę. Ona wypija kilka łyków, kładzie się i zamyka oczy. Kości sterczą na wychudłej twarzy. Brwi i włosy wypadły jej po ostatniej chemii.

Ile to już trwa? Piąty rok. Z początku tak się bał. To ona miała więcej sił i woli walki. Wszystkiego się dowiedziała. Pisała bloga. Szpital był polem bitwy, ona wojownikiem. Za pierwszym razem myśleli, że wygrali. Wakacje spędzili z przyjaciółmi. Później ona wróciła do pracy, a on nie brał już tylu delegacji. Starali się być blisko siebie.

Trzeci nawrót okazał się najgorszy i tym razem to on musi mieć więcej siły i odwagi.

– Będziemy walczyć! Damy radę! – mówi, ale ona nie chce być już wojownikiem.

Kolejna operacja, kolejna chemia. Dni i noce skurczone do bólu.

*

– Zjesz coś? – pyta, stając obok łóżka.

– Później.

– Może chociaż łyk tego o smaku mango? Wiesz, że musisz jeść!

– Dobrze – godzi się z westchnieniem.

– Ala będzie o ósmej. Poradzisz sobie do tego czasu? Mam dziś...

– Tak, wiem. Jedź, nic mi nie będzie.

– Może jeszcze łyk herbaty?

– Później.

Później! Później! Wciąż to powtarza. Próbuje go tym uspokoić, ale on nawet nie chce myśleć, co będzie później.

*

Dom jest pełen gwaru. Ona ma urodziny.

– Twoje zdrowie, mała? – Andrzej podnosi kieliszek.

Macha nim, a wino wychlapuje się na podłogę. Ala ściera je i cmoka go w policzek.

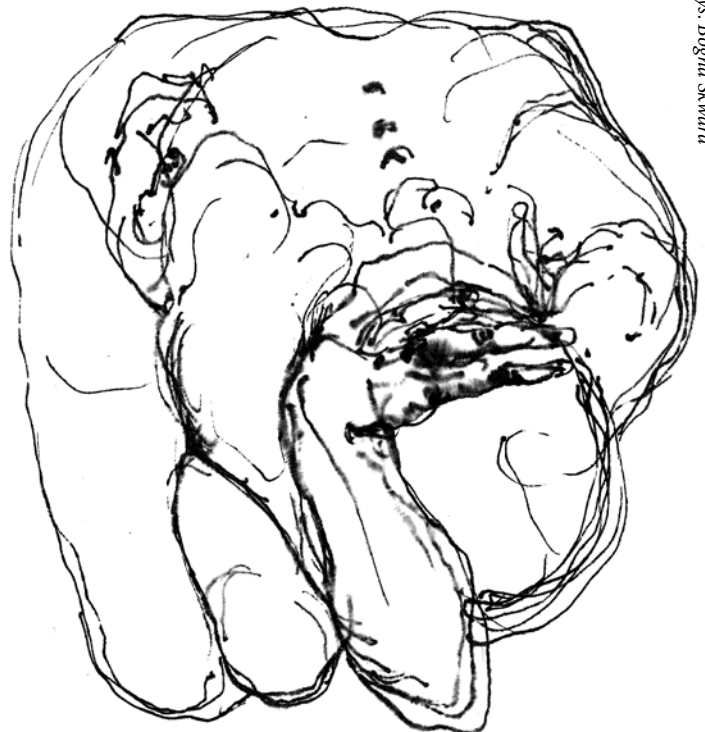
– Zamiast rozrabiać, pokrój ciasto. Biszkopt sama robiłam – mówi do niej. – Z wiejskich jajek. Jak go zjesz, będziesz chciała tańczyć.

Ona się uśmiecha. Ma na sobie sweter od Ali. Trochę na niej wisi, ale i tak wygląda pięknie. Turban od Majki pasuje do tego jak ulał. Szerokie spodnie maskują szczupłość nóg.

On patrzy na nią i nie może się napatrzeć.

– Kawę byś zrobił! – upomina go Andrzej.

– Ja pójdę. – Ala przytrzymuje go za ramię.



rys. Bogna Skwarra

– Pamiętacie tę starą czereśnię? – pyta wuj Henryk. – Kupiłem dziś taką samą. Znaczący tę samą odmianę, bo to ledwie patyk. Musisz wiedzieć – zwraca się do niego – że ona spędziła na tamtym drzewie całe dzieciństwo. Domek sobie zażywała. A jak już do niego weszła, nie było sposobu, by ją stamtąd wyciągnąć.

Wszyscy znają tę historię na pamięć, mimo to słuchają, a gdy Henryk po raz setny opowiada, jak prawie z tego domku wypadła, wybuchają śmiechem. Ona śmieje się najgłośniej, a on zastyga w bezruchu. Całe wieki nie słyszał jej śmiechu, nie widział dołeczków w policzkach. Kto by zgadł, że w tak zapadniętej twarzy można mieć dołeczki.

Oczy go szczypią.

– Pomogę Ali. – Żrywa się i wychodzi.

Z łoskotem stawia filiżanki na tacy. Opiera głowę o szafkę. Ala gładzi go po ramieniu.

Wracają. Ona znów się śmieje, a oczy ma jak dawniej – pełne wesołych iskerek. Prosi nawet o dokładkę ciasta, a później patrzy na niego, jakby chciała powiedzieć: A widzisz?

*

Kryzys dopada ją nad ranem. Wymiotuje tak długo, że leci mu przez ręce. Drży. Ciało ma wilgotne od potu. Nie jest w stanie utrzymać kubka.

– Zawiozę cię do szpitala.

– Nie. Poleż ze mną chwilę.

– Wezmę dziś wolne. Zadzwoń do Ali...

– Ciiii.

Obejmuje ją. Jest tak krucha, że boi się przy niej poruszyć.

*

Obok auta siedzi kot. Chudy jak siedem nieszczęść. Trzęsie się i patrzy na niego wytrzeszczonymi oczami. Na grzbiecie ma zadrapania. Krew lepi się do futra.

On kucza przy nim, wyciąga rękę i natychmiast ją cofa.

– Nie! Jedno chore mi wystarczy. – Wsiada do auta i zatrzaśkuje drzwi.

Chciałby odjechać, ale nie potrafi. Zamiast tego wygrzebuje z torby kanapki. Drze je na małe kawałki i rzuca przez otwarte okno.

Wieczorem znajduje kota w tym samym miejscu. Zadrapania ma starannie wylizane, a po kanapkach nie został nawet ślad.

– Czego ty chcesz? Nie mogę cię zabrać. Ona jest zbyt słaba. Wystarczy parę bakterii, a ty...

Kot słucha. Śledzi wzrokiem każdy ruch.

On zabiera go do weterynarza. Brudzi przy tym spodnie i płaszcz. Nie wie, czemu to robi. Nigdy nie miał w domu zwierząt i nigdy nie chciał, ale ustępuje tym wielkim, wytrzeszczonym oczom.

*

– Weterynarz mówi, że wszystko z nim w porządku. Musiał komuś uciec. Właściwie musiała, bo to kotka. Wywieszę ogłoszenie, a na razie zostanie z nami. Co myślisz?

Ona wpuszcza kotkę na koc. Drapie ją, pochyla się, jakby chciała jej coś powiedzieć. Kotka układa się obok i mruczy cicho.

– Kupiłeś jej karmę?

– Tak, suchą i saszetki. Wykapali ją też i jest sterylna jak stół operacyjny. A ty? Zjesz coś?

– Nie, później. Ala zrobiła supkę, a dla ciebie jest kurczak.

*

Deszcz spływa po szybach. Pada od kilku dni. Ogłoszenie w sprawie kotki, które powiesił na słupie, zmienia się w mokry

strzępek. Nikt się nie zgłosił. Może i dobrze. Kotka nie odstępowała jej na krok, wciąż domaga się pieszczot. Mruczy, wpycha jej głowę pod rękę. Ona gładzi ją, choć już prawie nie ma siły.

– Poczytam ci coś. – Ujmuje jej dłoń.

– Nie, usiądź tu – mówi i patrzy mu w oczy.

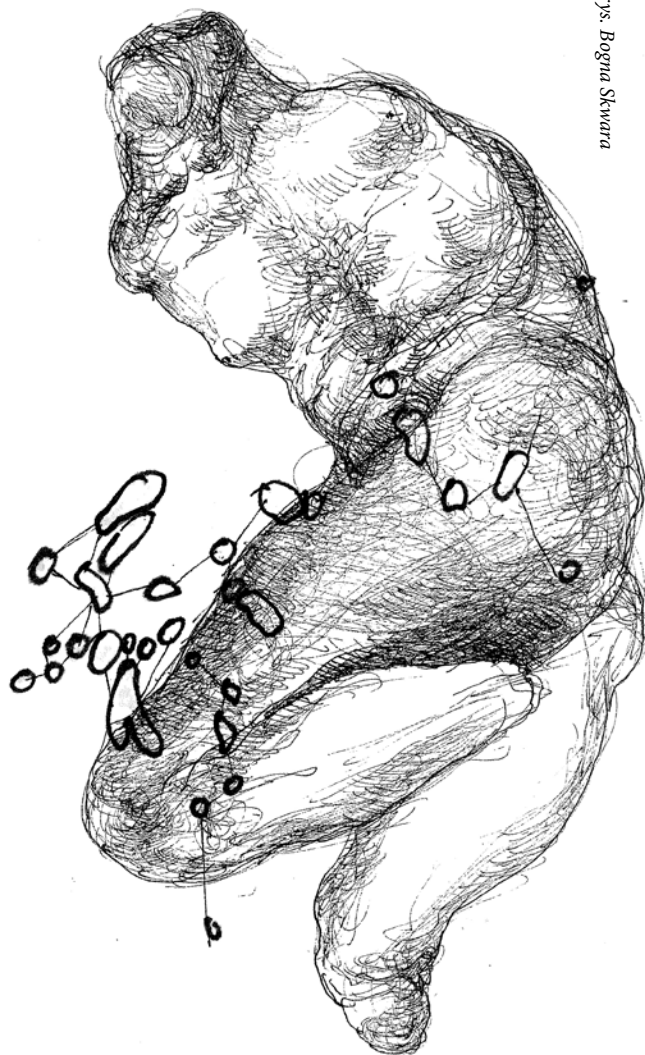
Dawno tak na siebie nie patrzyli. Ostatnio unikał jej wzroku, ale teraz przykuła go tym spojrzeniem i już wie, że nie będzie żadnego „później”.

Milczą i tym milczeniem dają sobie prawo – ona do tego, by odejść, on do tego, by jej nie zatrzymywał. Nawet do tego, by poczuć ulgę.

Przytula się do niej. Ona bierze jego rękę i kładzie na głowie kotki.

– Przyszła do nas, byś później nie był sam – szepcze.

Gładzą miękkie futro, dłoń wsunięta w dłoń. ■



rys. Bogna Skwara

Pojedynek

SOŁOMON BART

Przełożył MARIAN KISIEL

Szosta rano. Zaułek. Z bramy narożnego domu wychodzi trzech mężczyzn. Twarze mają poważne, surowe. Jeden trzyma pod pachą skrzynkę z pistoletami. Milcząc, kierują się do samochodu. Wsiadają. Odjechali.

Prawdopodobnie szykuje się pojedynek. Lecz czymże są dzisiejsze pojedynki? Pusty śmiech. Gdzieś na skraju lasu spłoszą strzałami wróble, wystraszą zająca i jadą do restauracji na śniadanie.

Komedia istnienia czy życia codziennego? Zapewne jedno i drugie.

Nie spieszmy się, samochód jest daleko od miejsca przeznaczenia, więc myśl moją powię na razie po spiralach skojarzeń.

W tym zaułku zatem wystawałem dawniej dosyć często, czekając na przyjaciółkę, która wracała od swojej krawcowej. Inaczej bliższą oczy kobiety, kiedy idzie od krawcowej albo od kochanka; bliższą czymś własnym, wewnętrznym, kobiecym.

Cudowne oczy. Cudowna ulica! Choćby była wąska, choćby wystawał z niej bruk i tynk osypywał się z domów – jeśli przechodzi po niej miłość, wówczas zakwita młodością, piosenkami, tajemnicami ściskającymi serce.

Od tego czasu minęły lata. Życie po wielokroć i skutecznie ujawniło swoją płynność. Krawcowa już dawno zmieniła miejsce zamieszkania. A ja – o, słodka niewolo! – jak dawniej kocham swoją przyjaciółkę i nie mogę bez wzruszenia wspominać naszych spotkań.

Zapewne sądzisz, czytelniku, że jednym z pojedynkujących się jestem ja, dlatego podążmy za samochodem. Zbliża się właśnie do rogatek. Oddech wolności. Pojawiają się niezabudowane przestrzenie. W prześwitach, w oddali widnieją pola, zagajniki.

Adwokat Lenz, jeden z sekundantów, w takt swoich myśli nerwowo stuka po drewnianej skrzynce okropnymi, jakby wyżartymi przez kwas, paznokciami. Pojedynek i drugi sekundant uparcie milczą. Słowa pęcherzykami śliny gotują się na skołowaciałym przez milczenie języku adwokata, wystają kolcami złości z malutkich oczu. Osad smutnych i drażniących porównań czyni głowę ciężką... Dlaczego jest takim nieudacznikiem? Czy w wieku trzydziestu lat nie hańbi go bycie tylko asystentem? Inni odgrywają idealistów, nierozpoznanych geniuszy, ukrywając swe karierowiczostwo i chciwość... Dlaczego więc jego grę od razu zdemaskowano i wystawiono na „przyjacielskie”, silniejsze od zjadliwego, pośmiewisko?

Milczenie towarzyszy coraz bardziej irytuje Lenza. Jakby obaj zasiedli do wista wzajemnego milczenia. Pyszałki – myśli. Kątem oka przez pincę-nez lustruje szczupłą, niebieskooką twarz pojedyńkownika...

Z powodu kobiety taka awantura!... Kobieta kocha iluzję, decorum. Dłaczegóżby więc czasem nie przysiąc jej wiecznej miłości? Ale na serio oddawać się fantastyce uczuć? Na to go nie nabiorą. Zjadł na tym zęby. To prawda, trafiały mu się kobiety niższej klasy. Ale szwaczki i pokojówki są w swej istocie i bardziej doświadczone, i wymagające.

I teraz myśli o pokojówce z numeru 17: młodziutka, szykowna...

Chmury zaczynają się rozchodzić i łobuzerski uśmiech oświeca twarz Lenza...

Pozwólmy prawnikowi rozważać, jaką metodę uwodzenia zastosować do pokojówki. I kiedy samochód mknie, zróbmy niewielką wycieczkę w obszar etyki i psychologii.

...O dwóch skurczach. O skurczu poczucia i o skurczu morderstwa. W jednym i drugim roztopia się nasza istota. Każdy organ, każdy mięsień i nerw dostają swoją część zaspokojenia. Zabić swojego przeciwnika, swojego wroga, którego istnienie osinowym kołkiem przebiło moralny patos naszego życia, który skalał, zbezczeszczył naszą legendę – zabić takiego człowieka uważam za największą rozkosz, możliwą w granicach błonki kuli ziemskiej. Oto stoi przede mną. Celujemy do siebie z napięciem i długo. Ja celuję prosto w serce albo w kość nosową. Lepiej w kość nosową – między oczy. Rozległ się strzał. Jestem cały. On jest zabity. Lepiej nie trzeba. To nie morderstwo... Nie strach... a ekstaza... wyzwolenie. Jakby dusza i ciało wyrwały się z imadeł atmosfery i uniosły w bezwietrzną przestrzeń, do najcichszych chłodni stratosfery. I wcale nie jest to wbrew naturze ludzkiej. W każdym z nas bezsprzecznie łączy się gastrycyzm z nauką.

Pożerać! Płodzić! Mordować!

Klakson na szosie... Samochód minął rogatki. W nabrzmiałych kielkach pól rozlała się taka rozkosz, jakby miały po raz pierwszy rozkwitnąć. Rzuci słońce zniecała ziemi wiązkę promieni, a ta rozpała się miłością i namiętnością, i zarozi się nieskończonym kłębowiskiem rodzących się stworzeń.

Towarzysze, jak dawniej milczą. Lenz otepiał. Zakończysz w myślach romans z pokojówką, zadumał się nad swoim budżetem: skąd by tu zdobyć do jutra 15 złotych. Winny był pracze i w sklepie.

Na bladej twarzy pojedyńkownika widoczne jest podniecenie. Lenz jest przekonany, że gra, wyobraża sobie, że jest tragiczną personą... A żonę ma przenaślającą. I czyż nie byłoby rozsądniej rzecz rozsądzić w rodzinie, obić – i na tym zakończyć. Czyż kobieta odejdzie od człowieka z takim kapitałem? Przecież pojedynek to jakby nie było skandal na całe miasto.

Lenz jest przekonany, że rozsądza obiektywnie, w zgodzie z trzeźwą logiką życiowej prawdy.

Być może, ma rację.

Lecz jeśli pojedyńkownik, przypadkowo, jest romantykiem, poetą lub należy do gatunku ludzi, obecnie i bez ironii określanych mianem człowieka z duszą, byłoby niesprawiedliwe nie poświęcić temu wyjątkowi kilku słów, tym bardziej, że samochód jest wciąż w drodze.

...Pamięta, jak szła do niego od innego... Liczył godziny do jej przyjścia, a kiedy pozostały minuty, liczył minuty i sekundy, których w minucie mogło być i siedemdziesiąt, i sto – tyle, ile uderzeń jego serca. Kiedy nie widział jej z okna, na dźwięk dzwonka rzucał się do drzwi w nadziei, że, być może, mimo wszystko, to ona... A kiedy wchodził ktoś inny, pałał do niego złością pełną wstrętu, aż do młodości.

Lenz to ona! W jego objęciach – ona! Słowa przewracają się w mózgu i rozkwitają pocałunkami na ustach... Jest szczęśliwy...

Lecz zupełnie zapomniał o innym, od którego szła do niego. Zapomniał, że, podobnie jak on, ten drugi jest też człowiekiem, że ma i mózg, i serce, czerwoną burzącą się krew, że i on pragnie potwierdzenia, radości, błogości.

Upajając się, nie myślał o innym, nie oświeciła go, nie przepaliła myśl, że, być może, on się domyśla, albo też dowiedział się... Przecież tylko w oczach bardzo podłej kobiety nie da się wyczytać jej upadku. Być może on już biegnie, mknie do niej, do niego, tracąc oddech z powodu mi-



łości i namiętności, oszalały rozpaczą i gniewem, w nadziei, że jeszcze nie jest za późno..., za późno... że utracony jest cały sens życia, utracona jego możliwość.

Być może jest już u jego drzwi... u drzwi grobu...

Zapomniał. Zupełnie zapomniał o nim, o innym. Lecz życie przypomniało. Nie w imię sprawiedliwości. Życie nie wie, czym jest niesprawiedliwość. Wszystkie zbliżenia i rozłąki, wszystkie radości i męki – to wszystko jest usprawiedliwione. Ponieważ nie ma usprawiedliwienia dla niczego: ani miłości, ani wierności, ani zdrady, ani zdemaskowania... I czy sprawiedliwość, usprawiedliwienie potrzebne jest komukolwiek prócz naszego tchórzostwa, naszej tchórzliwej potrzeby spokoju, obłudy, tak górnołotnie nazywanej sumieniem.

A tak w ogóle czym jest życie ludzkie?

Jak ono biegnie? Czy przypatrywał się swoim dniom powszednim? Czy wejrzał w siebie? Co by tam zobaczył? Mgłę... pożądaną zasłonę i prześwity w niej – lustra odbijające fałdy i nudę... Przymyślali się, ukołysali codzienność, uspili miłość i zarosła chwastami małych trosk, drobnych kłótni, nieporozumień.

A teraz kocha i jest kochana. Zmieniła się tylko relacja. Teraz ona chodzi od niego do innego... od niego do innego... A on należy teraz nie do kochanych, lecz do niezauważających malutkiej ścieżki... Pobiegła nagle wraz z wielką i wolną przestrzenią wzajemnego uczucia. Mijał czas, on nie wiedział, nie walczył – i oto został zrzucony na waziutką ścieżynę, a w wolnej przestrzeni byli – oni.

Wie już o ulicach, którymi chodzi do innego, po których stąpają jej stopy (ten chód zaś i pantofle były tak gustowne), zna bramy, do których wchodzi, bramy trwogi i jej radości, zna schody, stopnie... Policzył je. Było ich dokładnie tyle, by zamknąć oczy i, zachwiałwszy się, w nieprzytomności wesprzeć się o ścianę.

Czy ani razu się nie potknęła, nie zadrzały jej kolana?... Czy wbiegała uskrzydłonymi nogami, potulnie tracąc się w samozapomnieniu?

Widział zdradziecko nieme drzwi i guzik dzwonka, i wyobraził sobie (serce odmówiło zgody), wyobraził sobie, jak podniosła rękę i dotknęła, i rozstrzygnęła, i nacisnęła guzik... Chciał przeniknąć te drzwi, zawisnąć w dybach samoudręczenia, przywracając wszystko w szczegółach, które należy samemu zobaczyć, usłyszeć, samemu przeżyć... Dopiero teraz zrozumiał, że w drobiazgach mieści się cały strach, w niuansie jest cały człowiek.

Chciał odtworzyć wszystkie ogniwa kajdan, na każdym ogniwie, pod każdym zamierając – wchłonąć w siebie, do najskrytszego tchu, jej wszystkie myśli, wszystkie słowa, ukryte cudowności jej duszy, najsubtelniejszą grę światłocieni ukochanej twarzy, do dzisiaj najbliższej, lecz stojącej się zagadkową i dziwną, jak litery ojczystego języka, wieszczące zgubę i śmierć.

Tak... tak... wszystko stało się tak, jak powinno... Tak samo zatrzymała się na progu, długim, przenikliwym spojrzeniem objęła pokój. Zdumiewała błądność jej twarzy i sine kręgi pod oczami, męczył zapach rękawiczki z koźlącej skórki w powiązaniu z zapachem jej perfum; drżała ręka, upuszczająca rękawiczkę, z lekka uchylająca zasłonę, obiecująca... mania...

Oto całuje jej dłoń... już połączyły się ich kolana... Lecz jeszcze oczy nie powiedziały wszystkiego, jeszcze nie było wszystko rozstrzygającego spojrzenia, jeszcze nie jest za późno... jeszcze...

Czy pamięta chwilę, to jedno spojrzenie? Czy pamięta? Tylko jedna chwila i już nie ma powrotu. Jeszcze nie są rozkute okowy przeszłości: wspomnienia, przyrzeczenia,



rys. Bogna Skwara

obowiązki. Lecz w tej jednej chwili, w jednym ruchu oczu – przeszłość stała się przeżytkiem, naprzykrzającą się książką, sztucznym zbytkiem.

Taka jest władza porażona nową namiętnością, nowym ogniem czarownego ciała. Albowiem niezrozumiała tajemnica płci w każdym z nas jest zagadką.

Lecz ta chwila... Za nią szły następne – co one ucieleśniały, w co się wcieliły? – zawsze nowe, przewyższające wszystkie objawienia bytu, zawsze niepochwytne, niedościgłe. Pamiętał te chwile, powracające w nim latami przebaczeń – męczących, bezzwrotnych.

Cokolwiek by mówiło ciało, zawsze popada w niemoc, kiedy przebacza dusza, oplatająca siebie najcięższym krążkiem mistycznego, prawie religijnego pożądanego.

W nieskończoności stuleci, za przedziałami wszystkiego, co było człowiekiem i pochodziło od człowieka, na innej planecie, w innym istnieniu, pamięć o tych chwilach wskrzesi w nim oczarowania ziemi – i kto wie, czy zeche

on innych? – wskrzesi płciową, niedostępną myśl, najbardziej męczącą z zagadek bytu, której nie można było zmieścić ani w słowie, ani w pieśni, ani w bluźnierczym wlocie skrzydeł słodczy namiętności. Zagadkę, dla której nie będzie nigdy rozwiązania, ani nazwy, i którą, wyznaczoną okręgiem najśłodszej trucizny zdrad i sprzedajności, na ziemi tak niedołącznie oznaczyli słowami – miłość...

Samochód, zjechawszy z drogi, zatrzymał się na polanie. Za nim pojawił się następny.

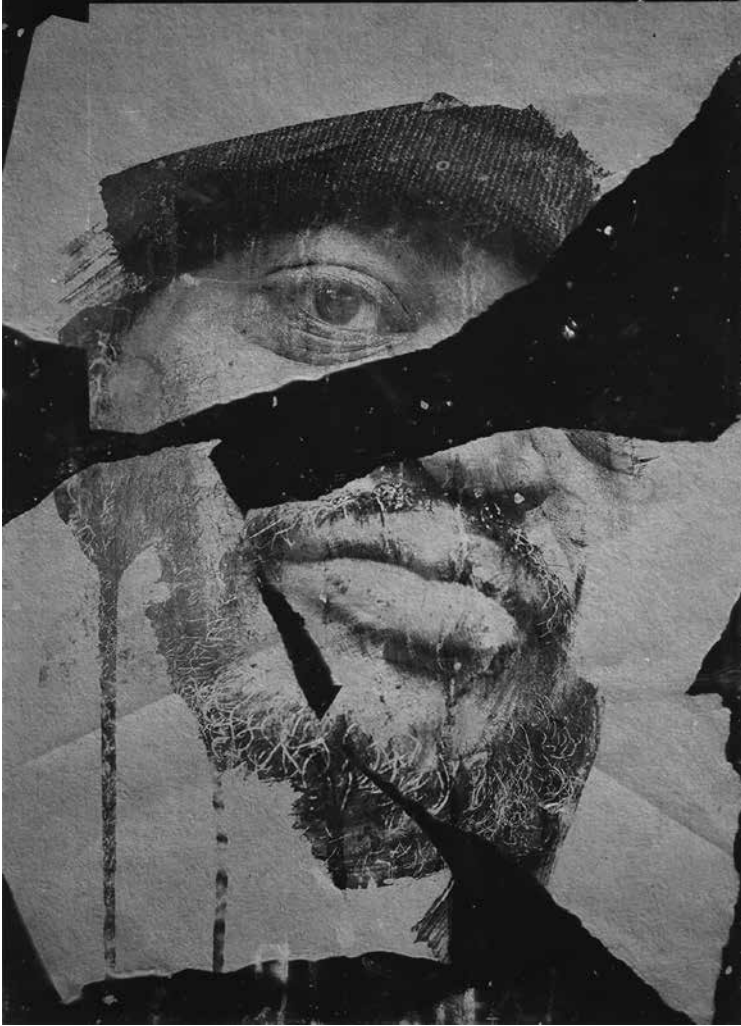
Siódma rano. Żłocisto-zielona poświata. Odziane w słoneczny żar, sosny ciężko oddychają, rozpylając w powietrzu żywiczny zapach. Dwóch bohaterów pojedynku. Czterech sekundantów. Lenz odmierzył pięćdziesiąt kroków. Ładują pistolety. Ktoś siódmy, zapewne lekarz, przechadza się po polanie.

1933



fol. arch.

Sołomon Bart, właściwie: Sołomon Kopelman, był poetą Srebrnego Wieku (ur. 1885 w Piotrogradzie, zm. 1941 w Warszawie). Pierwszy i kolejne zbiory wierszy opublikował pod pseudonimem Bart. Po rewolucji 1917 roku wyemigrował do Warszawy, gdzie zamieszkał wraz z siostrą i jej mężem. Był inwalidą, co utrudniało mu kontakt ze środowiskiem. W latach 30. XX wieku – za sprawą Leona Gomulickiego – wszedł w artystyczny krąg Rosjan w Polsce. Już za życia uznawany był za poetę językowo anachronicznego. W 1940 roku znalazł się w getcie warszawskim, gdzie umarł z głodu. Pochowano go pod prawdziwym nazwiskiem w żydowskiej części warszawskiego cmentarza przy ul. Okopowej. Wybór jego twórczości ukazał się w edycji: *Nieuniknione*, oprac. D. Hessen, L. Fleishman, przeł. Z. Dmitroca, E. Skalińska, M. Kisiel, Wydawnictwo Naukowe UKSW, Warszawa 2016. Publikowane tutaj opowiadanie zostało zaprezentowane przez autora 22 czerwca 1933 roku na zebraniu warszawskiego Literaturnego Stowarzyszenia i opublikowane miesiąc później na łamach pisma „Motwa” (1933, nr 166). Jest jedynym utworem prozatorskim Barta i nie było dotąd przetłóżone na język polski. (mk).



UŚMIECH ZABÓJCY

dawne sympatie wciąż dzwonią
te zeszłoroczne
te sprzed dwóch lat
i te jeszcze dawniejsze.
dobrze jest kończyć
kiedy nic się nie da naprawić
i dobrze jest nie nienawidzić
czy nawet zapomnieć
o kimś z kim nam
nie wyszło.

i lubię kiedy mi mówią
że dobrze im z jakimś facetem
że życie im się układa.

po gołgocie ze mną
należy im się trochę radości.
po takiej mordędze
wszystko jest lepsze.

dzięki mnie mają
odmianę
nowe horyzonty
nowe kutasy
więcej spokoju
jasną przyszłość
beze mnie.

zawsze odkładam słuchawkę pewien
że jestem w porządku.

KUPA ŚMIECHU

słuchaj, stary, nie mów mi o wierszach,
które wysłałeś, bo ich nie dostaliśmy,
traktujemy rękopisy z najwyższym szacunkiem
pieczemy je
palimy
wyśmiewamy
rzygamy na nie
zalewamy je piwem
ale na ogół
odsyłamy
bo są
takie
kretyńskie.
no i wierzymy w Sztukę,
bo ona rzeczywiście jest
potrzebna,
ale, no wiesz, tylu ludzi
(większość ludzi)
igra i cudzołoży ze
Sztuką
i gremialnie
i bezczelnie zapełnia łamy
swoimi
wypocinami.

roczny koszt prenumeraty wynosi 4 dolary.
czytaj, proszę, nasz magazyn, zanim
coś wyślesz.

Dobro publiczne mieć zawsze przed oczyma...

Rys historyczny Policji Województwa Śląskiego 1922–1939

GRZEGORZ GRZEŚKOWIAK

Formacje policyjne na Śląsku w latach 1918–1922

Kłęska Niemiec w I wojnie światowej oraz wybuch Powstania Wielkopolskiego 1918–1919 wskrzesiły na terenie Górnego Śląska nadzieję na powrót tych ziem do Macierzy. Postanowienia Traktatu Wersalskiego zakładały przeprowadzenie plebiscytu na tych ziemiach w celu określenia przynależności etnicznej ludności.

Przygotowania do plebiscytu odbywały się w atmosferze terrorku ze strony niemieckiej, którego przejawem było utworzenie wiosną 1919 roku niemieckiej Sicherheitspolizei (Sipo; niem.: Policja Bezpieczeństwa). Dlatego też, chcąc się przeciwstawić tym niedozwolonym praktykom, już na początku roku 1919 została utworzona Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska, która rozpoczęła intensywne szkolenie członków do przyszłej walki zbrojnej oraz gromadziła broń, amunicję i materiały wybuchowe.

W nocy z 16 na 17 sierpnia powstańcy uderzyli na strażnice Grenzschutz w Godowie i w Gólkowicach, w powiecie rybnickim wszczynając zbrojne powstanie.

24 sierpnia, po ośmiu dniach zaciętych walk, I Powstanie Śląskie zostało przez Niemców krwawo stłumione.

W sierpniu 1920 roku wybuchło II Powstanie Śląskie. Bohaterska postawa Ślązaków przekonała ostatecznie członków z Międzysojusznicy Komisji Rządzącej i Plebiscytowej Górnego Śląska z siedzibą w Opolu, że nie można przeprowadzić plebiscytu w warunkach, gdzie polskojęzyczni Ślązacy są pozbawieni ochrony przed działaniami funkcjonariuszy Sipo i oddziałów Freikorpsu.

Za cenę zakończenia II Powstania Śląskiego udało się Polskiemu Komisarzowi Plebiscytowemu, którym był Wojciech Korfanty, wyrzucić na Międzysojusznicy Komisji Rządzącej i Plebiscytowej na Górnym Śląsku szereg ustępstw na rzecz Polaków.

Najważniejszym z nich było rozwiązanie Sipo i wycofanie jej byłych funkcjonariuszy z terenu przyszłego plebiscytu, a miejsce po rozwiązanej formacji miała zająć nowo utworzona, na prawie parytetu, Policja Górnego Śląska (Policja Plebiscytowa), tzn. zgodnie z tym połowę funkcjonariuszy mieli stanowić Polacy mający równorzędne prawa i obowiązki służbowe, co funkcjonariusze niemieccy.

Policja Górnego Śląska przyczyniła się w dużym stopniu do utrzymania ładu i porządku publicznego w czasie plebiscytu i po jego zakończeniu oraz oddała duże usługi w czasie III Powstania Śląskiego.

Oddziały policyjne były bardzo dobrze wyszkolone, uzbrojone i wyekwipowane, co stanowiło o ich dużej wartości bojowej.

Funkcjonariusze Policji Górnego Śląska w III Powstaniu Śląskim przelewali krew na polach bitew w rejonie Góry Św. Anny, Gogolina, pod Grabówkami, Paruszwicami, Czerwionką i Krasowem, składając swe życie w ofierze na drodze do powrotu Górnego Śląska do Polski.

W roku 1918 po upadku monarchii cesarsko-królewskiej w Austrii, na terenie Śląska Cieszyńskiego utworzona została Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego, której głównym zadaniem było administrowanie tym terenem do czasu plebiscytu, kiedy to mieszkańcy mieli wyrazić się o przynależności do Polski lub Czech. Działalność administracyjna Rady Narodowej obejmowała swym zasięgiem powiaty: frysztacki, cieszyński i bielski.

fot. arch. aut.





Oddział Komendy Rezerwy PWŚl. w Katowicach w gotowości alarmowej na terenie jednostki, 1929 rok

Do utrzymania bezpieczeństwa i porządku publicznego utworzono takie formacje policyjne, jak Milicję Polską, następnie Milicję Śląską, których funkcjonariuszy po rozwiązaniu tych formacji wcielono, za ich zgodą, do Żandarmerii Krajowej Śląska Cieszyńskiego, której dowództwo mieściło się na terenie Cieszyna.

W styczniu 1919 roku armia czeska dokonała zajęcia Zaolzia. Oddziały Wojska Polskiego na granicy południowej, będące jeszcze w formie organizacji, nie były w stanie stawić większego oporu nieprzyjacielowi, co doprowadziło do utraty powiatu frysztackiego i połowy powiatu cieszyńskiego. Do plebiscytu na terenie Śląska Cieszyńskiego nie doszło, ponieważ Rada Ambasadorów w Paryżu, decyzją z 28 lipca 1920 roku, przyznała Czechom tereny zajęte przez jej wojska w styczniu 1919 roku. Żandarmeria Krajowa pozostała w części polskiej Śląska Cieszyńskiego, pełniła służbę do chwili przeprowadzenia reorganizacji i włączenia tych ziem, co nastąpiło 15 lipca 1922 roku do utworzonego w czerwcu 1922 roku województwa śląskiego. Natomiast funkcjonariuszy, którzy wyrazili chęć dalszej służby, wcielono w szeregi Korpusu Policji Województwa Śląskiego.

Koncepcja powołania przyszłej Policji Województwa Śląskiego została wypracowana już w roku 1921 w sekcji bezpieczeństwa wewnętrznego przy Naczelnej Radzie Ludowej w Bytomiu, którą to kierował płk Stanisław Młodnicki – dowódca Żandarmerii Krajowej Śląska Cieszyńskiego. Jako podstawę jej funkcjonowania przyjęto ustawę z 24 lipca 1919 roku o organizacji Policji Państwowej, wprowadzając do niej niewielkie zmiany.

Z myślą o przejęciu przez polską administrację władzy na Górnym Śląsku, zaczęto przyjmować kandydatów do służby w przyszłej Policji Województwa Śląskiego poprzez utworzone do tego celu biuro werbunkowe w Katowicach-Bogucicach.

Kandydaci byli kierowani do Szkoły Żandarmerii w Cieszynie, skąd po zakończeniu szkolenia byli delegowani na praktyki służbowe do jednostek Żandarmerii Krajowej na Śląsku Cieszyńskim oraz jednostek Policji Państwowej na terenie województwa kieleckiego. W tych jednostkach funkcjonariusze pełnili służbę i zdobywali doświadczenie, by w niedalekiej przyszłości stać się kadrą Policji Województwa Śląskiego.

Organizacja korpusu

Policja Województwa Śląskiego została utworzona na mocy art. 4 Ustawy Autonomicznej z 15 lipca 1920 roku (Statut Organiczny Województwa Śląskiego) i Rozporządzenia Wojewody Śląskiego z 17 czerwca 1922 roku zatwierdzonego ustawą Sejmu Śląskiego z 2 marca 1923 roku.

W myśl tego aktu Policja Województwa Śląskiego podporządkowana została Wojewodzie Śląskiemu oraz Sejmowi Śląskiemu, i była całkowicie niezależna od Policji Państwowej, z własnym zawieszeniem prawnym, szkoleniem, zasadami naboru kandydatów do służby. Umundurowanie śląskich policjantów praktycznie było takie samo jak Policji Państwowej z niewielkimi różnicami. Jedną z nich było to, że na patkach kołnierzy kurtek mundurowych i płaszczy, a po zmianie przepisów na naramiennikach, zamiast numeru okręgu jak w Policji Państwowej, nosili godło województwa śląskiego – złotego orła Piastów Śląskich.

Pierwszym Głównym Komendantem Policji Śląskiej od 17 czerwca 1922 roku do 31 grudnia 1923 roku był płk Stanisław Młodnicki.

1 stycznia 1924 roku objął pełnienie obowiązków Głównego Komendanta podinspektor Policji Państwowej Leon Wróblewski, który 1 sierpnia 1924 roku został awansowany do stopnia inspektora Po-

licji Województwa Śląskiego i zatwierdzony na stanowisku Głównego Komendanta.

W dniu 2 grudnia 1926 roku został mianowany Głównym Komendantem inspektor dr Adam Kocur. Ponieważ inspektor Kocur wygrał wybory komunalne i objął stanowisko Prezydenta Miasta Katowic, jego obowiązki służbowe objął podinspektor Józef Zóltaszek, który to 6 października 1928 roku został awansowany na stopień inspektora i zatwierdzony na stanowisku Głównego Komendanta Policji Województwa Śląskiego. Obowiązki te piastował do 5 września 1939 roku.

22 czerwca 1922 roku po uroczystej policyjnej defiladzie na katowickim Rynku, którą to odebrał Komendant Główny Policji Państwowej generalny inspektor Wiktor Hoszowski oraz pierwszy Główny Komendant Policji Śląskiej pułkownik Stanisław Młodnicki, nastąpiło uroczyste przejęcie służby na terenie miasta przez funkcjonariuszy Policji Województwa Śląskiego.

W następnych dniach zgodnie z planem odbyły się przejścia służby w ośmiu powiatach, które po połączeniu otrzymały oficjalną nazwę województwa śląskiego.

W roku 1922 Korpus Policji Województwa Śląskiego liczył: 100 oficerów, 207 funkcjonariuszy służby śledczej, 2527 funkcjonariuszy służby mundurowej, 136 urzędników, ale w roku 1938 stan osobowy wynosił już: 61 oficerów, 228 funkcjonariuszy służby śledczej, 2085 funkcjonariuszy służby mundurowej. Spadek liczby policjantów między rokiem 1922 a 1938 spowodowany był „Wielkim Kryzysem”, nie przyjmowano wówczas nowych kandydatów do służby, ze względu na oszczędności wprowadzone w budżecie województwa śląskiego przez Wojewodę Śląskiego dr. Michała Grażyńskiego.

Jesienią 1938 roku, po zajęciu „Śląska Zaolziańskiego”, liczba funkcjonariuszy Korpusu Policji Województwa Śląskiego została zwiększona o 670 etatów. Wynikało to z utworzenia nowych komend, komisariatów i posterunków na obszarze włączonego do Polski tzw. Zaolzia.

W obronie bezpieczeństwa i porządku publicznego na terenie województwa śląskiego w latach 1922–1939 w czasie wykonywania obowiązków służbowych poległo chwałebną śmiercią 23 policjantów, a 627 zostało rannych i kontuzjowanych w związku ze służbą.



Szkolenie narciarskie funkcjonariuszy Komendy Rezerwy PWŚl. w Katowicach na terenie Parku Kościuszki. Zima 1929/1930

fol. arch. aut.



Pluton Komendy Rezerwy PWŚl. w Katowicach, 1931 rok

Struktura korpusu

Do służby w szeregach Policji Województwa Śląskiego zgodnie z przepisami przyjmowano tylko ochotników – mężczyzn i kobiety. Funkcjonariuszem mogła zostać osoba, która spełniała następujące kryteria: obywatelstwo polskie, nieskazitelna przeszłość, wiek od 23 do 35 lat (od 1933 roku wiek kandydatów przyjmowanych do służby zmieniono: od 21 do 35 lat), zdrowa i silna budowa ciała oraz odpowiedni wzrost, znajomość języka polskiego w mowie i piśmie, zdolność liczenia.

fol. arch. aut.



Funkcjonariusz z Komisariatu I PWŚl. w Katowicach na posterunku drogowym w Katowicach. Skrzyżowanie ul. Marszałka Piłsudskiego (obecnie ul. Warszawska) i ul. Mielęckiego, lato 1936 roku

Wyższych kwalifikacji żądano od kandydatów na stanowiska wyższych funkcjonariuszy. Przyszli oficerowie PWŚl. – poza opisanymi warunkami – winni byli posiadać co najmniej świadectwo „średniego zakładu naukowego”, a kandydat na Głównego Komendanta musiał posiadać wykształcenie wyższe.

Podstawę kadrową Policji Województwa Śląskiego stanowili przede wszystkim weterani Powstań Śląskich 1919, 1920, 1921, byli funkcjonariusze Polskiego Komisariatu Plebiscytowego 1920–1921 oraz formacji policyjnych: Żandarmerii Krajowej Śląska Cieszyńskiego 1918–1922,

Policji Górnego Śląska 1920–1922, Żandarmerii Połowej Górnego Śląska 1921 oraz Straży Gminnej 1921–1922.

Kolejną grupą byli weterani I wojny światowej 1914–1918 walczący w armiach zaborczych oraz Legionach Polskich, weterani walk 1918–1921 o granice odradzającej się po latach zaborów Polski: wojny z Czechami, Ukraińcami, Rosjanami czy kombatancki Powstania Wielkopolskiego.

W tym miejscu trzeba wspomnieć o kobietach przyjmowanych do służby jako funkcjonariuszki do Policji Województwa Śląskiego, co miało miejsce od momentu jej utworzenia 17 czerwca 1922 (do Policji Państwowej kobiety były przyjmowane jako funkcjonariuszki dopiero od 1925 roku).

Panie były przyjmowane na ogólnych zasadach zawartych w przepisach, pełniły służbę we wszystkich pionach korpusu, awansując, a za swoją wzorowo pełnioną służbę były honorowane odznaczeniami państwowymi i resortowymi. Jednak żadna z nich nie zajmowała stanowiska kierowniczego oraz nie awansowała do korpusu oficerskiego Policji Województwa Śląskiego.

Główny Komendant Policji Województwa Śląskiego wprowadził system realizacji zadań służbowych taki sam, jaki obowiązywał w Policji Państwowej. Obwody służbowe komisariatów i posterunków zostały podzielone na rejony służbowe,

w których pełniły służbę patroloво-obchodową patrolę piesze, dwu- lub trzyosobowe.

W marcu 1927 roku w komisariatach Policji Województwa Śląskiego zostało wprowadzone nowe stanowisko – dzielnicowego – ze ścisłym określeniem zadań i obowiązków służbowych, a w czerwcu 1927 roku ukazała się instrukcja Głównego Komendanta Policji Województwa Śląskiego o wewnętrznym stroju komisariatów, która regulowała wszystkie kwestie dotyczące podziału funkcji i sposobu kierowania służbą funkcjonariuszy.

Natomiast w listopadzie 1929 roku został wprowadzony „wykres godzin służby”, który miał ułatwić kontrolę oraz zapis godzin pełnienia służby w jednostkach oraz w terenie.

Od tego miesiąca zaczęła również obowiązywać w jednostkach Policji Województwa Śląskiego zasada racjonalnego i celowego kierowania służbą. Polegało to na sporządzaniu planów służby, które opierano na rozpoznaniu operacyjnym podległego terenu oraz na określaniu miejsc zagrożonych przestępczością, gdzie następnie kierowano patrolę piesze i konne służby mundurowej oraz śledczej.

Organizacja służby w jednostkach Policji Województwa Śląskiego polegająca na planowaniu i prognozowaniu, została utrzymana do wybuchu II wojny światowej z uwagi na to, iż odnoszono duże sukcesy w zwalczaniu różnego rodzaju przestępczości oraz zapewnianiu porządku publicznego i bezpieczeństwa.

W dążeniu do podniesienia mobilności operacyjno-taktycznej w przypadkach naruszenia zbiorowego ładu i porządku publicznego, zbrojnych napadów bandyckich, wojny czy klęsk żywiołowych, Główny Komendant PWŚl. utworzył oddziały rezerwy Policji. W 1932 roku na terenie jednostek w Katowicach, Chorzowie i Rybniku, ze stanów osobowych tychże jednostek zostały utworzone pierwsze kompanie rezerwy. W grudniu 1935 roku został wydany rozkaz Głównego Komendanta Policji Województwa Śląskiego o utworzeniu 24 nowych pododdziałów, co miało zapewnić jeszcze lepszą koncentrację sił rezerwowych Policji Województwa Śląskiego.

W tym miejscu należy wspomnieć, że w 1936 roku utworzono dwie kompanie szkolne kandydatów do służby w Policji, które były szkolone przez wykładowców i instruktorów w Szkole Policji przy Głównej Komendzie Policji Województwa Śląskie-



Funkcjonariusz z Posterunku Konnego PWŚl. w Bielsku w trakcie szkolenia konnego, 1934 rok

fol. arch. aut.

go w Katowicach. Kompanie te stały się automatycznie pododdziałami Komendy Rezerwy Policji Województwa Śląskiego w Katowicach.

W związku ze zwiększonym ruchem kołowym na szosach i drogach województwa śląskiego, który to spowodował wzrost liczby wypadków i kolizji drogowych, w ramach struktury Głównej Komendy Policji Województwa Śląskiego w roku 1938 utworzony został Komisarjat Drogowy.

Do zadań funkcjonariuszy Komisarjatu Drogowego należało prowadzenie, przede wszystkim prewencji w zakresie ruchu kołowego na śląskich drogach.

24 stycznia 1929 roku, na podstawie zarządzenia Wojewody Śląskiego, zostały ustalone zasady organizacji i działania służby śledczej. Zgodnie z tym zarządzeniem utworzono Urząd Śledczy jako wyspecjalizowaną jednostkę, wchodzącą w skład struktury Głównej Komendy oraz dwa Wydziały Śledcze. Należy tutaj wspomnieć, że przy Wydziale Śledczym w Katowicach zostało utworzone laboratorium kryminalistyczne, zajmujące się badaniem i dokumentowaniem śladów zbrodni oraz przestępstw, wyposażone w sprzęt fotograficzny i optyczny oraz inne niezbędne urządzenia techniczne.

Zadania służbowe Wydziału Śledczego określono szczegółowo w zarządzeniu Wojewody Śląskiego, które w dużym stopniu pokrywało się z zadaniami zawartymi w Instrukcji Służby Śledczej Policji Państwowej.

W ramach Urzędu Śledczego została utworzona



Delegacja funkcjonariuszy berlińskiej Policji wraz z kadrą oficerską przed budynkiem Komendy Szkoły Policji w Katowicach przy ul. Poniatowskiego, 1937 rok

nia przestępstw i ścigania ich sprawców. W wyniku nabytych doświadczeń podczas kilkuletniej działalności służbowej ośrodków koordynacyjnych i wypracowaniu nowych metod zwalczania przestępstw masowych, został zniesiony we wrześniu 1938 roku obowiązujący na terenie województwa śląskiego podział na 21 rejonów koordynacji. Rozkazem Głównego Komendanta Policji Śląskiej utworzono natomiast 8 nowych rejonów koordynacyjnych, opierając się na zasadzie „modus operandi” (zj. łac.) – sposób działania.

Równoległe w zakresie usprawnienia służby i w celu uproszczenia biurokracji policyjnej do tzw. minimum podjęto prace nad nowymi przepisami wewnętrznymi, które też wprowadzono w grudniu 1931 roku. Przepisy te zlikwidowały 11 pozycji dokumentów dot. książek rejestru, wykazów oraz książki korespondencyjnej. Wszystko to zastąpiono kartoteką, co zapewniło

szybki i sprawny obieg wpływających i wypływających dokumentów służbowych i akt procesowych.

W Wydziale Administracyjnym Głównej Komendy Policji Województwa Śląskiego została utworzona kolorowa kartoteka osobowa, ułożona alfabetycznie, służąca szybkiemu uzyskaniu informacji personalno-kadrowych o oficerach i posterunkowych, pełniących służbę w Policji Województwa Śląskiego.

Uzbrojenie i zaopatrzenie

Uzbrojenie, umundurowanie i zaopatrzenie funkcjonariuszy Policji Województwa Śląskiego było na wysokim poziomie w porównaniu do siostrza-

nej formacji jaką była Policja Państwowa, co było uwarunkowane finansowaniem formacji ze skarbu Województwa Śląskiego.

W roku 1928, na wniosek Głównego Komendanta Policji Województwa Śląskiego inspektora PWŚl. dr. Adama Kocura, przeprowadzono przebrojenie Policji Województwa Śląskiego z uzbrojenia pozostałego w „spadku” po zaborcach na polskie karabiny „Mauser” z Państwowej Wytwórni Uzbrojenia w Radomiu. Z uzbrojenia wycofano austriackie „Mannlichery” i niemieckie „Mausery”. Każdy funkcjonariusz posiadał na służbowym wyposażeniu: pistolet lub rewolwer, kajdanki, pałkę gumową, bagnet, szablę oraz latarkę i gwizdek; ponadto komplet umundurowania służbowego oraz ćwiczebnego.

Kompanie Rezerwy Policji Województwa Śląskiego posiadały na wyposażeniu: panczerze kuloodporne, hełmy stalowe, maski p.gaz., karabiny maszynowe (ciężkie i lekkie) i francuskie samochody pancerne „Peugot 1918” przekazane przez wojsko. Miejskie i powiatowe komendy miały na swoim stanie samochody osobowe i ciężarowe, motocykle oraz rowery. W roku 1939 park samochodowy, będący na stanie Policji Województwa Śląskiego wynosił: 12 samochodów osobowych, 5 autobusów, 2 samochody półciężarowe, 7 motocykli oraz 400 rowerów, które były wyprodukowane w Państwowej Fabryce Uzbrojenia w Radomiu.

Agresja III Rzeszy Niemieckiej na Polskę 1 września 1939 roku rozpoczęła II wojnę światową i zburzyła budowany z takim mozolem istniejący ład i porządek ówczesnej Polski, jak i świata. W tym momencie brutalnie została przerwana historia Policji Województwa Śląskiego.

Wielu śląskich policjantów stało się ofiarami terroru niemieckich nazistów i sowieckich komunistów. Z kolei w latach powojennych nie było już mowy o autonomii i Policji Województwa Śląskiego, a o jej policjantach milczano, chcąc ich wymazać z pamięci historycznej Polaków. Czy się udało? Nie sądzę. ■



Wojewoda Śląski dr Michał Grażyński dekoruje Brązowym Krzyżem Zasługi RP trumnę Śp. post. PWŚl. Wiktora Szwağła. Policjant został zastrzelony 14.08.1939 roku w Piekarach Śląskich przez niemieckiego bojowca Freikorpsu

kartoteka informacyjno-pościgowa, gdzie zbierano i katalogowano informacje o przestępcach i grupach przestępczych, działających na terenie Województwa Śląskiego oraz Polski. Funkcjonariusze pełnili w kartotece służbę w systemie dwunastogodzinnym, telefonicznie udzielali na żądania jednostek terenowych informacji o osobach poszukiwanych i będących w kręgu zainteresowania Policji.

W maju 1932 roku rozkazem Głównego Komendanta Policji Województwa Śląskiego zostało utworzonych 21 ośrodków koordynacyjnych, mających na celu usprawnić służbę śledczą i mundurową w jednostkach policyjnych, w zakresie ujawnia-

Grzegorz Grześkowiak, dziennikarz, specjalista falerystyki wojskowej. Od ponad dwudziestu pięciu lat zajmuje się historią Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, Policji Województwa Śląskiego II RP oraz Zbrodnią Katyńską. Autor i współautor książek, periodyków i artykułów o śląskiej Policji II RP, Powstaniach Śląskich oraz martyrologii śląskich policjantów w aspekcie Zbrodni Katyńskiej. Współpracuje z krajową i zagraniczną prasą historyczno-wojskową, muzeami, telewizją oraz stowarzyszeniami i grupami rekonstrukcji historycznej.

Tutaj znalazłem swój... Szyb Maciej

Rozmowa z dr. inż. ZBIGNIEWEM BARECKIM



Tadeusz Sierny: W Zabrze i wokół miasta jest wiele zabytkowych zabudowań przemysłowych. Kiedy i dlaczego zainteresował się Pan Szybem Maciej, co Pana w nim urzekło?

Zbigniew Barecki: Był początek lat 90. W związku z likwidacją kopalni Pstrowski, w której pracowałem, kończyła się także moja w niej praca. Szyb Maciej był takim najbardziej oddalonym od centrum kopalni, uspio-nym, trochę nikomu nie potrzebnym kawałkiem tej kopalni (wcześniej kopalni Concordia). I wtedy pomyślałem: może właśnie tam mógłbym rozpocząć trzeci rozdział swojej drogi zawodowej, po pracy w Politechnice Śląskiej i w kopalni Pstrowski. Prywatna spółka, którą utworzyłem, wystąpiła do kopalni o dzierżawę rejonu Szyb Maciej, a potem o jego sprzedaż. I tak to wszystko się zaczęło.

Muszę w tym miejscu jedną rzecz w Pana pytaniu sprostować: rejon Szybu Maciej w tym czasie był nadal częścią czynnej kopalni i nikomu jeszcze się nie śniło, że to będzie w przyszłości uznany zabytek. W opinii, jaką mam do dzisiaj, zezwalającej kopalni zlikwidować go, gdyby nie wpłynęła nasza oferta, jest wprost napisane: obiekt nie przedstawia żadnych historycznych wartości i nie podlega ochronie!

Miałem w tym zakresie zupełnie inne zdanie, uważałem, że Szyb Maciej ma w sobie ukryte, ponadczasowe wartości, które należy zachować, ochronić, wydobyć i podać rewaloryzacji.

Byłem także z tym miejscem związany emocjonalnie, zresztą jak wielu pracowników, którzy tam pracowali, czasem przez wiele lat. Stąd też, poza nieruchomością gruntową i zabudowaniami, akt notarialny, na nasz wniosek, obejmował także zakup wyposażenia, klatek, wieży i maszyny wyciągowej, dyfuzorów... i innych na pozór bezużytecznych ruchomości. To za naszą sprawą, po kilku latach, Szyb Maciej został uznany za dziedziczo-techniki i wpisany do rejestru zabytków.

W tamtym czasie nasze działania skupiały się głównie na pracach zabezpieczających oraz najpilniejszych pracach odtworzeniowych, ponieważ kopalnia od kilkunastu lat nie przeprowadziła w Szybie Maciej żadnych inwestycji czy modernizacji, przymierzając się do fizycznej likwidacji podziemnych wyrobisk, szybu i obiektów na powierzchni.

Działania na rzecz rewitalizacji obiektów przemysłowych łączy Pan z sukcesem z organizacją i zarządzaniem Przedsiębiorstwem Górniczym Demex. Czy przy tworzeniu tego podmiotu gospodarczego chodziło Panu wyłącznie o prze-

kształcenie szybu górniczego w przydatne mieszkańcom Zabrze komercyjne ujęcie wody?

Ten trzeci rozdział mojej drogi zawodowej, o którym mówiłem wcześniej, rozpoczął się od zorganizowania własnego przedsiębiorstwa, bazując na doświadczeniach zdobytych w pracy naukowo-badawczej oraz w pracy w ruchu zakładu górniczego kopalni na stanowisku Głównego Mechanika. Moim zamiarem było utworzenie spółki oferującej szeroki wachlarz usług w zakresie mechaniki, elektromechaniki i hydrauliki. Miejscem tej działalności były niewykorzystywane nieruchomości przy szybie Maciej. Przekształcenie szybu Maciej w ujęcie wody odbyło się jakby z marszu, gdy kopalnia Pstrowski została postawiona w stan likwidacji, w tym planowała także likwidację samego szybu. Samo przekształcenie szybu było naszym pierwszym innowacyjnym projektem.

Jest Pan doktor nie tylko menadżerem, ale także posiada Pan doświadczenie nauczyciela akademickiego. Czy współpraca ze środowiskiem naukowym AGH i Politechniki Śląskiej pomogła Panu w opracowaniu programu ochrony i przystosowania do nowych funkcji gospodarczych i kulturowych zabytkowych zabudowań dawnej kopalni Ludwik i programu Rewitalizacji Zabytkowego Zespołu Szybu Maciej w Zabrze?

Jak powiedziałem wcześniej, doświadczenie akademickie, i to związane z pracą nauczyciela akademickiego, a także praca naukowa, wpłynęły na moją dalszą pracę zawodową w sposób decydujący. Nowatorski charakter większości przedsięwzięć utworzonego przedsiębiorstwa wprost wynikał z moich doświadczeń w dociekanii i poszukiwaniu nowych nieszablonowych rozwiązań, zwłaszcza w zakresie naszej głównej działalności produkcyjnej i usługowej, z której dochody reinwestowaliśmy w rewitalizację obiektów pogórniczych.

Jak chodzi o środowisko akademickie, to nie był to okres zbytniego zainteresowania przekształceniami obiektów poprzemysłowych, trudno było korzystać w tych warunkach z pomocy. Czuliśmy, że przecieramy nowe szlaki, nie było powszechne także w tym okresie samo pojęcie rewitalizacji terenów poprzemysłowych. Z zainteresowaniem natomiast odbierane były nasze doświadczenia i referaty w adaptacji takich obiektów, zwłaszcza, jako inwestora prywatnego. **Jak na nietypowe zainteresowania dyrektora górniczego pierwszego stopnia i inżyniera reagowali Pana koledzy**

z branży? Wspierali Pana?

Nasze działania rewitalizacyjne w początkowej fazie nie były dostrzegane. Powiem może brutalnie, za opinią pewnej ważnej osoby w branży górniczej, wypowiedzianą już na początku tego wieku: co może być ciekawego i interesującego w szybie, wyrobisku, w zdegradowanych obiektach pokopalnianych? Od początku nie podzielałem tej opinii. Pamiętam też do dzisiaj, co powiedział mi dyrektor kopalni, gdy zwróciłem się w pierwszej fazie naszych działań, o wydzierżawienie rejonu szybu Maciej; bez większych wahań powiedział: „zgadzam się”, ale po chwili szybko dodał „tylko mi z tym szybem chłopie już tutaj nie wracaj”. Do dzisiaj podchodzę z wielkim szacunkiem do kierownictwa kopalni za to, że nie stwarzało żadnych istotnych przeszkód, np. w realizacji projektu przekształcenia szybu czy później, gdy przyszło finalizować nam zakup nieruchomości.

Co wchodzi w skład zrewitalizowanego kompleksu Szybu Maciej w Zabrze?

Szyb Maciej to historyczna już nazwa kompleksu dawnej kopalni Concordia, usytuowanego w zachodniej partii jej obszaru górniczego. To tutaj ponad 40 lat temu została wydobyta ostatnia tona węgla Concordii. Na pytanie co wchodzi w skład kompleksu odpowiem krótko, za opinią konserwatora zabytków: jest to kompletny zakład górniczy (kopalnia) w małej skali. A w szczególności: szyb przekształcony w ujęcie wody, nadszybie z wieżą wyciągową, maszynownia, rozdzielnia, budynki dawnych wentylatorów, łaźni i biura kierownika robót, stacja wodna, budynki warsztatowe i magazynowe, plac drzewny, wiadukt kolejowy... jednym słowem kompleks z czytelnym charakterystycznym układem urbanistycznym o powierzchni ponad 2 hektarów, zamknięty, z wpisaną do rejestru zabytków... hałdą usypaną ze skały płonnej wyciągniętej szybem Maciej.

Jaką rolę wobec społeczności Zabrze, społeczności lokalnej i regionalnej, jakie funkcje kulturalne pełni Szyb Maciej? Zabrze w okresie międzywojennym stało się najbardziej uprzemysłowionym, w sektorze



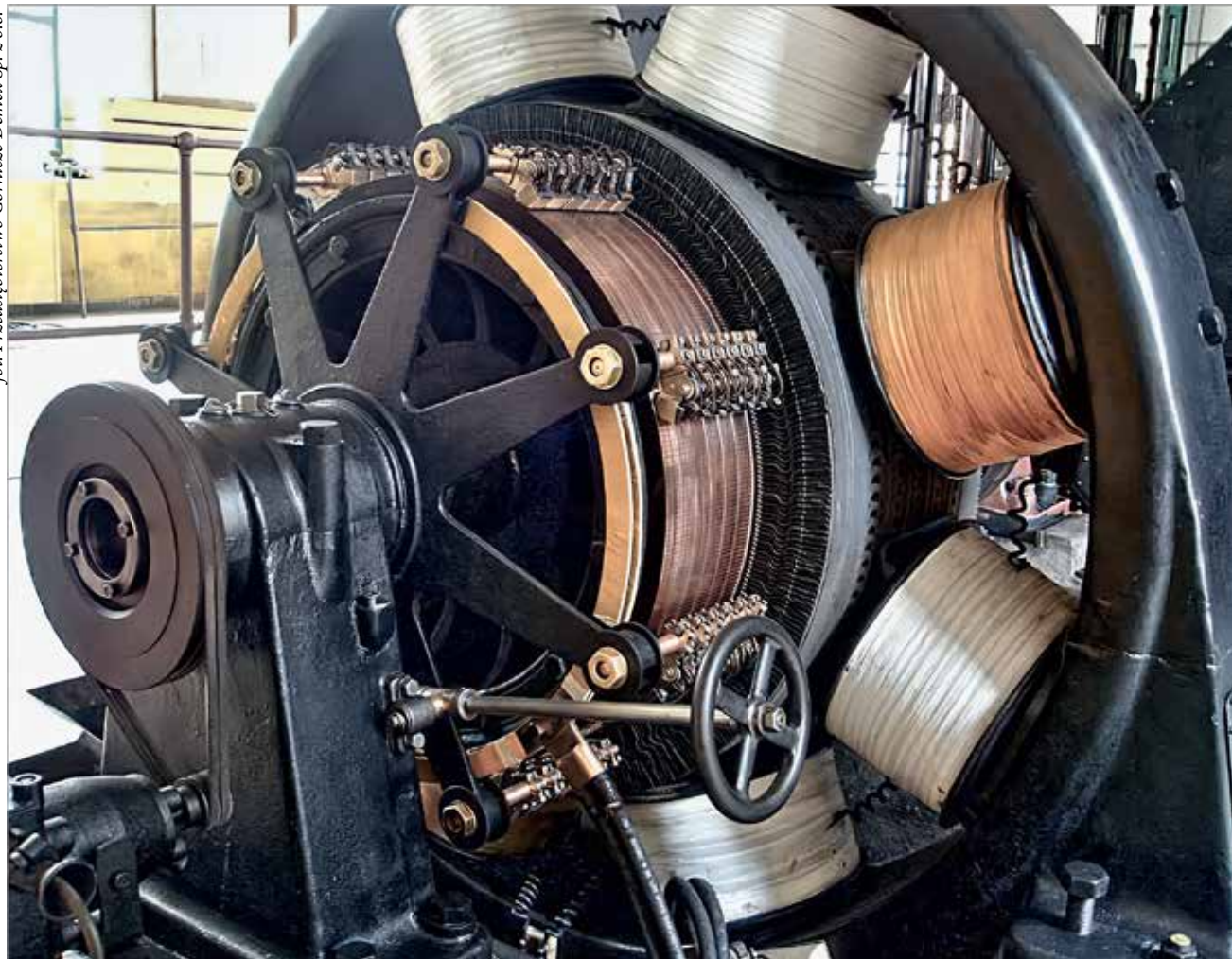
Szyb Maciej, 2018 r.



Szyb Maciej, nadszybie, restauracja 2014 r.



Szyb Maciej, nadszybie, elewacja zachodnia, 2014 r.



Maszyna wyciągowa Szybu Maciej – silnik napędowy prądu stałego po pracach konserwatorskich (2013 r.)

przemysłu ciężkiego, miastem na Górnym Śląsku i w Polsce. W ciągu ostatnich dwudziestu lat z krajobrazu Zabrze, na skutek wyczerpania się złóż, zniknęły wszystkie państwowe kopalnie węgla kamiennego; pozostał jedynie nieduży prywatny zakład górniczy Siltech, eksploatujący resztkowe pokłady węgla pozostałe w obszarze górniczym dawnej kopalni Pstrowski. To wywołało w górniczej społeczności poczucie klęski i rozgoryczenie. Funkcjonujące w Zabrzu Muzeum Górnictwa Węglowego i Zabytkowa Kopalnia Guido, mające w założeniu zachować dziedzictwo znikającego przemysłu, w jakimś stopniu zrekompensowały górniczej braci utraconą rolę i status górnictwa.

Szyb Maciej to spuścizna pierwszej prywatnej kopalni w Zabrzu Concordia, później Ludwik-Concordia, a wcześniej działalności przemysłowej rodu Henckel von Donnersmarck. W końcu Szyb Maciej to spuścizna dużej kopalni Pstrowski, której wielotysięczna załoga, w stosunkowo krótkim czasie, straciła pracę. Szacunek dla tej społeczności i pamięć o niej były dla mnie bardzo ważne. Stąd np. w mojej monografii o kopalni Concordia i Szybie Maciej, napisanej przy współpracy z p. dr Eufrozyną Piątek, pamięć o załodze jest bardzo mocno wyeksponowana. Szyb Maciej to nie tylko historia Concordii, dawna architektura i technika górnicza. Staramy się w nim eksponować zrównoważony sposób rewitalizacji, którym w naszym przypadku jest umieszczenie zupełnie nowych funkcji z poszanowaniem i zachowaniem ducha przeszłości, zapachów maszynierii z minionej epoki, przy zastosowaniu najlepszych praktyk sztuki konserwatorskiej. Szyb Maciej to oferta i promocja dobrej muzyki, teatru, fotografii, rozrywki, to ulubione miejsce dla młodych par na zaręczyny i kolację na wieży wyciągowej, ślub w maszynowni czy przyjęcie weselne z... tortem serwowanym na wozie górniczym, ale też śląskie smaki i kultura dobrego jedzenia w industrialnych wnętrzach.

Dzisiaj dostrzegam, że nasze dokonania w obronie i przekształcaniach Szybu Maciej miały wielki sens. Dostrzegam wzrastające zainteresowanie Szybem Maciej byłej załogi kopalni. Czytelnym dla mnie dowodem jest to, że dokonania te wywołują rezonans społeczny na poziomie Miasta i Regionu, są otrzymane odznaczenia i nagrody Marszałka Województwa Śląskiego za wkład w ochronę dziedzictwa poprzemysłowego oraz wyróżnienie – Laureat w Dziedzinie Kultury, które otrzymałem w tym roku z rąk Prezydenta Zabrze.

Proszę podzielić się swoim doświadczeniem, gdzie, kiedy szukać sprzymierzeńców, gotowych merytorycznie i finansowo wesprzeć takie „egzotyczne” inicjatywy, jak ochrona zabytków, czy w dziedzinie kultury? Są jeszcze takie „pulsujące źródła” finansowania, chętne do współdziałania?

Rewitalizację dawnych obiektów kopalni Ludwik-Concordia, w tym Szybu Maciej,

rozpoczęliśmy w 1991 roku, gdy takie pojęcie w odniesieniu do przekształceń obiektów poprzemysłowych na Śląsku w zasadzie jeszcze nie funkcjonowało. W okresie następnych lat pojawiły się okoliczności, które zaczęły nam sprzyjać. Zaczęliśmy korzystać z funduszy przeznaczonych na prace konserwatorskie przez Gminę Zabrze, Urząd Marszałkowski i Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Niedługo potem na Śląsku, za sprawą Urzędu Marszałkowskiego, dojrzała koncepcja wyeksponowania najbardziej wartościowych zabytków poprzemysłowych i powstał Szlak Zabytków Techniki; Szyb Maciej został uznany za wartościowy obiekt i też znalazł się na tym Szlaku. W następnym okresie zostały uruchomione programy pomocowe finansowane z funduszy europejskich. Staraliśmy się te sposoby wykorzystać.

Ale muszę zaznaczyć, że podstawą wszystkich zrealizowanych projektów była niezwykle koncepcyjna, projektowa i realizacyjna praca, połączona z pasją, wykonana przez zespół naszego przedsiębiorstwa. Moja żona Danuta Żabicka-Barecka, już wkrótce po wykupieniu zespołu od kopalni, opracowała pierwszą koncepcję przekształcenia zespołu do nowych funkcji, wykazując duży potencjał i możliwości adaptacyjne, a później nadała całemu kompleksowi i jego wyposażeniu dzisiejszy wizerunek i blask. Podkreślić należy ważną rolę służb konserwatorskich. To one zaakceptowały, czasem dość odważne, nasze projekty rewitalizacyjne, mając na uwadze to, że przekształcamy trudno adaptowalne obiekty pogórnice, nie mając wielu podobnych przykładów takich rewitalizacji w Europie. Nasze działania konserwatorskie zaczęły oddziaływać na przedsiębiorców w Zabrzu i regionie: np. zainspirowały do podobnych przedsięwzięć zarząd Huty Zabrze, właścicieli nieruchomości pogórnich w Zabrzu-Rokitnicy i Mikulczycach.

Jakby równoległe z coraz bardziej widoczną naszą aktywnością w zakresie ochrony dziedzictwa i zabytków wzrastało w otoczeniu zainteresowanie wykorzystaniem industrialnej przestrzeni przez twórców kultury. Był czas niezwykłych **Festiwali Muzyki Improwizowanej** organizowanych przez **Zabrzańską Asocjację Jazzową**, przy współpracy z **Akademią Sztuk Pięknych**, podczas których występowali np. **Leszek Możdżer, Auksjo, Pospieszalski**, pojawił się **Teatr Nowy** w Zabrzu z **Festiwarem Rzeczywistość Przedstawiona**. Swoje zajęcia ze studentami i prace dyplomowe zaczął prowadzić **Wydział Architektury Politechniki Śląskiej**, a **Szkoła Plastyczna** w Zabrzu pod kierunkiem dzisiejszej Pani Prezydent: **Warsztaty Barwa i Dźwięk** oraz warsztaty fotograficzne. Od dwóch sezonów w Markowni przy ul. Hagera **Majowa Szkoła Tańca** organizuje światowe **May Tango Festival**.

Ale Pana pytanie dotyczyło także „pulsujących źródeł finansowania”. Niestety w przypadku działań o których wspominałem, te

zewewnętrzne źródła są coraz bardziej słabnące, a wydarzenia te odbywają się przy dużym naszym organizacyjnym i finansowym wsparciu, w czym staramy się realizować na swój sposób tzw. społeczną odpowiedzialność biznesu.

Jest Pan współzałożycielem i pierwszym prezesem zarządu stowarzyszenia Kopalnia Sztuki, współzałożycielem Stowarzyszenia Pro Futuro. Czy praca w organizacjach pozarządowych działających na rzecz szeroko rozumianej kultury może dać osobie tak aktywnej i inicjatywnej jak Pan satysfakcję, społeczną akceptację – w naszym jakże skomercjalizowanym i zmateralizowanym świecie?

W październiku br. Sztolnia Królowa Luiza należąca do Muzeum Górnictwa Węglowego otrzymała niezwykle prestiżową nagrodę w zakresie europejskiego dziedzictwa Europa Nostra 2019. Na Gali zorganizowanej w związku z tą okazją Członkowie Stowarzyszenia Pro Futuro, które współtworzyłem, a którego pełną nazwą brzmi Stowarzyszenie na rzecz Restauracji i Propagowania Sztolni Królowa Luiza, przeżyliśmy piękne chwile, gdy Pani Prezydent Zabrze Małgorzata Mańka-Szulik pierwsze podziękowania skierowała w naszą stronę, w stronę Stowarzyszenia, które równo 20 lat temu wystąpiło z inicjatywą odrestaurowania nieznanej wówczas, niezwyklej górniczej budowli powstałej ponad 200 lat wcześniej. Władze Miasta dostrzegły w tej inicjatywie szansę wykorzystania pozostawionego nam przez poprzedników dziedzictwa, wzięły na siebie ciężar sfinansowania, realizację i odpowiedzialność za powodzenie olbrzymiego przedsięwzięcia. Dzisiaj można podziwiać efekt tych działań... Katedra Notre Dame pod Zabrzem.

Czy ten jeden przykład nie jest odpowiedzią na Pana pytanie? W jednym z wywiadów, mając na myśli niezwykłą przygodę z rewitalizacją sztolni, powiedziałem: marzenia się spełniają. Tak, mam satysfakcję, a społeczną akceptację też wyczuwam. Przyznam, że ta działalność wypełnia także mój wewnętrzny obowiązek i stosunek wobec naszego dziedzictwa: **jeżeli możesz, masz szansę i możliwości finansowe, to zrób coś dla przyszłych pokoleń.**

A na zakończenie. Nie zadał mi Pan co najmniej jednego pytania: jak to się stało, że ja jako gorol, który swoją edukację na poziomie szkoły podstawowej i średniej i cały okres młodości spędził u podnóża Beskidów w Bielsku-Białej, zakończył się w kulturze i dziedzictwie Górnego Śląska i znalazł tutaj swoje miejsce?

Odpowiedź Pan na to pytanie?

Bardzo chętnie. Do Bielska ciągle wracam, mam z oczywistych powodów sentyment i jestem dumny, że tam spędziłem młodość. Ale tutaj, na Śląsku, zdobyłem wykształcenie, tutaj poznałem swoją żonę, tutaj mamy wielu przyjaciół i tutaj znalazłem swój... Szyb Maciej. I tutaj poznałem naprawdę wspaniałych i oddanych naszej kulturze ludzi.

Krytyk w murach akademii

MARIAN KISIEL



Był krytykiem i chciał, żeby go takim widziano. Co znaczy jednak być krytykiem dzisiaj, kiedy każda opinia wypowiedziana w medium społecznościowym urasta do rangi sądu wartościującego? Co znaczy być krytykiem w greckim znaczeniu tego słowa: *krinein* (osądzać, rozstrzygać), kiedy frazes chwilowego celebryty więcej waży niż słowo niekwestionowanego znawcy odsiewającego ziarno od plew i mąkę od otrąb? Ratunek dla krytyki jako sztuki rozróżniania, podejmowania decyzji, osądzania, oskarżania i rywalizowania widział w jej obecności w uniwersytecie. Nie miała to być obecność dla wąskiej grupy, ale dla wszystkich. Uniwersytet, jego zdaniem, powinien być miejscem debaty publicznej. Pisał w zbiorze szkiców i recenzji *Kup Pan książkę!:* „krytyka nie działa na uniwersytecie, lecz funkcjonuje tylko na agorze. [...] Chodzi o to, aby reguły te zmienić [...]. Uczynić uniwersytet agorą z prawdziwego zdarzenia – po to krytyka pojawia się w murach akademii”.

Krzysztof Uniłowski był krytykiem wybitnym. Czytał zachłannie i niemal wszystko: rozprawy teoretyczne i publicystykę, literaturę elitarną i rozrywkową, prozę historyczną i współczesną. Włączał się swoimi szkicami w główny nurt debat nad statusem literaturoznawstwa, humanistyki, uniwersytetu. Był wyrazisty, ustawiał się w poprzek tendencji i programów, miał swoje przekonania i rzadko z nich rezygnował. Formułował je wbrew stanowiskom innych, dlatego natępowały na opór. Niejednokrotnie miało się wrażenie, że zajmował jakąś pozycję tylko po to, żeby debata mogła rozwijać się i trwać, a uniwersytet był „agorą z prawdziwego znaczenia”. Był w takiej postawie idealizm i, w jakimś sensie, aristostowski arystokratyzm.

Niezależnie od głoszonych przekonań i zajmowanych pozycji, był personalistą z ducha Emmanuela Mouniera. Nie mógł się obejść bez wspólnoty, ponieważ tylko w jej obrębie kształtował swoje poglądy. Kładł nacisk na podmiotowy charakter wypowiedzianego sądu, włączał go w przestrzeń życia społecznego i intelektualnego, przyznawał mu rangę – powiemy za

Norwidem – głosu pośród innych głosów równorzędnego. W tym sensie był zwolennikiem krytycznego pluralizmu, stanowisk wzajemnie się przekraczających, lecz nie odcinających się od siebie. Stając zawsze wobec środowiska, dążył do jego sugestionowania, a formułując opinie częstokroć niepopularne wierzył w kształtowanie nowych potrzeb i unieważnianie dotychczasowych przyzwyczajzeń lekturowych.

Jego serce biło po lewej stronie, dlatego opowiadał się za linią awangardową polskiej poezji i prozy. Widział w niej przyszłość rozwojową literatury. Potrafił jednakże ująć się także za linią klasyczną, kiedy widział jej niezasłużone deprecjonowanie. Powiedziałbym, że tworzył swój system w bezustannej galwanizacji, niezależnie od spójności i ziarnistości zdań logicznych. „Myśl, że czasami system też się zawiesza, jest jakąś pociechą” – pisał w poincieniu recenzji *Zwału Sławomira Shutego*. Zdanie to miało charakter samozwrotny.

Był erudyta. Była to erudycja autentyczna, żywa, niepozorowana. Krzysztof Uniłowski nie należał do grona – jakby powiedział Tadeusz Peiper – „oblizywaczy odstawionych talerzy”, nigdy nie podpinał się pod cudzy sąd, parafrazując go jako myśl własną. Jeżeli kogoś cytował, to znaczyło, że aprobował poznana opinię; jeżeli z kimś polemizował, to znaczyło, że przemyślał zdanie swego oponenta. Chciał, by każdy sąd, wyrażony w eseju czy formie mniejszej, miał jego własną sygnaturę, nie krył się za cudzymi plecami i nie rozwiązywał problemów na cudzą odpowiedzialność. Tak widział swoją rolę „krytyka w murach akademii”.

Umiał czytać i umiał opowiadać. Nieczęsto zdarza się, by krytyk był mistrzem narracji, wciągał w historię, którą musi stworzyć. A stwarza ją zawsze z dzieła bezzonego na rozmaite sposoby, z roztrząsań różnej natury, z niezgody i domysłów. Czasem okrasza ją dowcipnym słowem, czasem zdumiewa się czymś, co – właśnie – do zdumienia prowadzi. Uniłowski umiał opowiadać, umiał się też bawić swoją opowieścią, kiedy – jak w recenzji *Zmierzchów i poranków* Piotra Szew-

ca – zamiast głosu pojedynczego włączył w obręb tekstu dwa głosy (*pro et contra*).

Krytyka, jego zdaniem, powinna być pisana „żywym i barwnym językiem, dobrze skomponowana, niezależna w sądach”, a tym samym nieść z sobą namysł nad stylami mówienia, osądu i wartościowania. Uważnie wsłuchiwać się w inne głosy „W sytuacji, kiedy każdy z autorów pozostaje głuchy na konkurencyjne narzecz, przekrzykujące się głosy krytyków [...] tworzą jedynie hałaśliwy, lecz próżny zgiełk”. To nie jest agora retorów, ale majdan bazarników. Uciekał przed podobnymi miejscami, z tego też powodu raczej nie zabierał głosu w jazgocie mediów społecznościowych.

Urodził się w Sosnowcu, ale całe swoje życie – z wyjątkiem paru lat – przeżył w Katowicach (Janowie i Giszowcu). „Śląsk »niemiłosiernie brudny, smutny i szary« to właśnie mój Śląsk” – pisał na marginesie *Urodzonego w Święto Zmarłych* Feliksa Netza. Mocno przeciwstawiał się mitologizacji Śląska. Przywołując *Pana Tadeusza*, ironizował z owego „spektaklu miłości do tych familoków z cegły czerwonej, do tych kopalnianych szybów ku niebu się wznoszących, do tych hałd obok rodzinnego osiedla”. Pisał: „moja codzienność jest zupełnie inna”. I właśnie w tych słowach chciałbym usłyszeć deklarację krytyczną Krzysztofa Uniłowskiego. Jego rzeczywistość myśli była inna niż rzeczywistość tych, którzy w literaturze chcą widzieć tylko „spektakl” piękna i miłości, stylizację, a nie zwykłość. Tymczasem dzięki zwykłości możemy odkrywać wszystko inne, stylizując – zwykłości nie rozumiemy. Zwykłości, czyli życia.

Oczywiście, jak każdy krytyk, Krzysztof Uniłowski zaprzeczał sobie, albo odkrywał siebie na nowo w nieoczekiwanych sytuacjach. Pisząc, odsuwał myśl, że coś może się skończyć. Pisanie było dla niego życiem w uniwersum myśli. Dzisiaj widzimy, że była to także „grana zwłokę, uporczywe przedłużanie egzystencji – o jeszcze jedną wypowiedź, o jeszcze jeden epizod, o jeszcze jeden dzień”.

Będzie Go nam brakowało. ■

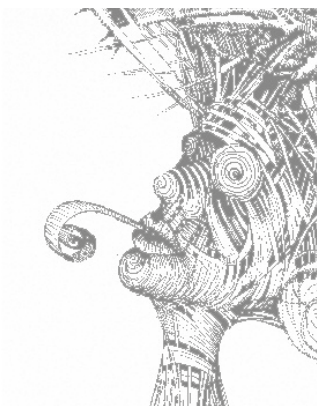
PANORAMA ZWIERZĘCEGO IGRZYSKA

Doliną rzeki, omijając wądoły i urwiska strome, pędzą dziś ściągłe rumaki.
 Liczne sępy i odmienne ptaki, krążąc ponad krainą szeroko, drogę ich prostują.
 Jelonki pozostają zaś czujne przy wodopoju, chroniąc przychówek i smukłe swe łanie.
 Umysły ich są wciąż czujne, płoszy je odgłos cichy lub nawet ulotny zapachu powiew.
 Jakież prawo rządzi theatrum owym? Chrapy pijącego jelenia gnają rybek mrowie.
 Drobną muszka ulatuje chyżo w przestworze, uczuwają lekkie drgnienie powierzchni wody.
 Ona to, rybiej paszczęki się obawia w której może się zakończyć krótkie jej istnienie.
 Ponad wody nurtem oczekują na jej przybycie nienasycone dzioby istot lotnych.
 Pień dumnego a rozłożystego drzewa trawionym jest przez robaczki drobne od lat wielu,
 Im nawet i ptaszę stukające dziobkiem w korę, co jest dla nich domem, jawi się być bestią!
 Pomiedzy gęstwinami smukłych szuwarów porusza się statecznie barwne, brodzące plectwo.
 Miejsce to jest im naturalnym, tu zaś pożywić się pragną choćby nawet oślizgłą żabą.
 Nienawistny im kot dziki na gałęzi spoczywa, pragnąc pożreć opierzoną istotę
 Oko me dalekie bacznie przemierza chaszczę rozległych, suche, mroczne, otchłanne zacisza.
 Kuli się tu jeź trwożliwy, choć głośny jazgot nadchodzącej sfory nie jest mu przeznaczeniem.
 Śmigłym stworzeniem jest zając szary, ten jednak pierzchając żywot swój tylko susem ratuje,
 Najstarsi mężowie nie pomną, aby wilka osaczył a odwróconym był porządek rzeczy.
 Każda z istot chroni się przed pożarciem, nawet i ta, co w słowie mym była dotąd pominięta.
 Epilog przedstawienia, widzom zda się być żalonym, gdy biegu rzeczy owych są świadomi;
 Pies skowyta pod dębem mocarnym, przeszkodą jest mu kot, co reguł biegu pojąć nie zdołał.
 Któż jest jednak ostatecznie w owym ponawianym co roku agonie sędzią i kapłanem?...
 Oto jest i sam pankration chyba! To łowcy na własną miarę stanowią tu Artemidy prawa!...
 Duch mężów śmiertelnych przeważa dzięki mocy rozumu i znajomości najlepszej metody.
 Włócznie barwią się posoki czerwienią. Z wysoka rzucają się sieci. Świsają i strzały.
 Koniec to zmagania dzisiejszych, ucieczką z leśnej areny ratują się bestie ocalałe.
 Luźne wierzchowce pogryzają trawę miarowo, ta wszak przed ich pyskami uciec nie zdoła,
 Będąc niczym lis czy kuna, co schronu szukają w nieprzebytej gęstwinie lub ciasnej jamie.
 Spoczywają znużeni trudem myśliwi, słudzy pracują nadal, znosząc zdobycz ku wozom.
 Cóż pozostaje im jeszcze, gdy ogniska wionie ku nozdrzom upojny zapach strawy?
 To tylko słudzy okadzają dymem drzewo, aby odegnać pszczoły przed pobraniem miodu.
 Oto jest moc ognia, co zwierzyńie dzikiej jest ponad wszelaką miarę szkodliwym i przykrym,
 Użyteczny, by wywołać z podziemnego schronu istotę drobną, w uporze swym zajadłą.
 Ujada też pies obity, co miał pewnie pochwycić szaraka, zapędził się w dal za kotem...
 W czynach owych dopełnia się pełnowi dzień piękny, przeznaczony na Artemidy chwałę.
 Orszak świetny opuszcza już leśne ustronia. Wróci zaś sęp, by resztką uczyty się pożywić.

fot. arch.



Piotr Bolesław Mioduszewski (10 stycznia 1967–1 maja 2018). Urodził się w Opolu. Od roku 1968 mieszkał w Katowicach. Studiował na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego, choroba zmusiła go do dwukrotnej przerwy w studiach, które ukończył w roku 1993, uzyskując tytuł magistra praw. Był absolwentem Podyplomowego Studium Dziennikarskiego. Z powodu choroby nigdy nie podjął pracy zawodowej. Głównym obszarem jego zainteresowań były studia nad prawem i literaturą Rzymu, czego owocem są bogate inedita w postaci kilku powieści umiejscowionych w okresie późnego cesarstwa Rzymskiego, kilkunastu noweli poetyckich oraz poezji w stylu starorzymskim. Opublikował jako e-book powieść *Gambit jednorożca* z gatunku science-fiction.



ŚLĄSKA
OJCZYŻNA
POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

„Przódzi były we Wrocławiu”

Wyciągając parę tygodni temu talerze z kredensu naszego letniego mieszkania pod Bolesławcem, spontanicznie powiedziałem do żony: „Przódzi były one u nas we Wrocławiu”, przywołując w tej wypowiedzi piękne śląskie słowo *przódzi* – „najpierw, najsamprzód”. W jego parafrazie znaczeniowej celowo przywołałem archaicznie brzmiące *najsamprzód*, bo w obu tych formach tkwi ta sama cząstka rdzenna (w wypadku śląskiego wariantu z miękkim „dź”). Do *najsamprzód* można jeszcze dołączyć równie przestarzałe w języku ogólnym *najprzód* i *najsampierw*, a do naszego *przódzi* – *przód*, *przódy* i *noprzód*: *przódzi my miyszkali w familoku* – *przód my miyszkali w familoku* – *przódy my miyszkali w familoku* – *noprzód my miyszkali w familoku*. Wszystkie zaś te postacie zachowały jedno z dwu funkcjonujących od wieków znaczeń rdzenia *przód* – „najpierw, pierw, wprzódy, przedtem”: „Miał podnieść płot, kędy przód stał” – czytamy np. w „Zapiskach i rotach polskich z XV–XVI wieku z ksiąg sądowych Ziemi Warszawskiej”. Drugie znaczenie *przodu* to, oczywiście, „front, przednia część”: „Izba na tyłach domu, którego przód wspaniały” (cytat XVIII-wieczny z II wydania Słownika języka polskiego Samuela Bogumiła Lindego z roku 1854–1860).

W użyciu przysłówkowym „na czele, zajmujący pierwsze miejsce przed kimś, przed czymś”, posługujemy się obocznym do *na przodzie* wyrażeniem *na przedzie*: *na przedzie szedł poczet sztandarowy, jechał konno na przedzie pochodu* – tak jak w powszechnym obiegu jest przymiotnik *przedni* – „znajdujący się na przodzie, z przodu” (*przednie siedzenie, przednie łapy*), „wyróżniający się wysoką jakością, znakomity, doskonały, świetny” (*zabawa*

była przednia, przedni pomysł, dowcip), „przodujący w czymś, wyróżniający się spośród innych” (*bywał w najprzedniejszym towarzystwie, najprzedniejsi znawcy przedmiotu*), „idący, stojący na przodzie, przed innymi, wyprzedzający kogoś” (*straż przednia*); w zoologii: *orzeł przedni*.

No i mamy przywoływany setki razy dziennie przyimek *przed*: *przed domem, przed Katowicami, przed dyrektorem, przed odlotem, przed naszą erą, przed godziną, przed komarami, przed matką, przed sądem* itd., itd. Jak się mają wszystkie te formy z „e” do tych wyżej opisanych z „ó”?

Brzmienia pierwotne mają wyrazy z „e”: *przed, przedni, na przedzie*, a także *poprzedzić, uprzedzić, wyprzedzić, poprzedni, poprzednik, uprzedni* – nawiązujące do prasłowiańskiego przyimka *per* „przez, przy”, staropolskiego *prze*, z dodanym „d” (jak *nad* od *na* z „d”, *pod* od *po* z „d” czy *zad* od *za* z „d”). To prasłowiańskie *perd* przekształciło się w polszczyźnie w przyimek *przed*, podtrzymujący prymarne „e”, w użyciach przysłówkowych natomiast, czyli w formach *przódzi, przódy, noprzód*, także w czasowniku *przodować* i rzeczowniku *przodownik*, to „e” zmieniło się w „o” na skutek tzw. przegłosu polskiego – polskiego, bo doszło do niego tylko w naszym języku, a polegał on na zmianie „e” w „o” lub w „a” po spółgłoskach miękkich, a przed którąś ze spółgłosek t, d, s, z, n, r, l: *przed* przeszło w *przod* (*przód*) – tak jak *mied* w *miod* (*miód*) *żena* w *żoną*, *cies* w *cios*, *wrzes* w *wrzes*, *bieře* w *bieżę*, *kwiet* w *kwiat*, *leto* w *lato*, *gwieźda* w *gwiazdę*, *wiera* w *wiarę* itp. W innych językach słowiańskich i w polszczyźnie przed spółgłoskami miękkimi to pierwotne „e” jest zachowane: *żeński, żenić się, cieśla*, nazwisko *Cie-*

ślik, wrzesień, bierziesz, kwiecień, kwiecisty, kwietnik, letni, letnik, gwieździe, gwieździsty, wierzyć, wierzysz.

Często o obocznościach „e” : „o” czy „e” : „a” zapominamy, wyrównując brzmieniowo temat odmienianego przez przypadki wyrazu. Przeczytałem kiedyś pewną powieść historyczną, której autor konsekwentnie a błędnie używał form „niewiaście”, „o niewiaście” – zamiast *niewieście*, o *niewieście*. W książce tej *niewiasta* funkcjonowała w znaczeniu „kobieta”. Starzy Ślązacy znają i przywołują pierwotne znaczenie tego słowa – w wersji zdrobniałej *niewiastka*, nawiązujące do prymarne-go brzmienia: *niewiasta* – „ta, o której się nic nie wie (bo dopiero wchodzi do rodziny)”, czyli „synowa”. Nie zapomnę, jak pewien malarz tarnogórski przed pół wiekiem, spojrzawszy na moją żonę, powiedział do rodziców: „Gryfno niywiaстка macie” (*gryfno* – „urodziwa, szykowna, ładna”).

A skoro wyżej pojawiło się pierwotne brzmienie *mied*, dopowiem, że tak jak i w wyrazie pospolitym *miod* (dziś *miód*), tak i w moim nazwisku *Miodek* występuje już wtórne „o”, będące rezultatem opisanego tu dzisiaj przegłosu polskiego. Przed paroma laty na pewnej sesji naukowej wystąpiły dwie osoby o tożsamym genetycznie nazwisku, ale o różnych brzmieniach: ja – *Miodek* i pani *Medek* – żona Słowaka *Medka* – z zachowanym pierwotnym „e”.

To prymarne „e”, nieprzekształcone w „o”, utrzymało się w nazwie starej miejscowości *Miedary*, leżącej blisko moich rodzinnych Tarnowskich Gór, a etymologicznie oznaczającej „producentów miodu, późniejszego miodu”, a także w słowie *niedźwiedź*, które w punkcie wyjścia było *medjedem*, czyli „miedo(miodo)jadem”. ■



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Taki niegdyś był grudzień

W polskiej, ale i regionalnej górnośląskiej kulturze ostatni miesiąc roku był czasem niezwykłych tradycji. Oczywiście tych oficjalnych religijnych, czyli obowiązujących prawd doktrynalnych i praktyk religijnych, jak i bogatych tradycji ludowych. W tym przypadku kultura zakwitła barwnymi obrzędami, zwyczajami, obyczajami; także swoistą „otoczką folklorystyczną”.

I zawsze nad wszystkim unosiła się do niedawna prawdziwie niepowtarzalna atmosfera duchowości, pobożności, podlegającej nader często charakterystycznym procesom folkloryzacji. Tak było i jest również na Górnym Śląsku; zarówno w tradycji wiejskiej, chłopskiej, lecz także w tradycji miejskiej. U nas, w jej szczególnej odmianie, czyli kulturze „plebejsko-miejskiej”. Lecz dodajmy, że między tym, co oficjalne, doktrynalne, a tym, co ludowe nie było drastycznego napięcia. Wszak religijność ludowa, którą tak wysoko cenili św. Jan Paweł II zawiera w sobie niezwykły ładunek przeżycia, emocji i nierozpoznawalnego doświadczenia.

Bo *sacrum* przenikało przecież nie tylko okres świętowania, ale i banalnej, prozaicznej codzienności. Zaowocowało też bogato w sferze pracy, np. w kulturze zawodowej górników. No bo spójrzmy już na początek adwentu – czyli czas oczekiwana na narodzenie Pana. Kościół nakazuje wówczas rozmyślenia, post, zakaz spożywania alkoholu, ale też zachęca do umartwiania, i wyraźnie zakazuje zabaw. A jak było u nas? Podobnie.

Jednak już dzień 4 grudnia – czyli prawie na początku adwentu – jest pełen sprzeczności.

Oto bowiem swoje apogeum osiągał kult św. Barbary, górniczy w paradnym orszaku udawali się do kościołów, bo zawsze wierzono, że „Barbara święta o górnikach pamięta”. Potem jednak odbywała się huczna zabawa. W efekcie mówiono: „W Barbórka każdy górnik chodzi od murka do murka”. Ale nade wszystkim był to dzień, który charakteryzował się pięknymi obrzędami, także liczny-

mi pieśniami, które opiewały sens górniczej pracy, dumę z wykonywanej pracy, wszak mówiono: „Górnik ci ja, górnik – połowa szlachcica”. A wieczorem dalej się bawiono. Czyli łamano zakazy adwentu.

Dwa dni później, bo 6 grudnia znów nastawał czas radości, choć ograniczony do dzieci. Tradycje mikołajkowe były wszak rozbudowane.

A już 8 grudnia nastrój ulegał gwałtownej zmianie. Nastawał dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Czczono fakt niezwykły, że Maryja rodziła się bez „zranienia” grzechem pierwotnym. To było opowiadane tego dnia w ludowych opowieściach.

Nastrój powagi i skupienia religijnego obowiązywał też w dniu 13 grudnia. Czczono św. Łucję, dziewicę i męczennicę. Stawiano ją za wzór pannom „coby zowitką nie była” – czyli matką bez męża. Zwyczajowo uznawano, że nastaje najkrótszy dzień w roku. Powiadano: „Święta Łuca dnia przyrzuca”. Od tego dnia następował zwyczaj przygotowań do świąt. „Rychtowano dom i sumienia”. Z tym dniem łączyły się zabiegi magiczne. Liczono dni od 13 do 24 grudnia. Z obserwacji kolejnych dni wrócono, jakie będą kolejne miesiące nadchodzącego roku. I to mimo pory zimowej. Ale wyobraźnia ludowa jest nieokiełznana. A potem nadchodził już moment zasadniczy – próg między czasem oczekiwania i Narodzin Pana.

Nadchodziła Wigilia, czyli przedświecie, 24 grudnia – ostatni dzień adwentu. Zasiadający przy stole tworzyli niezwykłą wspólnotę, a zachowania wszystkich przepojone były duchowością. Modlitwa zaczynała wieczór i trwała ustawicznie „mediacja” z Bogiem, świętymi, ale i zmarłymi członkami rodziny. Wszak dla nich – lub zbłąkanego wędrowca – na stole była dodatkowa zastawa. Składano sobie życzenia, podówczas jeszcze piękny, szczery dar. A choinka, ów śląski *Christbaum*, dawała nastrój, ale to było też „drzewo życia”. Serwowano potrawy, mające znaczenie symbolicz-

ne, które nawiązywały do ludzkiej biografii Jezusa, ale też odzwierciedlały sens ludzkiego życia. Śpiewano kolędy nadające spotkaniu znaczenie sakralne. Dlatego od stołu nikt nie mógł odchodzić.

Pójdźcie zaś z czasem na tzw. pasterkę wprowadzało już kategorię inny czas – bożonarodzeniowego świętowania. Powoli kończył się dzień 24 grudnia. Wszyscy szli do kościoła. Tak nakazywała tradycja, a kolędy śpiewały: „Pójdźmy wszyscy do stajenki do Jezusa i pannenki” czy „Do szopy, hej pasterze, do szopy bo tam cud”. A dlaczego? „Bo tam Jezus malusieńki leży wśród stajenki”. A po nocy spędzonej w kościele, gdzie radośnie śpiewano kolędy następował rano i początek rodzinnego świętowania Bożego Narodzenia. „Starki” wyjaśniały sens owego dnia, co poświadczają opowieści notowane przez folklorystów.

Rankiem 25 grudnia ponownie udawano się do kościoła. Nastawał dzień szczególny, religijny, radosny, rodzinnego świętowania. Stół nakryty białym obrusem jak w Wigilię był centrum życia rodziny. Przynależał oczywiście do sfery *profanum*, ale, jak wyjaśnia wielu, także i do *sacrum*. Atmosfera pełna radości trwała do wieczora.

Nastawał 26 grudnia – drugi dzień świąt, konkretnie św. Szczepana męczennika, straszliwie ukamienowanego. Znowu udawano się do kościoła. Jego postać pobudzała wyobraźnię. Dlatego w tym dniu obsypywano niekiedy w kościele księdza ziarnami zbóż. Św. Szczepan był wzorem cnót. Przypominano jego słowa przed śmiercią: „Panie, nie poczytaj im tego grzechu!”. Odbywały się spotkania już w szerszym gronie. Kończyły się święta.

Nastawał 27 grudnia – dzień św. Jana. W kościołach święcono wino. W efekcie istniał zwyczaj „picia miłości św. Jana” – miłości do Boga i ludzi.

A dnia następnego – 28 grudnia – obchodzono Świętych Młodzianków. Dzień upamiętniający rzeź niemowląt mordowanych przez siepaczy Heroda. Zwyczajowa regionalna przestroga przed Złem. ■



Elżbieta Wróbel

MARIAN KISIEL

Laureatka Nagrody Karola Miarki i Nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy, doktor Elżbieta Wróbel jest znakomitą badaczką literatury międzywojennej. To czas w polskiej kulturze obrosły wieloma legendami i w pewnym sensie mityczny. Wciąż żyją świadkowie tamtych lat, przez dziesięciolecia po II wojnie światowej przywoływano zdarzenia z przeszłości jako znak koniecznej tradycji. Międzywojnie należy do tych okresów w historii literatury polskiej XX wieku, które domagają się bezustannych powrotów i takich powrotów się doczekują. Czas między dwiema wojnami światowymi był wielką erupcją talentów, wpisał się w proces artystycznych przemian w kulturze europejskiej, ukształtował nowy typ odbiorcy, przewartościował dotychczasowy kanon estetyczny, wyznaczył na przyszłość wzorce literackie. Cokolwiek zdarzyło się ważnego w latach 1918–1939, na długo oddziało na wrażliwość kolejnych generacji. Jeżeli prawdą jest to, co powiedział Czesław Miłosz o Młodej Polsce, że „tam nasz początek”, to jeszcze mocniej słowa te wybrzmiewają w odniesieniu do międzywojnia. W nim jest nie tylko „nasz początek”, ale także nasza wina i nasza nadzieja. Zawdzięczając wiele międzywojniu, popełniliśmy wobec niego również grzech zaniedbania. Znamy Dwu-

dziesięciolecie? Niewątpliwie, tak. Ale jeszcze więcej go nie znamy.

O tym wciąż przypomina Elżbieta Wróbel. Swoją rozprawę doktorską (nie wiadomo dlaczego ciągle niewydaną) poświęciła „żywiolowi reportażowemu” w prozie międzywojennej i – na tym tle – utworom Jalu Kurka, reprezentatywnego przedstawiciela międzywojennej awangardy. Proza lat trzydziestych XX wieku – zwłaszcza powieść psychologiczna – bezustannie budzi zainteresowanie literaturoznawców, słuszenie upatrujących w niej początków nowoczesnej teorii i praktyki powieściowej w Polsce. Mniejszą uwagę poświęca się natomiast innemu ważnemu zjawisku, które współtworzyło w międzywojniu refleksję nad możliwościami rozwojowymi prozy ówczesnej. Chodzi o tzw. powieść reportażową (wedle określenia Kazimierza Czachowskiego), drugi wariant nowoczesnej powieści lat trzydziestych. W tę stronę skierowała swoje spojrzenie badaczka, dając świetny portret pisarza na tle ówczesnych poszukiwań formalnych i tematycznych. Niewydane studium *Żywiół reportażowy w prozie dwudziestolecia międzywojennego. Casus: Jalu Kurek* (2000) omówię na podstawie manuskryptu spoczywającego w zbiorach Uniwersyte- tu Śląskiego.

Praca ta sytuuje się w kręgu badań nad świadomością literacką międzywojnia. Teoria powieściowa okresu (dyskusje i polemiki literackie) została tutaj skonfrontowana z konkretną praktyką twórczą i pokazana na tle bogatego kontekstu historycznoliterackiego. Badaczka stawia tezę, iż „reportażowość okazała się żywiołem, który nie tylko doskonale egzystuje na gruncie rodzimym, ale, jak przystało na żywioł, łamie bariery i genologiczne zapory” (s. 4). Dodaje także, że „wtargnięcie [reportażu] w literackie centrum dokonało się [w latach trzydziestych] przy zdecydowanym braku estetycznej i teoretycznej akceptacji ze strony krytyków literackich, chociaż byli wśród nich i tacy, którzy reportażowość form narracyjnych traktowali jako przejaw nowych tendencji w literaturze” (s. 4). Umieszczając w obrębie „żywiolu reportażowego” prozę Jalu Kurka, uczona stwierdza, że „trudno o innego pisarza w dwudziestolecie, który by tak konsekwentnie wykorzystał w swoich utworach metodę reportażową” (s. 4), i że „Kurek [...] pokazuje, iż reportażowość to zjawisko wynikające w pewnym stopniu z nowego postrzeżenia świata w sztuce, w której granice tracą swe dotychczasowe znaczenie” (s. 5). *Pendant* owej tezy staje się także przekonanie o tym, iż „żadnego innego twórcy żywioł reportażowy nie doprowadził w takim stopniu od gry, zabawy literackimi formami do prozy społecznie zaangażowanej” (s. 5).

Właściwą część swojej dysertacji rozpoczyna badaczka od „przeglądu stanowisk krytycznych”, dotyczących „reportażowości prozy narracyjnej dwudziestolecia międzywojennego” (s. 6–44). W instruktywnym rozdziale referuje wypowiedzi krytyków rozmaitych orientacji estetycznych i światopoglądowych, odnoszące się do tej problematyki, zaznaczając równocześnie, że „kwestia reportażowości, jako jednej z cech prozy narracyjnej, sposobu artystycznego artykułowania, była integralną częścią nadrzędnej dyskusji literackiej okresu – na temat nowego pojmowania realizmu i naturalizmu” (s. 6). Przywołując poglądy Karola Irzykowskiego, Leona Pomirowskiego, Stanisława Baczyńskiego, Ignacego Fika, Kazimierza Czachowskiego, Karola Wiktora Zawodzińskiego, Emila Breitera, Konstantego Troczyńskiego, Mariana Promińskiego, Stanisława Piaseckiego i innych, badaczka kompetentnie pokazuje, że „brak estetycznej akceptacji w polskiej krytyce reportażu stanowi dość nieoczekiwany wspólny mianownik, który łączy poglądy krytyków, niezależnie od reprezentowanych przez nich orientacji ideologicznych. Reportaż nie był jeszcze [w latach trzydziestych] traktowany jako fakt literacki, lecz jako fakt z dziedziny piśmiennictwa użytkowego” (s. 36).

Elżbieta Wróbel dobitnie uzmysławia, iż tym, co nastrojało negatywnie krytyków do reportażu, a w konsekwencji również i do prozy reportażowej, było przede wszystkim powszechne przekonanie o „wadliwej kompozycji” utworów tego kręgu (s. 35), a także o ich wtórności artystycznej (s. 38). „Krytycy w Polsce, za wyjątkiem Tadeusza Peipera, nie dostrzegli ogromnego przełomu estetycznego, jaki się dokonał w sztuce u progu nowego stulecia” – pisze autorka rozprawy (s. 41); jest to sąd nieco przesadzony, zwłaszcza że wcześniej mogliśmy przeczytać o pozytywnie waloryzowanej prozie reportażowej przez Promińskiego (uznawał on ją za jeden z dwu nurtów tzw. „awangardy prozatorskiej” w Polsce). Sąd ten prowadzi wszakże Elżbietę Wróbel do trafnej tym razem pointy. Wskazując na wyraźne związki polskiej krytyki literackiej lat trzydziestych z rosyjską szkołą stylistyki, uczona pisze: „Polskiej krytyce dwudziestolecia prace rosyjskich formalistów były dobrze znane, wokół tej metody badania literatury toczyły się polemiki teoretyczne. [...] Jednak w przeważającej części recenzji czynnik aksjologiczny przeważał nad chłodnym warsztatem metodologicznym, jakim dysponowali badacze. To, między innymi, wartościowanie, które wpływało z subiektywnych gustów [...], spowodowało, iż powieść reportażowa została uznana za zjawisko w pełni nie-artystyczne” (s. 44).

W rozdziale drugim (*Między reportażem a reportażowością*, s. 45–69) badaczka swoje wcześniejsze rozważania o myśli estetycznej okresu konfrontuje z konkretną praktyką twórczą tego okresu. Konfrontuje jednak nie od strony historycznoliterackiej zjawiska, lecz od strony poetyki. Pokazując uprzednio rozterki genologiczne krytyków, tym razem zwraca uwagę na zagadnienie „autentyczności” reportażu i jego „statusu samodzielnego” w czasopiśmie. Elżbieta Wróbel pisze: „Autentyczność reportażu należy rozpatrywać jako zagadnienie odbioru i rozpoznawalności określonej konwencji gatunkowej przez czytelnika. Prawdziwość reportażu nie zależy wyłącznie od samego tekstu, ale również w dużym stopniu od odbiorcy, który ocenia, przyjmuje lub odrzuca asertywność tekstu aktualnie czytanego” (s. 46). Stawiając tezę, iż „reportaże nie stanowiły (i nie stanowią) tekstów w pełni samodzielnych” (s. 46), autorka rozprawy zaznacza: „Za reportażem lub przeciw niemu przemawia gazeta, jej redaktor naczelny, profil i orientacja polityczna. [...] Na specyficzny brak samodzielności reportażu ma również znaczący wpływ i ta okoliczność, iż zazwyczaj wydarzenia opisane przez dany tekst silnie poruszają opinię publiczną” (s. 47). I, wreszcie, po raz kolejny mocno podkreślając, że „autentyczność reportażu

staje się [...] zagadnieniem strategii odbioru” (s. 47), uczona pisze, iż w Dwudziestoleciu reportaży „stał się gatunkiem «rozpoznany»; umowa między czytelnikiem a nadawcą została zawarta”. Warto jednak przy tym pamiętać, iż „nie tylko teksty sprawiały kłopot czytelnikom z gatunkową klasyfikacją utworu, ale wszystko to, «co działo się dookoła» zmieniało w istotny sposób ich genologiczne odczytanie przez odbiorcę” (s. 48). W ten sposób autorka rozprawy sygnalizuje główny temat swojego rozdziału: będzie w nim mowa o społecznym funkcjonowaniu reportażu i prozy reportażowej na łamach czasopism i w obiegu książkowym.

Jako materiał egzemplifikacyjny Elżbieta Wróbel wzięła reportaże drukowane na łamach „Wiadomości Literackich” (Jalu Kurka *Franuś umiera w Naprawie*, Zbigniewa Uniłowskiego *Dzień rekruta* i, niedopuszczony przez cenzurę do druku, Mariana Czuchnowskiego *Halo tu mówi więzień z celi nr 13*), a także powieści Jerzego Kossowskiego *Nafta... Nafta... Nafta*, Mariana Czuchnowskiego *Cynk*, Andrzeja Wolicy *Ulica Ogrodowa*, Wandy Wasilewskiej *Ojczyzna*, Haliny Krahelskiej *Polski strajk*, Leona Kruczkowskiego *Kordian i cham*, Henryka Drzewieckiego *Kwaśniacy* oraz prozę Zespołu Literackiego Przedmieście. Badając okoliczności, mechanizmy i konsekwencje czytelnicze druku tych utworów, uczona przekonująco pokazuje jak zmieniała się relacja między prawdą i użytkowością tekstu reportażowego drukowanego w prasie a jego edycją książkową, jak metatekst biograficzny zmieniał poetykę odbioru samego utworu, jak – mówiąc najogólniej – o przewartościowaniu lektury decydował nie „sam tekst, ale wszystko, co działo się wokół niego” (s. 60), czyli – kontekst społeczny, miejsce i czas druku, biografia pisarza, wreszcie temat reportażu. Związanie autentyczności reportażu z pisarską autopsją (ergo: zawiązanie paktu autobiograficznego) stało się ważnym osiągnięciem prozy lat trzydziestych. Badaczka powiada: „Reportażowość stała się przede wszystkim chwytem uwiarygodniającym świat powieści, tak jak w przeszłości pamiętnik, dziennik czy list; fortunność jego zastosowania oceniał już sam czytelnik. Odbiorca sięgał do biografii autora, tam szukając faktów potwierdzających asertywność tekstu. Same konwencje literackie mogły zmylić (i często tak się działo). Pomostem, który połączył reportaż i inne gatunki epickie, a w szczególności powieść, stała się postawa autobiograficzna, przynależna samemu reportażowi” (s. 67).

Po przeanalizowaniu bogatego kontekstu historycznoliterackiego i zarysowaniu tła teoretycznego, Elżbieta Wróbel zwraca się ku praktyce powieściowej Jalu Kurka (*Ewolucja chwytu reportażowego*

w prozie Jalu Kurka, s. 70–96). Ten model segmentacji wypowiedzi badawczej wydaje mi się zasadny i trafny. Aby zrozumieć swoistość prozy twórcy *Kim był Andrzej Panik*, należało przecież tę prozę umieścić nie tylko w ciągu rozwojowym literatury Dwudziestolecia, ale także pokazać jej zakorzenienie w uwarunkowaniach społecznych i lekturowych tamtego czasu. Jalu Kurek – pisze literaturoznawczyni – „celowo mieszał sposoby artystycznego artykułowania rzeczywistości, charakterystyczne dla reportażu i dla świata epickiego centrum, aby wpływać na emocje czytelnika. Ów gorący stosunek do odbiorcy pozwolił mu wykorzystywać elementy reportażu, niezależnie od tego, czy sięgał po nie futurysta czy pisarz, którego działalność literacka mieściła się w ramach tradycyjnego modelu prozy realistycznej. [...] Prowokować, zaskakiwać, zmuszać do intelektualnej aktywności odbiorcę, to nie tylko strategia Kurka-futurysty, ale również pisarza, który pragnął rozliczać nową państwową rzeczywistość” (s. 71). Elżbieta Wróbel w tym rozdziale mówi o próbach przełamania konwencji realistycznych przez Kurka, o wpływie na reportaż lat trzydziestych „języka przekazu prasowego” (s. 79–89), o posługiwaniu się przez pisarza „konwencjami przygodowymi i podróznymi wraz ze wszystkimi ich literackimi wcieleniami: od dziennika po reportażową relację” (s. 83), a także o związku języka literatury z językiem kina (s. 90–92).

Konsekwencją zreferowanego tutaj rozdziału jest kolejny: *Powieść reportażowa – powieścią o państwie* (s. 97–123), w którym Elżbieta Wróbel trafnie dowodzi, że „ideowe źródła [prozy Kurka] wypływają z niezgody na oblicze państwa polskiego po roku 1918” (s. 98). Twierdząc, iż „powieści Jalu Kurka wpisują się w model prozy, która otwarcie manifestuje swój społeczny i często ideologiczny sprzeciw wobec podstawowych instytucji państwowych” (s. 99), uczona rzeczowo interpretuje tutaj takie utwory, jak: *Grypa szaleje w Naprawie*, *Woda wyżej i Młodości, śpiewaj!* Skupia się tutaj głównie na życiorysach głównych postaci literackich, ale także na ich usytuowaniu w obrębie instytucji państwowych i w ogóle na codzienności społecznej, w jakiej te postacie funkcjonują. Konkluzja tego rozdziału jest może zbyt prosta: „Jalu Kurek – pisze autorka rozprawy – pragnął jedynie diagnozować, wskazywać i informować; tym zadaniom podporządkowuje świat swoich utworów, które powstały w latach trzydziestych, a chwył reportażowości tym razem okazał się odpowiednim narzędziem” (s. 123).

W ostatnim rozdziale swojej rozprawy (*W kręgu poetyki powieści Jalu Kurka*, s. 124–154) Elżbieta Wróbel zajmuje się niektórymi aspektami poety-

ki autora *Młodości, śpiewaj!* To autentycznie inteligentna, rozważna i dobrze poprowadzona część dysertacji doktorskiej. Po przeanalizowaniu bogatego materiału lekturowego, uczona zajęła się problematyką „reportażowości w obrębie struktury powieści” (s. 128). A zatem: opisem i warstwą dialogową (w kontekście estetyki naturalistycznej), związkiem tekstu artystycznego z wypowiedzią prasową, pozycją narratora i „sposobami prowadzenia narracji”, postaciowaniem, wreszcie rozmaicie kształtowanymi „chwytami reportażowymi”. Odnosząc te ustalenia do literatury pozytywistycznej (naturalnego kontekstu macierzystego dla prozy reportażowej Kurka), badaczka wielokrotnie zwraca uwagę na takie kryteria, jak: autentyzm i obiektywizm reportażu, szacunek do źródeł, wreszcie tonację tendencyjną. Prowadzi to Elżbietę Wróbel do następującej pointy: „Przedwojenne powieści Kurka były przede wszystkim diagnozami życia społecznego «na teraz» [...]; jest to nie tyle literackie zadanie, co domena dziennikarstwa. Utwory pisarza powstały jako reakcja na wydarzenia i sytuacje zachodzące w realnym świecie. Kurek nie nadbudował nad światem przedstawionym swoich powieści uniwersalnego przesłania – ponadczasowej prawdy życiowej. Jego humanizm to humanizm dziennikarza i działacza społecznego. Dla swoich współczesnych był «prokuratorem» dnia codziennego, dla dzisiejszego czytelnika może być jedynie, a może przede wszystkim, dokumentalistą” (s. 154). To dobitne, historycznoliterackie określenie miejsca powieści reportażowych Jalu Kurka w przestrzeni historii literatury polskiej XX wieku.

Rozważania nad literaturą dwudziestolecia międzywojennego kontynuowała Elżbieta Wróbel w zbiorze *Dwudziestolecie znane i nieznanne. Szkice o prozie międzywojennej* (2012). W antylogicznym – znane/nieznanne – tytule swojej fascynującej książki autorka bardzo trafnie wiedzę o Dwudziestolecu ujmuje. Antylogia jest prosta, bo przeciwstawia dwa epitety odnoszące się do naszej wiedzy. Gdyby to, co znane, było znane niewystarczająco – cóż, taka jest dyspozycja naszego umysłu – o to nie warto nawet toczyć sporów. Zamiast narzekań, niepotrzebnego czernienia papieru w gromieniu przywar pospieszności, niedokładności czy pospolitego niechlujstwa, badacz ma w swoim kantorku do dyspozycji wcale niemały składzik naukowych gatunków podręcznych: przypomnienie, przyczynek, głosę, corrigendum, czy – wedle nazwy Wacława Kubackiego – „bagatelę krytyczną”. Ale jeśli to, co znane, jest nieznanne zupełnie, bo znane jest tylko z przypisu, okazjonalnej wzmianki,

notatki na marginesie czegoś innego? Tutaj *corrigendum* czy glosa nie wystarczą, bo to tak, jakby głodnemu zamiast zupy dawano tylko łyżkę.

Badaczka nie napisała syntezy międzywojennej prozy, jej książka nie ma też ambicji monograficznych. Jakkolwiek w swoich studiach rysuje szerokie tło historycznoliterackie, koncentruje się na wybranych osobach i zjawiskach literackich. Analizuje, nie podsumowuje. I w tym ujawnia się jej kunszt badawczy. Znakomita orientacja w bibliografii okresu (dyscypliny dzisiaj cenionej przez coraz mniejsze grono uczonych), w przemianach kultury literackiej, w siatce prądów i kierunków artystycznych, nastawieniach i oczekiwaniach ludzi międzywojnia – to wszystko składa się na intelektualną podszewkę książki. Książka traktuje o kilku sprawach, lecz w istocie rzeczy mówi nam o czymś więcej, mianowicie o kulturowych podstawach historycznoliterackiego okresu i jego niepowtarzalnym klimacie.

Książkę tworzy sześć studiów o prozie Jana Żyznowskiego, Marii Morskiej, Hanny Mortkowiczówny, Aleksandra Janty-Połczyńskiego, Jalu Kurka, Zdzisława Czermańskiego. Analizy utworów Żyznowskiego, Morskiej czy Czermańskiego są w najwyższym stopniu oryginalne, a nawet fundamentalne. To pionierskie opracowania portretowe, niezwykle instruktywne materiałowo i głęboko poszerzające naszą wiedzę o międzywojniu. Szkice o sztuce reportażu Janty-Połczyńskiego czy o powieści „nowego typu”, jaką jest *Grypa szaleje w Naprawie* Kurka nie mają już tego ciężaru gatunkowego, co trzy studia poprzednie, ale pokazują kształtowanie się nowej wrażliwości literackiej, która w literaturze faktu szukała możliwości wyrażenia tej pasji poznawczej, jaka nie mogła się spełnić w dotychczasowych realizacjach warsztatowych.

Pogratulować należy badaczce studium o Żyznowskim. Ten interesujący artysta był jednym z ciekawszych prozaików, którzy podjęli temat Wielkiej Wojny. Pewnie literacko nie dorównuje on Eugeniuszowi Małaczewskiemu (także dzisiaj zapomnianemu), ale ustania na początku lat 20. przeszłego wieku jeden ze sposobów mówienia o wojnie. Sporo już o tym pisano w ostatnich latach w naszej krytyce naukowej, lecz wciąż niedostatecznie wyczerpująco. Namawiałbym autorkę do podjęcia w przyszłości refleksji nad Małaczewskim. Z podziwem dla badań materiałowych przeczytać trzeba studia o Morskiej i Czermańskim. To postacie z tego samego kręgu przyjacielskiego i artystycznego. A jakże różne! Jak fascynująco nakreślone zostały ich portrety! Dobrze polonistyczne rzemiosło zostało tutaj sprzęgnięte z subtelnością in-

terpretacyjną. I ileż dotąd nieznanych faktów z ich biografii zostało przywołanych po raz pierwszy!

Elżbieta Wróbel, jako autorka monografii o Jalu Kurku, doskonale wie, że o kulturze literackiej okresu decydują nie tylko giganci. O nich spierać się będą zawsze i będą dla nich szyc nowe ubrania kolejne generacje badaczy. Ale kultura literacka to nie tylko dzieła wielkich pisarzy, częstokroć zresztą docenionych później. To także ów ferment, jaki towarzyszył zjawiskom życia literackiego *in illo tempore*; to także lektura powszechna, odsłaniająca u literackiej publiczności cały rezerwar nastrojów i napięć, kształtująca jej smak i gust, odsłaniająca jej głębokie i płytkie potrzeby estetyczne. Kultura literacka to także obyczaj, jaki się upowszechnia i przenosi na lata następne. Tego nie da się często odszukać w twórczości gigantów, to jest otoczka powszedniego dnia literatury. I tutaj należy szukać nieznanego Dwudziestolecia! Autorka książki pokazała nam kilka odsłon tego dnia powszedniego. Ile ich jeszcze trzeba, aby „znane Dwudziestolecie” było rzeczywiście znane? Na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi.

Wiele innych szkiców Elżbiety Wróbel znamy z rozproszonych edycji zbiorowych. Pisała – między innymi – o Zofii Kossak, Jerzym Liebercie, Władysławie Sebyle, Emilu Breiterze (nie mówiąc o wielu innych poetach i pisarzach). To są niebywale istotne i dogłębnie rozpoznane studia. Autorka sytuuje się częstokroć na literaturoznawczym marginesie, ale – mój Boże! – wielu chciałoby znaleźć się na takim uboczu zainteresowań. Uczennica prof. Ireny Jokiel (u niej pisała magisterium) i prof. Włodzimierza Wójcika (doktorat) wyniosła z dawnej szkoły historycznoliterackiej porządność, akuratność i szacunek do ludzi i źródeł. Na pracach Elżbiety Wróbel można uczyć się tego, co prof. Kazimierz Michałowski nazywał „autorytetem wiedzy prawdziwej”.

Badaczka skoncentrowała się głównie na literaturze międzywojennej, bo tam zobaczyła tak wiele „białych palm”, że aż pali wstyd. Dlatego na początku wieku XXI była główną pomysłodawczynią i wykonawczynią wielkiego – dzisiaj będącego znakiem akademii – projektu, poświęconego badaniu międzywojennego dwudziestolecia. Wraz z Anną Wypych-Gawrońską, Elżbietą Hurnikową i Joanną Warońską stworzyła piękną serię prac interpretacyjnych nie tylko opisującą twórczość przedwojenną, ale także gromadzącą najlepsze pióra polonistyki.

Napiszemy o tym przy innej okazji. Teraz gratulujemy znakomitej uczoney, którą – wreszcie – dostrzegło Jej własne środowisko, wnioskując o Nagrodę Prezydenta Miasta Częstochowy. ■

6 kwietnia 1986 roku

Pewność siebie: wiecznie zapijaczony sufler.

lipiec 1986 roku

Barańczak – w wierszu *Autentyk*: „Za jakieś czterdzieści lat, kiedy już wszyscy / powymieramy, okaże się / ku ogólnemu zaskoczeniu, że / czas życia tego pokolenia nie był / erą rozkwitu dzienników intymnych”. Byliśmy na to zbyt słabi. Zbyt silni?

11 stycznia 1987 roku

Piotrze, przerażająca jest myśl, że wszyscy nieuchronnie wtapiamy w jakąś socjalistyczną klasę średnią, etatyzujemy się razem z naszymi wierszami i notatkami. Nigdy nie czułem się bardziej samotnie, nigdy cena za „urządzenie się” w świecie nie wydawała się równie podła.

styczeń 1987 roku

Niedouczone i zmęczone zbiorowość wyłania ze swego grona co najmniej dziesięć tysięcy poetów. Ta sama wspólnota nie pozwala sobie na tysiąc trzeźwych w godzinach pracy murarzy – i nie stać jej na chociaż jedną panią rzucającą kulą lub dyskiem na poziomie finału olimpijskiego. Może dlatego, że i murarze, i miotaczki kulą wraz z dyskobolkami także piszą wiersze?

styczeń 1987 roku

Pisanie jest nam potrzebne do potwierdzenia własnej odrębności – jesteśmy zbyt słabi, aby potwierdzać się inaczej.

lutycy 1987 roku

Po ponad czterdziestu latach komunisci rezygnują, stopniowo, z monopoli. Bliski jest dzień, kiedy pozostawią sobie tylko jeden – monopol na interpretację historii.

7 marca 1987 roku

Uparłem się, aby do końca roku napisać dwadzieścia wierszy, choć poezja to nie jest ani plan, ani norma czy akord. Chcę dopełnić tomik. Chcę, żeby po prostu był. Dwanaście czy trzynaście lat wierszy – a teraz rzeźbię, mnożę notatki i warianty – myślę „książką”, choć czasem od jednego seansu do następnego mija miesiąc czy półtora.

16 marca 1987 roku

Spikerka w TV: „ceny mięsa pójdą w górę” – dziwny kraj, gdzie cen nie potrzeba podnosić, bo same wybierają wędrówkę w góry i być może nawet na najwyższe szczyty.

30 marca 1987 roku

Propozycja pracy na uczelni. Jeszcze dwa miesiące temu, jeszcze miesiąc, nie miałbym żadnych wątpliwości. Znam cenę za pracę w teatrze, za co płacić przyjdzie na uczelni, nie wiem.

11 kwietnia 1987 roku

Hamlet na katowickim Rynku.

bez daty

Pojechałem do dziekanatu – panie nie były łaskawe wypisać zaświadczenia o skończeniu studiów – nie pojmę, dlaczego i z jakich powodów. Przed konfrontacją z prof. U. spotkałem doktor G., podobno, z powodu mego wchodzenia do zakładu wiedzy o teatrze, zagrożoną na etacie. Biedactwo nie wiedziało, czy i jak rozmawiać ze mną, z ulgą oznajmiając, że już musi pójść na zajęcia.

bez daty

Miałem wrażenie, że rówieśnicy mnie przerosli, że – chociaż tak dobrze się sobie zapowiadałem – wegetuję. Przed załamaniem uratowała praca w teatrze. Jako kierownik bileterek i szatniarek co wieczór mogłem ożywiać trupa kilkoma kopniakami przymusu. O tym, że wykonywałem pracę bez sensu, nie myślałem.

bez daty

Można żyć się z własną kłeską – karmić ją, ubierać, czytać jej książki.

22 maja 1987 roku

Wróciłem do pomysłu książki z wierszami. Po drugim czytaniu zostało dwadzieścia sześć wierszy. Nie znaczą dużo, bez czytelnika znaczą jeszcze mniej.

5 czerwca 1987 roku

Nie będę pracował na uczelni. W gości gra się swoimi kośćmi.

czerwiec 1987 roku

Niedawno nadesłano pismo, do którego – jako dyrektor przedsiębiorstwa kultury – miałem się odnieść. Pytano, czy instytucja zamierza – i jak – uczcić jubileusz trzydziestolecia samorządu (celebrację zaplanowano w przyszłym roku). Coś odpowiedziałem. I właściwie o tym zapomniałem. Ale teraz, gdy postanowiłem powspominać i zużyć nieco papieru, jestem gotów uznać urzędową zachętę do pochwały minionych wydarzeń za znaczącą. Przed trzydziestu laty chcieliśmy – niespełna trzydziestoletni – administrować swoim życiem. Być może chyba rzeczywiście tak się stało. Ale nie wiem, czy było warto.

Z dziennika

PIOTR ZACZKOWSKI

Sierpień 1980 nie powtórzy się. O ósmej rozpocznie się strajk powszechny, o ósmej trzydzieści następcą Jaruzelskiego ogłosi w telewizji, że zgadza się na wszystko, łącznie z Kuroniem i Michnikiem jako wicepremierami.

czerwiec 1987 roku

Być może będziesz z nimi tylko do momentu, kiedy ogłoszą postulat ustanowienia wolnych piątków, a tłum będzie niósł pomysłodawcę, ...falujący tłum.

3 sierpnia 1987 roku

Lem z przekąsem wspomina, że w „jego” krakowskim Kole Młodych zauważano innych, np. Wyka wielbił talent Witolda Macha (którego dzisiaj czytają jedynie wykształceni, niedouczeni poloniści). Oczywiście, kiedy Wyka odkrywał Macha, Lem był już Lemem, który napisze *Dialogi* albo *Prowokację*. Lecz nie tyle chodzi o metafizykę pisarskiego losu, co o banalne odkrycie, że socrealizm był równie dobrą czy złą formą, we wnętrzu której pisało się, dojrzewało lub wygaszało. Była to forma okropnie głupia, ale nie mogła zagrozić myśleniu (powiedzmy – myśleniu kategorycznym).

19 sierpnia 1987 roku

„Twój list wyjąłem dzisiaj ze skrzynki tuż przed 13-tą, zaraz potem musiałem wyjść do lekarza, więc tylko przeczytałem go szybko, ale na tyle dokładnie, by pojąć jego ogromny ciężar. Potem chodziłem, jeździłem, pertraktowałem z *fachowcami*, wróciłem do domu, gapiłem się bezmyślnie w sopockich piosenkarzy, aż wreszcie nadeszła noc i znów usiadłem nad twoim listem. Nie przyjechałem do ciebie, choć, gdybym się uparł, mogłem. Nie przyjechałem dlatego, że od pewnego czasu mam wstręt do spotkań towarzyskich, w czasie których wszyscy coś nawzajem udajemy przed sobą, dorabiamy *gęby* sobie i innym, dyskutujemy i błaznimy się. Piotr”.

13 września 1987 roku

Nie było mnie na liście autorów, których zaproszono z mocnym postanowieniem ekshumacji zjazdów poetyckich w Chorzowie. Ostatecznie (dzięki Marianowi) zostałem doproszony, ale za mało. Napisałem w ostatnich latach kilka dobrych wierszy, ale to za mało – trzeba było być, uczestniczyć, oddać w terminie do druku bilanse liryczne.

3 marca 1988 roku

Sąsiad bezinteresownie wkręca żarówki albo czyści piecyk w łazience, rewanżując się drobnymi usługami, które mogą świadczyć jako właściciel maszyny do pisania. Sąsiad wierzy, że prasa jest potęgą – ...Szanowna Redakcjo, od początku lat osiemdziesiątych jestem w posiadaniu żelazka polskiej produkcji (z zakrapiaczem na wodę). Metalowa grzałka do żelazka – po roku sporadycznego użytkowania – uległa uszkodzeniu. Mimo wielu usiłowań nie udało się nigdzie nabyć grzałki, co powoduje, że żelazko jest jedynie kawałkiem złomu. Pragnę zapytać, czy istnieje jeszcze możliwość

nabycia grzałki do żelazka rodzimej produkcji? Czy nie byłoby właściwie, aby producent zainteresował się wadliwymi składnikami produktu?

9 marca 1988 roku

Po jedenastu latach od debiutu prasowego nie zbliżyłem się do literatury, nie przekroczyłem progu, poza którym pisze się książki. I bywa, że się boję – wiem na pewno, że pozostanę tylko w plotce i kilku przypisach do niskonakładowych antologii.

marzec 1988 roku

Marian – *Przypadki* – ogłoszone w „Studencie”: „Biernik – kogo ma się na względzie. Kogo chce się bronić. Kogo premiować. Kogo obarczać winą. I tak dalej”. „A kiedy już się bardzo dokładnie wie, o kogo chodzi – wówczas...”

13 kwietnia 1988 roku

Marianie, od stycznia udało mi się napisać prawie sto linijek poezji; aby „zamknąć” tomik – potrzeba jeszcze dwustu-trzystu; łącznie z tym, co pozostawiłem z napisanym do końca 1987 – będzie, powinno być siedemset-osiemset linijek. Przepraszam za buchalterię, ale natrętna jest myśl, że jeszcze dziesięć-piętnaście wierszy i będzie można odpocząć. Rzeźbię więc; piszę, jak umiem.

18 maja 1988 roku

Marianie, w Katowicach jak w mrowisku. Z perspektywy mrowiska niewiele widać, właściwie można zobaczyć jedynie inne mrówki. Od kilkunastu dni załatwiam różne sprawy związane z przyjazdem Teatru Francois Cervantesa (Francuzi), a od poniedziałku – 23 maja – zaczynamy objazd po domach kultury; pierwszy spektakl w Mysłowicach, aktorzy mają przyjechać do Katowic sześć godzin wcześniej. Boję się, że gdzieś zabraknie widzów, gdzie indziej reflektorów lub prądu. Zaczynam się niepokoić, ale taki już mój urzędniczy los. Co u Ciebie? Jak sobie radzisz z czasem? Czy się nudzisz? ... Czy los żołnierza jest gorszy od losu ucznia – albo pacjenta – albo urzędnika?

19 października 1988 roku

Piotrze, dotarła Twoja kartka z Oxf.; dotarło niecenzuralne słowo – marzenie. Kiedyś wszystko było bardziej proste. Nie wyobrażałem sobie, że mogę mieć trzydzieści lat – albo że moja córka pójdzie do pierwszej klasy. Mam żonę, mieszkanie, talerze i garnki. Mógłbym w teatrze pracować aż do nekrologu. A chce mi się ciągle zaczynać od nowa, budować ze słów na nowo. Często pytam siebie: czego chcesz?; chcesz być najlepszym poetą swojej generacji?; najlepszym – języka polskiego? Ale co to znaczy? Jakie życie to znaczy? ... Jakim staje się życie Anglika lub Fina, który chce być najlepszym poetą swojego języka? Do czego, do jakiej egzystencji zapala Anglik lub Fin co wieczór (zapewne bardziej od mojej elegancką) lampę na biurku?

25 października 1988 roku

Trzeba szanować cudze racje – to też są racje skazanych na śmierć.

bez daty

Tak naprawdę u kresu przygód pokazano Liliputowi gorzelnię Guliwerów.

22 listopada 1988 roku

Marianie, kiedy odwiedziłeś przed wstąpieniem w szeregi, wydawałeś się obdarzony darem uznawania swych wysiłków krytycznych, intelektualnych, za rzeczywistość uporządkowaną i celową. Być może – jeden z najzdolniejszych w pokoleniu – poczułeś smak pierwszych sukcesów, być może naprawdę wierzysz, że życie literackie czy uniwersyteckie jakiś sens posiada. Oszczędzono mi sukcesów, nie znam ich smaku; myślę, że nie tylko życie literackie, ale również literatura pozbawiona jest większego sensu; jest zawodem, wykonywanym najczęściej obok innych, lepiej opłacanych, trudnym zawodem, który wykonuje się czasem dobrze, czasem gorzej, zawsze w społecznej pustce.

bez daty

Śmierć odchodziła od zmysłów – ale one wracały.

12 grudnia 1988 roku

„Piotrze, ciekaw jestem, czy drukowałem cię w Integracjach. Jeżeli nie, przyslij swoje nowe wiersze do ok. 5 I 89. Akurat zamykam nr, teraz ukazał się 22, wysyłam subskrybentom – czy jesteś jednym z nich? Aby drukować w INT., musiałbyś być subskrybentem, to warunek, ale i konieczność, aby Integracje nie upadły. A będą coraz ciekawsze, wprowadzam np. dodatek DEBIUTY! i Alfabet Sztuki, bo tylko... pisałem ci, że twój tekst o książkach z sem. chorzowskiego poszedł właśnie do INT., ale honorarium później, w grudniu nie wypłacamy żadnych pieniędzy, nie ma ich. Czy czytałeś wznowioną MSztukę, ukazała się w Nowym Medyku. Chciałbym, aby była ciekawa i żywa, ale nie wiem, jak to zrobić. Tyle, pozdrawiam. Mam twój tekst *Dążąc ku wierszowi*, b. interesujący, będziemy go drukować na 1 stronie w Młodej Sztuce, ukaże się 1 marca 89. Jurek”

bez daty

Nie pamiętam, jaki to wiersz – i nie pamiętam tekstu o dążeniu. Znacznie ważniejsze było pisanie pod nienajlepszym tytułem *O myśleniu pokoleniami i w pierwszej osobie*” Próbowałem (może z nudów) porachować się z przygodą obecności w poezji czy bardziej – z obecnością w środowisku. Szkic nie nadawał się do druku, gdyż zbyt dokładnie wskazywał na polityczną pułapkę pokoleniowego bytu literatury. Posłałem rzecz (wyłącznie do przeczytania) Jurkowi. Wydrukował tekst bez mojej zgody i z cięciami cenzora. Zareagowałem cierpko, ale nie mam kopii listu. Jerzy odpisał: „Łaskawy Piotrze, dziękuję za list. Raczej może za piękny twój bunt, zwierzenie, protest wobec mnie. Mój Boże, jak to jest – to krzyczysz na mnie, to uwierzyłeś, że nie jestem aż taki potwór. W życiu nie da się przeżyć idealnie, nie można być ideałem dla wszystkich. Chociaż czasami aż krew mnie zalewa, gdy ktoś – gdzieś jest przeciwko mnie, mojemu działaniu. Nie wiem, skąd te protesty, bo przecież nigdy nikogo nie uznawałem za intruza, starałem się zawsze rozumieć poetę, artystę, każdego kto pisze, marzy, chciałby zadebiutować. Niewiele uczyniłem przez te 25 lat dla siebie samego. Mieszkam w norze, a nie mieszkaniu, jest mi byle jak pracować – w domu, w pracy – ciągle zmagania z dyrektorami, dla których poezja, sztuka, debiuty, Integracje, krytyka itp. – to zło konieczne, a zarazem nie chcą się tego wszystkiego do końca pozbyć. Niewiele, uwierz mi Piotrze, uczyniłem dla siebie i błąd w tym moim działaniu wielki. Bo teraz wiele doczesnych dóbr by mi się przydało, chociażby dobre, duże mieszkanie. Nie mówiąc o działce, willi na Mazurach czy w górach. Powiesz – po co mi to. Pewnie masz rację! Pozostaniemy więc ubodzy, urok naszego życia jest w czymś innym. Uroki życia. Co ja wypisuję ci, przecież każde działanie dzisiaj jest obłądnym gestem, wysiłkiem ponad samych siebie. Wyobraź sobie, że cenzura nie pozwala numerować MSz, ani pisać: dodatek, a: kolumny. To przerażający dogmatyzm, głupota nad głupotami, ale tak jest. Twój tekst poszedł przy wielkim moim uporze, a już miał nie być drukowany. Stąd moja zgoda na niewielkie skróty, ing. – inaczej nie poszedłby i nie gniewaj się, nie protestuj. Nowość dzisiejsza jest w starych sztuczkiach. Mówi się co innego, a robi co innego. Normalna, koszmarek codzienny. Wysyłam ci karty subsk., liczę na twoje poparcie, bo muszę zdobyć ok. 1500 subsk., inaczej INT. upadną, a tym razem nie chciałbym się poddać. Pojechałbyś na warsztaty literackie we wrześniu do Strzękęcina – woj. koszalin, jest tam urokliwie i przepiękna atmosfera. Wrzesień. Jedź! Z serdecznymi słowami – tylko nie bądź przeciwko mnie, bo ja nie jestem przeciwko nikomu, oprócz łajdaków i karierowiczów, gratuluję tekstu w ostatniej MSztuce, może ktoś zapolemizuje?!”

14 stycznia 1989 roku

„Twoje 10 pytań – to 10 ciężkich batogów! Zbyt dobrze mnie znasz, aby sformułować pytania nic nieznaczące. Włożyłeś niemało pracy, ułożyłeś niezłą fabułę, którą ja powinienem

jedynie zapisać. Ten wywiad jest dla mnie zaskoczeniem. L. chce prawdopodobnie drukować w związku z przyznaniem mi nagrody im. Grochowiaka. Odpowiedzi napisałem, jak umiałem. Kresł, adiustuj, nanos korektę. Ręka wolna. Znasz mnie bardzo dobrze, wiesz, co chcę mówić. Myślę, że twój tytuł – *Między strategią a etyką* – będzie dobry. Marian”.

29 stycznia 1989 roku

„Objąłem pieczę nad recenzjami w *Integracjach* i chociaż zabrzmiało to może niefortunnie (współpracujesz z MAW-em przecież!) chciałbym cię zachęcić do współpracy z *Integracjami*. Chodzi mi o współpracę stałą, z każdym numerem. Raczej zrezygnuję z recenzji informacyjnych na rzecz takich, które oscylują między esejem a szkicem. Napisz do mnie możliwie szybko, abyśmy – na razie – zarysowali granicę naszej współpracy. Po przyjeździe z wojska pragnąłbym częstszych kontaktów z tobą, gdyż chciałbym, abyś i ty wszedł do *Integracji*. A ponieważ porozumienie między nami jest raczej dobre, wierzę, że uda nam się razem coś zrobić. Marian”.

20 kwietnia 1989 roku

Zobaczyłem na żywo przedmiot pracy magisterskiej. Kott, który mówił był równie pasjonujący, jak Kott do czytania. Nie podszedłem, myślałem o tym, czy kiedykolwiek będę umiał napisać książkę o teatrze.

18 maja 1989 roku

Papier nie jest wcale ciepły – jest biały jak depresja, jak żałoba w Chinach.

16 lipca 1989 roku

Wojaczek odkrył wojnę światową toczoną w nas – urodzonych o wojnę za późno.

21/22 sierpnia 1989 roku

„Białe wino z lodem było zbawienne, a twoje słowa o niebo ważniejsze od słów piosenki: *Nie, Jeff, nie jesteś sam i wierzę mi, robisz błąd, gdy tak rozpaczasz, że ostatnia z twoich dam, tleniona żółta blond puściła w trąbę cię*. Od kwietnia przeżywa takie stany Jeffowe, które się nasilają, gdy zadzwoni telefon – coraz rzadziej – z tej lepszej części Niemiec. I tyle. Nie mogę się pozbierać, bo dziś z kolei znów cały ten ambaras, aby dwoje chciało naraz (a ja raczej nie chcę). Jadę w góry męczyć się w ambarasie. Piotr”.

9 sierpnia 1989 roku

Zdzisław Morawki, kandydat na senatora PRL, reklamuje się wyborczą ulotką, jako „Autor tej myśli, że socjalizm polski powinien mieć kształt obywatelski. Znaczący to, że gospodarkę polską należy odwrócić twarzą do obywatela – jego uczynić adresatem towarów (...). Chodzi o taki socjalizm, który naród mógłby polubić”. Kandydat jest członkiem ZLP od 1961 roku („z przerwą w latach 1983–85”) i ma na koncie 25 „pozycji literackich”. Reklamówka przynosi próbkę liryczną: „Poezja moja powstała z cierpienia / I do cierpiących jest adresowana // Poezja moja powstała z myślenia / I do myślących jest adresowana // Poezja moja powstała ze znoju / I do znużonych jest adresowana”.

sierpień 1989 roku

W wierszu datowanym w pierwszą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego Janusz Leppek pouczał: „poezja absurdu / poezja naszych czasów / znakomicie obywa się bez tych / których niegdyś nazywano poetami”. Antoni Pawlak w „Grypsie dla Leonarda Cohena” ogłosił rezygnację z gry w poezję: „ja także chciałem / pisać o niespełnieniu miłości / tętniących ulicach / knajpach i śmierci / jednym słowem / o życiu / ale jest we mnie pustka / potrafię tylko zapisywać kalekie strofy / i wynajdywać dla nich bezpieczne kryjówki na wypadek rewizji / w pewnym sensie ci zazdroścę / jeszcze nie jutro / Komunistyczna Partia Kanady / wprowadzi stan wojenny”.

sierpień 1989 roku

Dramat literatury. Jest wieczór, sierpień 1989 roku. Wśród papierów tomik Janusza Drzewuckiego. Przekorny tytuł – *Starożytny język* – i przekorne, jak dokuczliwe dzieci, któ-

re się jednak lubi, wiersze. Osip Emilewicz jednego z nich to oczywiście Mandelsztam. Próba poetycka osiągnęła próg kokieterii. Poeta mruży oderwane od kartki oko. Potwierdził obecność w niezależnej kulturze, został autorem przypisu, zgodził się na porządek, który nadaje sens pracy intelektualnej, inwokacją zaświadczył o tym, że jest po właściwej stronie: „weź Panie / w dłonie kruche / zziębnięte serce / Osipa Emilewicza”.

sierpień 1989 roku

Przy braku wolności politycznej nabierała wartości wolność psychologiczna. Taka wolność najlepiej czuła się pod kropówką mitu: „(...) piękna Dania / na kolanach // a / dla mnie / książkę / ojca dzieje / lekcją historii / źródłem siły” (Eugeniusz Zdanowicz, *Kołysanka dla Hamleta*).

sierpień 1989 roku

W radzieckim filmie Rachmaninow wzdycha na łożu śmierci do rosyjskich brzóz. Nie kwestionuję psychologicznej wiarygodności tego obrazu. Zapewne, wiarygodny jest również, już poza kadrem, brak tęsknoty za Stalinem, Bериą i Zdanowem.

6 października 1989 roku

Dziennik jest wprowadzeniem do tekstu, którego nie napiszę.

10 października 1989 roku

Do końca października wyślę Jurkowi dwie, mocno przetrzymane, recenzje; obiecałem pisanie „krytyczne” Piotrowi, być może pomogę w organizacji „Tygodnia Poezji” w Mysłowicach – lecz pozostając człowiekiem wolnym, bez zamówień i pomówień.

30 grudnia 1989 roku

Życie po trzydziestce jest albo pisanie dziennika, albo powolną utratą zdolności do pisania w ogóle.

31 stycznia 1990 roku

Jurku, wszyscy byliśmy w PRL-u, którego już nie ma, jak dzieci – poeci i wydawcy, i przyjaciele poetów, i przyjaciele wydawców.

1 listopada 2019 roku

Wiersz Piotra, zadedykowany autorowi niniejszej notatki, nosi tytuł *Pokój nad ranem*: „śniesz teraz o dużej wodce / i małym kacu / smutny poeta / mały wielki człowiek / co przygarbił się / jak pytajnik // obudź się / obejrzymy to brzydkie miasto / rodziny z wózkami / emerytów z psami / i poetów ze łzami / w oczach // obudź się / już świta”. Datowanie zimowe (i na pewno jeszcze wówczas nie zimne) – 3 stycznia 1988. Odręczny dopisek (bo wiersz wystukany na maszynie): „Piotrowi – Piotr w tę parszywo zimowo-wiosenną niedzielę”. Odnosząc się do uwag nadawcy o tamtej niedzieli, zapomnianej jak wiele innych, ale prawem wyjątku zapisanej, a więc odrobinę innej – nie pamiętam, co w niej siedziało i nie mogło spać. W jakimś wczesnym wierszu budowałem dom ze słów, jednak przygarbiłem się jak pytajnik. Podmiot *Pokoju nad ranem* koresponduje zatem nie tylko z moją obecnością-nieobecnością za ścianą, ale również z moim dorobkiem lirycznym. Ani ten dorobek nie ma dzisiaj znaczenia, ani wiele dawnych niedziel, sobót, a nawet dni powszednich.

9 listopada 2019 roku

Polowania literackie są co prawda samotne, ale świat jest tak głupi, tak sztuczny, że zbiorowość piszących może tolerować techniki akceptacji i wsparcia – mimowolnie tworząc tym samym także jakąś sztuczność, solidarność zastępczą, widowiskową, napędzaną – jednocześnie – odruchami megalomanii i miłosierdzia.

17 listopada 2019 roku

Na przebitkowym papierze – *Do Leukonoe* Horacego – w przekładzie Ważyka. Piotr korzystał z czarnej kalki. Marian również przepisywał dla mnie odę Horacego, we własnym przekładzie lub imitacji. Może była naszym wierszem pokoleniowym, ale zrozumieliśmy to dopiero dzisiaj. W ostatniej wersji tłumaczonej przez Mariana, drukowanej w rzeszowskiej „Frazie”: „Nie wiesz, Leuconoe, i wiedzieć nie będziesz, / jaki mnie i tobie darowano czas”.

Na terytorium kultury każdy kawałek da się odnieść – raczej bardziej niż mniej – do metafizyki. Nie tej arystoteleskiej, wplataniej w filozoficzną spekulację, dość abstrakcyjnej. W języku potocznym metafizyka to synonim tego, co nadzwyczajne, co przekracza ramy krytycznego rozumu. W najwyższych swoich wzlotach kultura stawia nas przed czymś nieznanym, przed tajemnicą, czyniącą wyłom w naszym doświadczeniu. Powiedzmy, że metafizyczny. Najpierw jest zdiwienie. Potrzeba nam chwili, aby się z tym oswoić. Ułożyć się. Przyjąć. Taka jest topografia kulturowa tego, co Witkacy nazywał „metafizyczną dziwnością”, choć nigdzie nie powiedział, co ma właściwie na myśli. Ale to wie każdy.

Metafizyka ma jednak zastanawiające związki z geografią fizyczną. Pewne miejsca wydają się mieć więcej „magii” niż inne. Cudowne źródła, miejsca pamięci, ośrodki kultów i obrzędów. Jeśli wystarcza nam wrażliwości, odkrywamy miejsca, w których pewne rzeczy, gdzie indziej niemożliwe, stają się realne. Najczęściej przeżywamy to subiektywnie, ale ich magnetyzm ogarnia czasem całe kolektyny. Rzadziej – ale jednak – są to większe krainy – mistyczne Tybety, Syberie Jakutów czy egipskie doliny królów. Całe obszary. W moim przekonaniu do takich metafizycznych regionów najzasłużeniej pretenduje Śląsk. Nawet jego industrialna proveniencja nie potrafi tego podważyć. Ten pogląd mógłbym wesprzeć solidnym dowodem, ale tutaj poprzestane na anegdotach.

Już dawno musiałem uznać w końcu, że na ulicy Leśnego Potoku w nieodległym od Katowic górniczym Janowie ma swój początek metafizyczna zawierucha, nazwana później „szkołą janowską”. Tej nazwy jako pierwszy użył – tak mi się wydaje – Seweryn Wisłocki, który to dość dokład-

Promieniowanie niezwykłego

HENRYK WANIEK

nie badał i opisał. Więc tu tylko z grubsza wspomnijmy kopalnianego maszynistę Teofila Ociepkę, patriarchę tego zjawiska. Otoczył się kręgiem ministrantów, którzy podobnie jak on, obok swych przemysłowych zawodów, uprawiali malarstwo. Ale Ociepce głównie chodziło o przekazanie im metafizycznej nauki, jaką przejmował od przedsiębiorczego okultysty niemieckiego. Niejaki Philip Hohmann, podający się za różokrzyżowca, którym może nawet i był, rozszerzał swój wpływ drogą listowną. Rozpowszechniał groszowe broszurki na tematy duchowe. Te pisma, zapewne jego autorstwa, są dzisiaj niedostępne, więc trudno stwierdzić jakiej klasy i wartości to były idee. Ociepka, ich skrzętny odbiorca, zaufał. I tego samego oczekiwał od swych akolitów.

Profesor Zygmunt Lis, artysta, który przez wiele lat był profesjonalnym instruktorem grupy janowskiej, bardzo cenił tę gromadkę. Ale o tej metafizyce mówił rzadko, niechętnie i z dystansem. Miała ona zresztą nikły wpływ na artystyczną miarę janowskich górników-malarzy. Ich obrazy są specyficznie interesujące. Ale nic więcej. Osobno należałoby mówić o dorobku Erwina Sówki, który zresztą jest tej grupy najcenniejszym przejawem. Mistrz Sówka również od tej ociepkowskiej metafizyki się raczej odcina. Na skalę swego talentu i odwagi sam stworzył własny artystyczny język. A przede wszystkim wła-

sną metafizykę, dobrze zakorzenioną w śląskim podłożu, ale sięgającą dalej i głębiej.

Obrazek kręgu janowskich dziwaków, jaki stworzył Lech Majewski w swym filmie *Angelus* nie jest wcale tak uszczypliwy, jak to się może wydawać. Zapewne tak wyglądała na co dzień metafizyka jej janowskich wyznawców. Silnie zabarwiona folklorem, o wiele prawdziwszym niż ten oficjalny. Nie jest to wszak film dokumentalny, tylko reminiscencja nikiszowsko-giszowskiej prawdy. Górniczo-plebejska wiara w metafizyczny wymiar rzeczywistości nie była niczym rzadkim na Górnym Śląsku. Trzymałem kiedyś w rękach fotografię z około 1920 roku. Na niej gromada osób obojga płci (kobiety w tradycyjnych górnośląskich kieckach) stanowiło kółko okultystyczne w Łaziskach Średnich. Jeśli aż tylu było ich w Łaziskach, to tym bardziej w pobliskim Mikołowie, nie mówiąc o innych miejscowościach. W przedwojennych (1922–1939) Katowicach funkcjonowała przynajmniej jedna koteria wierzących w nadprzyrodzone. Wspominał mi o tym dziadek, podkreślając aktywność poetki Janiny Zabierzewskiej.

A znaczyć to może, że cały ten wschodni Śląsk był (i chyba jest nadal) krajem silnie napromieniowanym przez metafizyczne energie. Kiedyś dałoby się tak powiedzieć o całym Śląsku. Wynikało to pewnie z różnorodności religii oraz obyczajów, przenikających tu przez granice. Nie bez





znaczenia była też śląska wielojęzyczność oraz „narożnikowe położenie”, jak to określił ks. Emil Szramek. A do tego niepisana i pisana historia ciężko doświadczono i wzbogacało koloryt jego kultury. Mity, legendy, lokalne rytuały czy nadprzyrodzone zjawiska wyrażały treści żyjące pod powierzchnią Śląska fizycznego.

Metafizyka grupy janowskiej, która w pewnym sensie była rodzajem sekty (millenarystycznej – jak to „od siebie” dopowiada Lech Majewski) to przykład egzaltacji ludowej. Poręczny, choć rzeczywicie trochę zabawny. Pełniej, bo już całkiem na serio, by się to wyrażało w tradycji wiślańskiej. Na południu Górnego Śląska inspiracje metafizyczne miały solidne i lokalne źródło. Swoim początkiem zahaczała ona o koniec wieku XIX. Uważa się, że jej pionierem był Julian Ochorowicz. Ale poza względami klimatycznymi, jakie tam odkrył, musiał zetknąć się z tradycją miejscowej ludowej metafizyki, charakterystycznej zresztą dla regionów górskich.

Do Ochorowicza, badacza i eksperta parapsychologii pielgrzymowały ze wszystkich zaborów osobistości historyczne – Bolesław Prus, którego fascynowały zagadnienia tego rodzaju; Władysław Reymont, na którego Ochorowicz wywierał hipnotyczny wpływ. Nie wymieniam tu innych, bo ważniejszymi wydają mi się lokalni ak-

tywiści tej samej dziedziny. Za kontynuatora tego, co zapoczątkował Ochorowicz trzeba uznać Jana Hadynę. Ale w pierw wspomnę o Agnieszce Pilchowej.

Jej renoma uzdrowicielki i jasnowidzącej przysporzyła chwały fenomenowi Wiśły. Powiada się, że decyzja zbudowania wiślańskiego pałacu Prezydenta Rzeczypospolitej miała związek z ufnością, jaką Ignacy Mościcki darzył Pilchową. Co prawda jedna z jej przepowiedni (z roku 1932) wskazywała na rok 1943 jako najbardziej pomyślny dla Józefa Piłsudskiego, ale przynajmniej oko na ten wypadek przy pracy. Jej proroctwa trafiały na łamy poważnych dzienników. Trzeba też podnieść jej skromność i ofiarności, a także oddanie sprawom tego świata. Agni P. – tak się o niej pisało – była skarbem w działalności Jana Hadyny i Kazimierza Chobota, czołowych wiślańskich metafizyków w okresie międzywojennym.

Za sprawą Jana Hadyny w Wiśle wydawane były poważne pisma o tematyce duchowej. „Hejnał” – to jeszcze dzieło, zmarłego w 1919 roku Ochorowicza, ale później powstały „Wiedza duchowa” oraz „Lotos”. Wydano też kilka książek (Biblioteka Wiedzy Duchowej), które nawet i dzisiaj budzą zainteresowanie znawców przedmiotu. Co prawda, Hadyna miał pewną słabość do Krakowa, więc ostatnie numery „Lotosu” są już tam redagowane, ale istota sprawy pozostała w Wiśle. Lata hi-

sterowskiej okupacji jej nie sprzyjały. Pilchowa została aresztowana i zamordowana w Ravensbrück.

W okresie powojennym tradycja wiślańskiej metafizyki istniała w postaci tyleż nieformalnej co zakonspirowanej. W każdym razie o działalności wydawniczej nie było już mowy, a archiwum „Wiedzy duchowej” z wolna się rozprasało. Niektóre jego części trafiły do firmy Józefa Lacha, katowickiego antykwariusza, któremu wszelka metafizyka nie była obca. Jej literatura częstował nawet odwiedzającego antykwariat Wilhelma Szewczyka. Myślę jednak, że w pamięci przynajmniej starszych osób, przetrwał w Wiśle tamten klimat, dziś już wyrażający się inaczej.

Grubo później, bo z końcem lat 60. ubiegłego wieku z wielką estymą, zainteresowaniem i szacunkiem do legendy „grupy janowskiej” jak i „szkoły wiślańskiej” podejmowali ten temat artyści z katowickiej grupy ONEIRON. Dziś jednak wydaje się, że sprawom tu z grubsza wspomnianym (oraz wielu innym tutaj pominiętym) przydałoby się solidne, historyczne opracowanie, zanim nie rozwieją się jeszcze istniejące ślady. Bo one również składają się na kulturę regionu i jej promieniowanie. Zanim metafizyczne promieniowanie Śląska nie rozplynie się pod działaniem innych energii.

Nieczytelność tego świata – postaci nieobecności

MACIEJ MELECKI

Poezja nigdy nie była odbierana ani odczytywana jako stabilny, jednowymiarowy układ znaczeń, mogący przynosić jednorazowy zbiór treści bezpośrednio oddających raz na zawsze ustanowioną wiedzę o życiu, czy też o samym jego przeżywaniu. Unaocznienie jego poszczególnych aspektów, deponowanych lub kodowanych za pomocą impresji lub metafor, jest podstawowym zabiegiem związanym z transmitowaniem samych treści. Wszelkie zaś przypisywanie poezji bieżących ról jako nośnika pozaestetycznego, dopasowywanie względem użytecznych postaci – automatycznie obarczonych jakowymś celem – było i wciąż jest niekiedy próbą uczynienia z niej akcydentalnego tworu, który, z uwagi na jej pierwotną naturę, będzie tylko sztucznym, martwiejącym niezwykłe szybko, treściowym aktem, stającym się jałową skamieliną w sztywnym obrysie incydentalnej wypowiedzi.

Gdzieżby więc należało szukać takiej istoty poezji, która byłaby emanacją metafizyki – pojmowanej jako zespół pierwiastków tworzących nieusuwalne, stale towarzyszące poczucie mrowiącej tajemnicy istnienia? Na pewno wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia między innymi z poezją szturmującą te obszary i wymiary ludzkiego doświadczenia, które są napromieniowane elementami ostatecznymi i – w swym wyrazie – krańcowymi, wynikającymi z bezpośredniego doznawania utraty i obcowania z granicnością zawitych kolein losu, kiedy to każdorazowy wychył poza spodziewany lub wyczuwany kres, generowany potrzebą intuicyjnego odbierania owego *Meta*, niejednokrotnie kończy się fiaskiem, czyli transfigurowanym doznawaniem puchnącego uczucia pustki. *Fizyczność* zaś jest transponowana w podstawowy wymiar oraz składnik poezji – język wiersza.

Język ten doskonale przeobrażał się na przestrzeni tysięcy lat, zmieniał swoje płynne oblicza, znajdując konieczną dla siebie energię w permanentnym uskoku wobec okalających go języków przekazu czystej informacji, degenerujących się co-

raz bardziej form wypowiedzi jako krótkiego komunikatu czy też rozdętej retoryki spauperyzowanych oznajmień politycznej propagandy. Reakcją na tegoż rodzaju oddziałujące procesy infekowania go takimi uproszeniami, jest samoczynne rozpraszanie się w każdej próbie jego scalenia i umykanie takim możliwościom stanowienia, jakie mogą być skutkiem nakładania nań intencjonalnych wędzideł. Język wiersza dokonuje przeto samooczyszczenia, jednocześnie suto korzystając z innych dopływów wielorodnej postaci języka jako takiego, i dążąc nieustannie do rozszerzania oraz pogłębiania swojego spektrum, w którym może się objawić spora liczba semantycznych skłóceń czy też pozornie sprzecznych, obrazowo mocno popękanych, konstatacji dotyczących aranżowanych wątków. Idący taką drogą język wiersza ma sporą szansę na odzyskanie, choćby resztkowe, tego, co zawsze znajduje się tylko na styku jeszcze występującej, lecz już znikającej obecności.

Tematyka obecności i jej braku jawi się bodaj jako najbardziej ważna, ale i też uniwersalna spośród pozostałych tematów orbitujących wokół samego wrzeciona wiersza. Coś, co jest obecne – czyli występuje w formie żywej lub martwej – w dalszej lub bliskiej perspektywie podmiotu, języka czy samej myśli, owych dynam napędzających tok wypowiedzi czy samej narracji wiersza, podlega automatycznie swej znikliwości. Ta elementarna prawda staje się częstokroć załącznikiem dramatu – stanowiącym podglebie samego wiersza – którego rozwidlająca się forma wnika w każdą wiązkę obranych sekwencji tematycznych i przybiera zróżnicowane częstokroć tony. Właśnie w suponowanej prawdzie obecności – tak niepostrzeżenie przerażającej się w nieobecność – koczują stopniowalne stany, które rozchodzą się najrozmaitszymi zakosami w różne kierunki ułamkowej lub wielopasmowej medytacji nad istotą tego, co jest, bądź staje się, obecnością *czegoś* – silnie oddziałującego kręgu upostaciowionych fantomów rzeczy czy doznań.

Przyjrzyjmy się więc konkretnej realizacji poetyckiej, która na pewno nie może być idealną ilustracją powyższych sugestii, choć stanowi zarazem doskonały przykład eksplorowania resztek śladów danej obecności – w tym także swojej, czyli tego, kto do nas mówi – jakie pozostają po definitywnej utracie łączności z minionym:

NIECZYTELNOŚĆ tego świata. Wszystko dwoiste.

Twarde zegary przyznają rację godzinie rozpadu, ochryple.

Ty, zakleszczony najgłębiej w sobie

wydobywasz się z siebie na zawsze.

(przeł. Ryszard Krynicki)

Wiersz Paula Celana zdaje się być intensywną, krótką relacją ze stanu zapadania się w otchłanny wymiar samoświadomości, które to zapadanie następuje po końcu możliwości odbioru świata, ale także samego życia, w kategoriach racjonalnych. Owa inicjalna nieczytelność jest oznajmieniem dość jednoznacznym. Świat przestaje być jasny i klarowny, ulega gwałtownemu zatarciu i staje się przez to niezrozumiałym oraz niepojmowalnym – wszelkie kwestie dotyczące czytelności są właśnie związane z komunikowaniem dostępu lub jego braku do znaczeń, jakimi, podług narzuconych reguł, kieruje się intencja człowieka w odbieraniu i deszyfrowaniu danych oznak czy przejawów. Celan powiadamia nas u utracie pojedynczości. Wszystko staje się podwójne, a więc nieodróżnialne lub dwoiste – jak jest w samym wierszu. Dwojenie się rzeczy lub postaci powoduje zanik samej jedyności – podstawowej kategorii interpretacji życia – bez której niemożliwy staje się dalszy udział w przeżywaniu przejawów zewnętrznego świata, poddanego nieubłaganiem odliczaniu, a więc odejmowaniu czasu, jaki mu pozostał. Tym, co w ubywaniu staje się najbardziej

widome, jest narastające poczucie rozpadu. To właśnie jemu, wszystko, co oparte jest na miarach czasowych – w swej bezwzględności będące czymś twardym – przydaje rację. Poetycko Celan potęguje to wrażenie poprzez wprowadzenie określenia ochrypłości – racja, którą dwiistość zniosła, ostaje się w swoim zgrzytliwym powidoku jako ostatni jej moment, etap końcowego jej występowania, którym jest godzina rozpadu. Obecność zostaje przeniczona przez pojawienie się czasowej sekwencji, która nie przynależy już do świata doczesnego, albowiem jest jego limesem – czyli granicznością pory trwania, za którą mający już tylko widmo życia – i zostaje skazana na jedyną możliwość, jaką jej się ostała: wydobyć się z siebie na zawsze. W tym przejmującym stwierdzeniu Celan artykułuje zarazem jedyny ruch możliwy jeszcze do wykonania, jaki pozostał życiu – a mianowicie jego opuszczenie. Nie ma

ono możliwości obrania kierunku – opuszczenie nie ma bowiem założonego celu; ma tylko bezwarunkowo nastąpić, aby mogło być możliwe wyzwolenie. Jakub Momro tak pisał o tym wierszu w recenzji w wyboru wierszy Paula Celana *Psalm i inne wiersze* w tłumaczeniu Ryszarda Krynickiego, opublikowanej na łamach dwutygodnika.com:

„Wiersz ten dobrze uwidacznia podstawowy problem z czytaniem tekstów Celana. Ich zasadnicza niejasność nie ma wiele wspólnego z etykietką modernistycznego hermetyzmu, którą tak często twórczość autora *Południka* opatrywano. Chodzi raczej o to, że jego poezja stanowi znamię odmowy wszelkiej interpretacji, stawia pod znakiem zapytania lekturę jako taką, podważa możliwość zajęcia jakiegoś zewnętrznego wobec niej stanowiska. Zarazem utwory autora *Psalmu* zmuszają do analizy, stają się nie tylko wymaganiem poznawczym, lecz rów-

niez zmieniają rejestry percepcji, wyobraźni, wyzwalają język z automatyzmów i przyzwyczajajeń. To jednak w żaden sposób nie wyczerpuje sprawy elementarnej trudności czytania Celana. Spójrzmy raz jeszcze na cytowany wiersz. Znacząca się w nim jakaś fundamentalna ambiwalencja, uwidaczniająca równoczesną konieczność i niemożliwość rozumienia świata oraz pojmowania czasu, będącego znakiem destrukcji. To właśnie w tym miejscu szczególnej intensywności rozpadu rodzą się językowe resztki, znaczeniowe ślady, odsyłające nie tyle do tego, co minęło bezpowrotnie, ile do tego, co choć istnieje, nie da się przedstawić w żadnej formie mowy. Z tej fascynacji nieobecnością czy nawet obsesją na jej temat wyłania się pewna logika pisania, według której Celan cierpliwie zbiera fragmenty i szczątki słów. Czy można rozbić bądź przekroczyć tę logikę?”

Owa logika pisania, którą tak dobitnie podkreśla krytyk, wydaje się istotnie dla Celana czymś nadrzędnym w całym – niezwykle mocno zagmatwanym – procesie *odczytywania nieczytelności*; logika mająca swe zakotwiczenie we wszelkich paradoksach ujmowania pozornych zbiorów światów w karby takiej wiedzy, która tyczy się przede wszystkim momentów finalnych, skończonych pod względem możliwości mówienia o nich jako logicznym – w sensie klasycznym – następowaniu. Śmierć na pewno może być określana jako logiczna – występuje bowiem po życiu. Jest jego dalszą kolejnością, choć do cna wyzuta z jakiegokolwiek o niej wiedzy, pozostaje tylko lub aż siarczyście dotkliwą zagadką, w której nie czai się najdrobniejszy pewnik, co generuje uwierający oraz, jednocześnie, lękliwy stan czyhającej na każdym kroku konfrontacji z niemym jej wymiarem. Ale taki ogląd ma się trochę nijak do tragiczności samego przeżywania tego faktu; tragiczności anektującej każdą próbę słownego unaocznienia rosnącego rozbratu, rozpękania i rozpadania się życiowych stanów oraz związków. Dlatego więc poeta powołuje swoją logikę – ufundowaną na gwałtownych zerwaniach z ciągłością wypowiedzi i wywiedzioną z operowania tylko słownymi szczątkami – którą, jednocześnie, jest zmuszony przekraczać w nieskończoność, ażeby ożywiać tym gestem owe resztki lub odłamki, jakie mu pozostały, jako jedyne, coraz bardziej nikłe, źródła treści samego wiersza, którą okazuje się już tylko obecność nieobecności.

fot. arch.



Paul Celan

Duchowe oblicza sztuki okopowej

ŁUKASZ JÓZEF HUBACZ

Okrutne i niepewne czasy wojny wpływały na wiązanie życia ich uczestników z pierwiastkiem duchowym, czyli szukanie pomocy również w sferze religijnej. Dotyczyło to ludności cywilnej, ale przede wszystkim walczących żołnierzy jak i tych, osadzonych w obozach. Czynnikiem pozwalającym na zachowanie nadziei szczególnie w warunkach życia jenieckiego było odniesienie się do wartości wyższych. Wszyscy jednak, którzy jakoś doświadczyli zagrożenia, musieli w taki czy inny sposób sprostać wyzwaniom niekiedy brutalnej rzeczywistości. Dlatego potrzeba obcowania z przestrzenią duchową znalazła również swoje odzwierciedlenie m.in. w wykonywanych inskrypcjach na wojskowych naczyniach. Tworzone rytmy nierzadko odwoływały się do symboli i treści kultu religijnego czy też świątecznej zadumy.

Wspomniane zjawisko twórczego grawerowania na przedmiotach codziennego użytku to tylko jedna z gałęzi szeroko pojętej sztuki okopowej (ang. *trench art*). Niekiedy bowiem nieznaczny ludzki wysiłek polegający na ozdobieniu czy opisanie przedmiotu wystarcza, by móc mówić o jej zaistnieniu. Próba zdefiniowania tego wojennego – nazwijmy – arcyzmu, choć sięgająca szerokiej tematyki, wyjaśnia m.in., że opisywane zjawisko odnosi się do przedmiotów, które w czasie i przestrzeni zmieniły swoje znaczenie i funkcje. *Trench art* wiąże się zatem z przerabianiem, ozdabianiem, wykorzystywaniem do innych celów obiektów, głównie pochodzenia wojskowego. Dotyczy to okresu konfliktu i tworzenia oryginalnych zastosowań przedmiotów przez ich użytkowników. Przekształcanie materiału wojennego towarzyszyło także ludności cywilnej po wojnie w celach zarobkowych, komercyjnych czy po prostu użytkowych. Sztuka okopowa wiązana jest również z osobami internowanymi oraz po prostu jeńcami. Z tego to powodu przedmiotowe rzeźmiło nie było i nie będzie zjawiskiem elitarnym. W warunkach wojennych przerobienie łuski czy puszki po konserwie, lub jakiegokolwiek fragmentu blachy w celach użytkowych albo estetycznych było czymś naturalnym i powszechnym, a jednocześnie zaświadcującym o kreatywności żołnierzy w okopach jak i poza frontem, np. w trakcie pobytu w obozie. Zdecydowana część

przedmiotów ilustrujących zjawisko *trench art* prezentuje sztukę prymitywną w swej formie lecz niekiedy niezmiernie autentyczną w swym przekazie. Nie oznacza to, że brakuje tutaj wyszukanego arcyzmu i pomysłowości. Analiza tworzonych i przerabianych obiektów pozwala dotknąć historii zwykłych ludzi i tego, co było dla nich istotne oraz tego, co budziło w nich nadzieję i siłę podczas niepewnego czasu wojny. Reasumując, sztuka okopowa była również jedną z form ekspresji silnych emocji uczestników konfliktu. Większość tego typu obiektów stanowi dzisiaj materialny pamiętnik frontowej i obozowej rzeczywistości. Dziedzictwo materialne żołnierzy oraz jeńców ma zatem niepodważalnie duchowy aspekt i zapewnia, że materia ma znaczenie.

Przykładami sztuki okopowej są przedmioty codziennego użytku w postaci manierek, menażek czy kubków. To na nich dość często powstawały inskrypcje. Jednym z tego typu naczyń jest chociażby „zdobyczny” kubek niemiecki od manierki m. 31, na którym oprócz wygrawerowanego imienia i nazwiska właściciela oraz miejscowości, zakreślono następującą treść: „KTO BOGU ZAUFAL – TEN NIE ZGINIE NA WIEKI” (fot. 1). Akcent narodowy i religijny podkreślają chociażby wyryte przez jeńca słowa na prymitywnym kociołku: „WIARA, NADZIEJA, MIŁOŚĆ”. Napisy te nawiązywały do przestarzałych form popowstaniowej symboliki żałoby narodowej, a jednocześnie wskazywały na trzy cnoty teologiczne, a więc odnosiły się do wymiaru boskiego (fot. 2). Wśród tworzonych na naczyniach obrazów, spotyka się także pejzaże. W ich centrum niekiedy przedstawiano wizerunek kościoła lub jego wieży. Jako przykład może posłużyć niemiecka manierka (m. 31) przerobiona na rondelkę / patelnię. Oprócz inskrypcji „FRAUENDORF” (Gołęcino) – nazwy miejscowości, w której znajdował się obóz pracy, na przedmiocie widnieje obraz przedstawiający wieżę z krzyżem

(fot. 3). Podobny akcent został uwieczniony na manierce (model 1909) jeńca carskiego narodowości polskiej, osadzonego w obozie w miejscowości Sagan (Żagań). Na jednej ze stron rosyjskiego naczynia widnieje kościół (fot. 4). Oba przykłady spaja identyczny pomysł artystów. Wspomniane naczynia łączą obraz wschodzącego słońca, jako znaku nadziei, a więc zorzy wolności. Do symboliki świątecznej nawiązuje menażka włoskiego jeńca ze stalagu III C w Alt Drewitz (obecnie osiedle Drzewice w Kostrzynie). Z braku dostępu w warunkach obozowych do drzewek choinkowych wykorzystywano niekiedy brzoźki. Zaświadcza o tym rysunki przedstawiające brzozę umocowaną na stojakach czy podstawach (fot. 5). Innym obiektem zaliczającym się do tej kategorii jest menażka w wersji alpini internowanego żołnierza włoskiego posiadająca napis: „NEGLI ANNI PIU BELLI / I GIORNI PIU TRISI / R.C. / POLONIA NATALE 1943”. Inskrypcja przybliży zatem zastałą sytuację właściciela naczynia posługującego się inicjałami „R.C.”: „W NAJPIĘKNIEJSZYCH LATACH / NAJSMUTNIEJSZE DNI / POLSKA – BOŻE NARODZENIE 1943” (tł. autora). Dość wymowna w swej treści sentencja jest jedyną pozostawioną na tym obiekcie (fot. 6).

Wykorzystanie naczyń w roli podobrazia dowodzi konieczności wypełniania przez żołnierzy i jeńców luki w zakresie duchowej egzystencji czy też celebracji świąt. Artefakty o znamionach sztuki okopowej są nośnikiem wielu informacji, stąd konieczność zwrócenia na nie szczególnej uwagi w ramach ekspozycji muzealnych. Niepodważalnie *trench art* to zjawisko będące ucieleśnieniem ludzkich emocji. To także uprzedmiotowione oblicza cierpienia, tęsknoty, wrażliwości, pragnienie piękna i wolności, a które to wymienione, lecz jak się wydaje szczególnie silnie towarzyszyły twórcom sztuki okopowej w okresie Boże Narodzenia. ■

Łukasz Józef Hubacz – poza życiem zawodowym i naukowym z zamiłowaniem historyk, konserwator oraz kustosz swojego wieloletniego zbioru wojennej „garkuchni”. Znaczący badacz sztuki okopowej i obozowej. Autor publikacji i artykułów w tym zakresie oraz tematycznych wystaw muzealnych. Potwierdza swoją pasją, że dobre kolekcje są pokłosiem wielu wyrzeczeń. Na co dzień służą oddany Ojczyźnie. Prezentowane na str. 51 przedmioty pochodzą ze zbiorów autora.



fot. 1



fot. 2



fot. 3



fot. 4



fot. 5



fot. 6



Jedna ze ścian Domu „Strzelca” z tablicą informacyjną



Ciężki schron bojowy ckm przy drodze

Na wojnie bardzo ważnym elementem działań bojowych jest zaskoczenie przeciwnika. Ludzie od setek lat wysilali swoje umysły, aby znaleźć sposób na skuteczne, zaskakujące pomysły. Jeśli chodzi o budowle forteczne, czyniono dokładnie to samo. Starano się wszelkimi sposobami ukryć ich istnienie, aby dla nacierającego wroga stały się przerażającą i śmiertelną niespodzianką. No i często udawało się...

Wprowadzenie w błąd

Jest taka definicja: maskowanie to rodzaj zabezpieczenia bojowego obejmujący ogół działań zmierzających do wprowadzenia przeciwnika w błąd lub ukrycia własnych wojsk (ich gotowości bojowej, ukończenia, działań), sprzętu bojowego, obiektów fortyfikacyjnych i tyłowych oraz działań i zamiarów dowództwa. Cele maskowania osiąga się poprzez ukrywanie, pozorowanie, działania demonstracyjne i dezinformację. Wszystko to ma odniesienie do obiektów fortecznych. Jeszcze inna definicja maskowania mówi, że jest to zabezpieczenie własnych wojsk, sprzętu, a także obiektów środkami maskującymi, jak również przez wykorzystanie właściwości maskujących terenu (maskowanie bezpośrednie) oraz wprowadzenie nieprzyjaciela w błąd co do przygotowywanych działań, położenia i charakteru ważnych obiektów wojskowych (maskowanie operacyjne). Czyli w przypadku obiektów, o których chcę Wam opowiedzieć, w pierwszej kolejności mówimy o maskowaniu operacyjnym.

„Wzgórze 298”

W 1936 r. polscy sztabowcy uzupełniali naszą śląską linię obronną. Punkty oporu – „Wzgórze 310” w Bobrownikach i „Wzgórze 304,7” w Dąbrówce Wielkiej nie były ze sobą połączone. Oznaczało to możliwość łatwego ich obejścia przez przeciwnika. Tak nie mogło być. Dlatego zaplanowano budowę dwóch innych punktów oporu, zwanych łącznikowymi (inaczej samodzielnych grup bojowych), czyli punktów oporu „Kamień” i „Brzeziny” (obydwa znajdują się na terenie dzisiejszych Piekar Śląskich). Punkt oporu „Kamień” inaczej nazywa się „Wzgórzem 298”, gdyż faktycznie znajduje się na wzniesieniu. Stąd było bardzo blisko do niemieckiego wówczas Bytomia. Wzniesiono tam wiele obiektów fortecznych, w tym kilka zupełnie nietypowych, właśnie dla dezinformacji przeciwnika.

Głównym zadaniem obiektów znajdujących się na „Wzgórz 298” było ryglowanie ogniem rozciągającej się poniżej, doskonale widocznej do dnia dzisiejszego doliny, która ciągnie się w stronę Bytomia, a także zabezpieczenie drogi prowadzącej z Piekar Śląskich (Szarleja) poprzez Brzozowice i Kamień, a następnie Brzeziny Śląskie w stronę Siemianowic Śląskich. Do tego w pobliżu biegła ważna linia kolejowa, a także znajdowała się



Ciężki schron bojowy ckm na „Wzgórz 298”

Budynek, który nie do końca był zwykłym budynkiem

DARIUSZ PIETRUCHA

kopalnia „Andaluzja”. W Kamieniu wybudowano cztery ciężkie obiekty, z których dwa były wyposażone w działka przeciwpancerne. Gdyby nieprzyjaciel próbował przedrzeć się wspomnianą drogą, zostałyby zmasakrowane. Do dnia dzisiejszego ocalały trzy z tych obiektów (wszystkie znajdują się pod opieką naszego stowarzyszenia). Jeden z nich został zniszczony przez Niemców jeszcze w 1940 r. Stał obok dawnego urzędu gminy Kamień. Był prawdopodobnie dwukondygnacyjny. Podejrzewamy, że dolna kondygnacja może jeszcze ciągle tam być, skryta pod ziemią.

Pierwsza zmyłka

Na pierwszej linii obrony „Wzgórz 298” zastosowano już pierwszy element celowego zmylenia przeciwnika. Wybudowano dwa obiekty, które teoretycznie mogły służyć jako schronienie dla niewielkich grup żołnierzy, ale tak naprawdę były obiektami zupełnie pozornymi. Były wysunięte na czoło pozycji obronnej, gdyż miały ściągać na siebie ogień przeciwnika. Praktycznie, w razie bezpośredniego ataku, były jako pierwsze skazane na zniszczenie. Co prawda wyglądają na wyposażone w stalowe kopuły pancerne, ale tak naprawdę to tylko betonowe atrapy tych ko-

puł. Obydwa schrony pozorne mają tylko jedno pomieszczenie. Ich ściany są stosunkowo cienkie i nie dają poważnej ochrony. Istnieją do dzisiaj i znajdują się na terenie pracowniczych ogródków działkowych. W jednym z nich urządzono podręczny magazyn na narzędzia ogrodnicze i przetwory, a wokół niego ogródek skalny. Drugi użyto jako betonową podstawę pod basen. Obydwa stanowią jednak doskonały przykład maskowania i próby wprowadzenia przeciwnika w błąd.

Obydwa obiekty pozorne wzniesiono na planie geometrycznego trapezu prostokątnego o wymiarach 7,5 m x 4 m. Ściany wykonane są z wapienia kamiennego i mają grubość ok. 50 cm. Betonowy jest jedynie fundament i strop, który również posiada grubość ok. 50 cm. Żelbetowa pseudokopuła pancerna ma wewnętrzną średnicę 160 cm. Posiada trzy wnęki, które z daleka wyglądają na strzelnice broni maszynowej. Do tego ściany czołowe i boczna otrzymały trzy otwory oświetlająco-obszernic, mogące także pełnić rolę strzelnic.

Dopiero za obiektami pozornymi znajdują się dwa ciężkie obiekty bojowe, w tym jeden uzbrojony w armatkę przeciwpancerną wz. 36 kalibru 37 mm i dwa ckm-y,



Obiekt pozorny na „Wzgórzu 298” w Piekarach Śląskich-Kamieniu (jeden z dwóch)

w tym jeden w półkopule pancerniej. To właściwa obrona „Wzgórza 298”. Nie uniknięto jednak błędów. W schronie „przeciwpancernym” zastosowano szerokie dwuskrzydłowe drzwi, jednak są one zbyt wąskie, aby swobodnie wytoczyć przez nie armatkę na stanowisko polowe. Należało ją najpierw rozmontować na główne podzespoły i dopiero wtedy wynieść lub wnieść do schronu. To niezbyt fortunne rozwiązanie. Poza tym izbę bojową armatki wyposażono w bardzo wąską strzelnicę, która zapewniała pole ostrzału niewiele przekraczające 30 stopni. To niedużo. Drugi ciężki obiekt bojowy był wyposażony w jeden ckm umieszczony w półkopule pancerniej. Posiada również strzelnicę rkm-u, jak również rury do łączności optycznej skierowane w stronę nieistniejącego już schronu. Obydwa ciężkie schrony bojowe znajdują się na terenie działek, wykupionych przez członków naszego stowarzyszenia i są remontowane. Za niedługo zostaną udostępnione do zwiedzania.

Druga zmyłka

Na przeciwnym krańcu „Wzgórza 298” stoi kolejny ciężki obiekt bojowy. Nie tak dawno w ramach piekarskiego Budżetu Obywatelskiego został wyremontowany przez nasze stowarzyszenie. Na swoim uzbrojeniu posiadał jeden ciężki karabin maszynowy ukryty w kopule pancerniej, a także dwa lekkie karabiny maszynowe. Ciężki miał ostrzelać przedpole obiektu, a dwa lekkie ryglować swoim ogniem przebieg drogi. Tu również zastosowano ciekawy sposób maskowania. W związku z tym, że schron leży przy samej drodze, był doskonale widoczny. Aby tak nie było, wybudowano przed nim murek i rodzaj betonowych słupów, do których najprawdopodobniej przymocowano betonowe płyty zasłaniające go przed oczami ciekawskich. Mogły one imitować typowy wiejski budynek gospodarczy. Być może był to rodzaj drewnianych paneli. Tego do końca nie jestem pewien. Efekt był jednak

znakomity. Obiekt od strony drogi był zupełnie niewidoczny.

Niedaleko, w pobliżu skrzyżowania, przy dawnym budynku gminy Kamień stał kolejny obiekt, który najprawdopodobniej jeszcze w 1940 r. został zburzony przez Niemców. On również posiadał na swoim wyposażeniu działko przeciwpancerne, jak również co najmniej jeden ckm. Niestety, nie wiemy, jak wyglądał, jaki dokładnie miał kształt i jakie było jego pełne uzbrojenie. Nie mam również pewności, czy nie był w jakiś sposób maskowany. Na pewno był to schron dwukondygnacyjny, bo wszystkie ciężkie schrony bojowe „Wzgórza 298” takie są. Jeszcze dalej, przy obecnej ul. Brzechwy znajduje się komora kabli telefonicznych, którą ukryto w niewielkim schronie. Obecnie jest ona niewidoczna, gdyż przy budowie osiedla została całkowicie zasypana ziemią. Około 10 lat temu widziałem jedynie jej niewielki fragment, gdy podczas prac ziemnych natrafiono na ten obiekt i odsłonięto jedynie jego narożnik. Niestety nie wiem, w jakim stanie jest cały obiekt.

Trzecia zmyłka

Wyobraźcie sobie to zaskoczenie. Załóżmy, że nieprzyjaciel ogniem swoich dział zniszczył dwa schrony pozorne w pierwszej linii bojowej. Wtedy zorientował się, że kolejne dwa schrony znajdują się głębiej. Kieruje na nie ogień swojej artylerii. Po każdej przerwie do boju ruszają drużyny piechoty. Odpowiada im ogień z polskich schronów, kładąc trupem sporą część tych drużyn. Ocaleni wycofują się do tyłu. Nie pomagają nawet sprzęt zmechanizowany, bo jeden z polskich schronów pluje ogniem z armatki przeciwpancernej. Na pozycję obronną spada kolejna nawałnica artyleryjska. Do boju ruszają kolejne drużyny niemieckiej piechoty, które, znowu przetrzebione, wycofują się do tyłu. Za każdym razem Niemcy wiedzą lepiej, gdzie sięga ogień polskich żołnierzy, a gdzie są „martwe” pola ostrzału.

Taka zabawa w kotka i myszkę, z tą różnicą, że to niezmiernie krwawa „zabawa”.

Tak jest do czasu, gdy nieprzyjacielowi z wielkim trudem udaje się uciszyć obronę polskich schronów. Bezpośrednie trafienia w strzelnice eliminują możliwość prowadzenia ognia. Brakuje również amunicji. Wnętrza schronów, słabo wentylowane, stanowią prawdziwą pułapkę, która może zabić. W końcu któryś ze schronów wywiesza białą flagę – o ile ma ją kto wywiesić. Przetrzebione pododdziały niemieckiej piechoty uznały, że polska obrona została złamana. Jakie byłoby ich zdziwienie, gdy na tyłach pozycji obronnej mordczym ogniem odezwały się dwa kolejne schrony bojowe, w tym jeden wyposażony w drugą armatkę przeciwpancerną. Taka walka mogła trwać długimi godzinami, a nawet całymi dniami. Węgierska Górka pokazała, że tak właśnie było, a tam broniono się w niewykończonych schronach. Te na „Wzgórzu 298” były w pełni przygotowane do boju.

To hipotetyczna sytuacja i sens polskiego założenia obronnego na „Wzgórzu 298”. Tak naprawdę niemiecki wywiad doskonale znał rozmieszczenie polskich schronów, znał również ich uzbrojenie. Niemiec sztabowcy dokładnie wiedzieli, co ich czeka. Pewnie dlatego regularne oddziały Wehrmachtu w ogóle się tu nie pojawiły. Plan obejsia umocnień Obszaru Warownego „Śląsk” był zupełnie inny – złamanie polskiej obrony na skrzydłach pozycji obronnej. Wyobraźcie sobie jednak, jakie byłoby zdziwienie niemieckich żołnierzy, gdyby nagle z jednego z budynków, niepozornego, wyglądającego na cywilny odezwał się ogień broni maszynowej, który wspierałby obronę polskich schronów bojowych. Zaskoczenie zupełne. No bo jak? Budynek cywilny? Ktoś strzela z piwnicy? Nawet ostrzał z artylerii nie ucisza polskiego stanowiska, bo budynek jest jakiś dziwny... jakby nie do ruszenia. To właśnie trzecia zmyłka.

Dom „Strzelca”

W 1938 r. na zapolu pozycji obronnej „Wzgórza 298” wybudowano obiekt, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak typowy budynek mieszkalny. Jednopiętrowy z zagospodarowanym poddaszem. Ale to tylko pozory. Cały budynek ma wzmocnione stropy i ściany. Kondygnacja parterowa jest mocno podwyższona, więc bardzo trudno dostać się do otworów okiennych. Do budynku można się dostać na dwa sposoby. Do głównego wejścia prowadzi rodzaj platformy ze schodami. Poniżej znajduje się odrębne wejście do kondygnacji piwnicznej, która tak naprawdę była wykorzystana jako pomieszczenie schronu bojowego z dwoma strzelnicami. Można z nich było prowadzić ogień z użyciem ckm-ów lub rkm-ów. Na archiwalnym zdjęciu widać, jakby z kondygnacji piwnicznej można było również wyjść za pomocą rodzaju wyjścia ewakuacyjnego.

Czym był „Strzelec”? Otóż w 1910 r. we Lwowie powstała organizacja nazywana Związkiem Strzeleckim, która stała się podstawą budowania struktur wojskowych Legionów Polskich. Gdy wybuchła I wojna światowa, organizacja właściwie przestała istnieć. Jednakże w 1919 r. powrócono do jej tradycji, tworząc nową organizację paramilitarną nazywaną Związkiem Strzeleckim. Była to organizacja, którą postrzegano jako sanacyjną. Zrzeszała ona młodzież szkolną, przede wszystkim z terenów wiejskich i podmiejskich. Prowadziła głównie działalność w zakresie rozwoju kultury fizycznej, ale młodzież szkolona była również w zakresie przysposobienia wojskowego. Tak naprawdę celem tej organizacji było przygotowanie młodzieży do służby w Wojsku Polskim i wpojenie patriotycznych treści w ich wychowanie. Pewnie dlatego Związek Strzelecki bezpośrednio podlegał Ministerstwu Spraw Wojskowych, a jego struktura organizacyjna odpowiadała ówczesnemu wojskowo-administracyjnemu podziałowi państwa.

Podobno budynek w Kamieniu przeznaczono na potrzeby tej organizacji. Być może faktycznie tak było. Wydaje mi się jednak, że w ten sposób zakamuflowano prawdziwe przeznaczenie tego obiektu. Skąd takie przypuszczenie? W kondygnacji piwnicznej znajduje się pomieszczenie, które najprawdopodobniej było całkiem sporym magazynem amunicyjnym. Mogła tam być zarówno amunicja do broni maszynowej, jak i do działek przeciwpancernych. Wszystko na potrzeby Związku Strzeleckiego? Nie wydaje mi się. Raczej chodzi o zaopatrzenie dla sąsiednich ciężkich schronów bojowych. Co więcej, cały budynek przypomina rodzaj niewielkiej twierdzy. Niedostępna kondygnacja, wejście łatwe do obrony, wzmocnienie całości schronem bojowym ukrytym w narożniku budynku – to jakoś nie pasuje do organizacji paramilitarnej.

Myślę, że było tak. Obiekt wybudowano w 1938 r. – od razu jako wsparcie pozycji obronnej. Konstrukcję budynku wzmocniono, aby mógł wytrzymać większy ostrzał. Jednocześnie miał stanowić większą ochronę dla osób przebywających w jego wnętrzu. Myślę, że w założeniu logistycznym „Wzgórza 298” ten obiekt pełnił bardzo ważną funkcję. Po pierwsze był cofniętym nieco na zaplecze magazynem amunicyjnym. Podejrzewam również, że mógł być swojego rodzaju lokalnym centrum dowodzenia. Skąd takie przypuszczenie? Otóż w kondygnacji piwnicznej obiekt posiada pomieszczenia przypominające niewielkie cele. Jakie było ich przeznaczenie? W 1938 r. Polacy doskonale zdawali już sobie sprawę z niemieckiego zagrożenia dywersyjnego. Może to dla takich osób przeznaczono cele? A może dla własnych żołnierzy, którzy nie chcieli wykonać rozkazu? Faktem jest, że takie pomieszczenia tam są. Co więcej, w razie bezpośredniego zagrożenia obiekt mógł



Dom „Strzelca”

się samodzielnie bronić. Schron ukryty w kondygnacji piwnicznej stanowił główną obronę, ale ogień można było prowadzić z okien z pierwszego piętra czy nawet z poddasza. Gdyby na pierwszym piętrze działała sekcja ckm-ów, to przedpole pozycji stałoby się dla Niemców prawdziwym polem śmierci. Pole ostrzału bardzo dobre. Za pomocą wyjścia ewakuacyjnego można się było w miarę bezpiecznie i niepostrzeżenie ewakuować z budynku. Myślę, że z tym „Strzelcem” to tylko zmyłka...

Jego izba bojowa posiada strop wzmocniony stalowymi belkami podobnie, jak jest to w innych schronach bojowych. Dwa otwory strzelnicze były zamknięte stalowymi drzwiami pancernymi. Posiadają również stopnie przeciwrykoszetywe. Mamy więc prawdziwy, choć niewielki schron bojowy, nieco podobny do tych, które stosowano w budynkach koszarowych, choć zupełnie inaczej usytuowany. Jest to jedyny znany mi tego typu obiekt na terenie Polski, wybudowany przez Polaków w okresie międzywojennym. Przez wiele lat nie wiedzieliśmy o jego istnieniu. Dopiero pod koniec XX w. Waldek Machoń, jeden z założycieli „Pro Fortalicium”, dowiedział się od znajomych, że coś takiego istnieje. Poszedł, sprawdził i okazało się, że faktycznie...

Kopalnia

Nieopodal jeszcze do niedawna znajdowały się zabudowania kopalni „Andaluzja”, która została założona na początku XX w. (zlikwidowano ją kilka lat temu, a wszystkie zabudowania wyburzono). Wydawałoby się, że jej teren stanowił „martwe pole”

polskiej obrony. Co prawda zabudowania kopalniane można było wykorzystać do obrony, ale to nie to samo, co schrony bojowe. Nic bardziej mylnego. Na terenie kopalni znajdują się cztery schrony, które pozostały jako jedyni świadkowie jej istnienia. Dwa z nich są o wiele starsze. Pochodzą jeszcze z okresu plebiscytowego i najprawdopodobniej zostały wybudowane na polecenie niemieckiej dyrekcji kopalni, która w ten sposób chciała zabezpieczyć swój zakład pracy przed zagrożeniem, głównie ze strony powstańców śląskich. Dwa kolejne zostały wybudowane w 1939 r. jako wzmocnienie tego odcinka obrony. Są to typowe schrony połowe piechoty. Wszystkie cztery zachowały się do dnia dzisiejszego. Czyli kolejna zmyłka...

Niestety, za zabudowaniami kopalni i domami mieszkalnymi w Brzezinach Śląskich wybudowano tylko jeden schron, lekki połowy schron piechoty. To był bardzo słaby punkt polskiej obrony, gdyż kolejny obiekt, ciężki schron bojowy znajdował się dopiero na granicy Brzeziny Śląskich i Dąbrówki Wielkiej (wyremontowany i udostępniony do zwiedzania przez nasze stowarzyszenie). W 1939 r. wykorzystywały to niemieckie grupy dywersyjne, które właśnie wtedy przenikały w głąb polskiej obrony. Czyli błąd. Gdy kiedyś będziecie mieli ochotę odwiedzić owo miejsce, zróbcie sobie wycieczkę po wszystkich opisanych obiektach. Co prawda będzie to całodniowa wycieczka, bo jest ich trochę, a do tego spora ich część jest wyremontowana i udostępniona do zwiedzania, ale uwierzcie mi, jest co oglądać. ■

Dariusz Pietrucha – historyk z wykształcenia, absolwent Uniwersytetu Śląskiego, wieloletni nauczyciel historii, od urodzenia związany ze Śląskiem, miłośnik i badacz historii regionu, autor wielu książek i artykułów, prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium”.

Śląskie tajemnice cz. 23

Zamek w Miliczu

JULIA MONTEWSKA

Pomiędzy dwiema rzekami – Baryczą i mniejszą Młynówką, usytuowany na wzniesieniu, ponieważ wybudowany na terenach zalewowych obu rzek, stoi niezmiennie milicki zamek. Jednak u zarań swych dziejów zamkiem nie był. Pierwotnie w tym miejscu stał umocniony pałac, reprezentacyjny obiekt, wybudowany dla Kapituły Wrocławskiej.

W 1154 roku został wymieniony w przywileju papieża Hadriana IV jako jedna z posiadłości arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Budowla, jak na tamte czasy, wykonana z wielkim rozmachem – posiadała nawet toalety usytuowane tak, że wychodząc do nich, nie trzeba było opuszczać pomieszczeń mieszkalnych. W części mieszkalnej znajdowała się też bardzo pięknie zdobiona reprezentacyjna aula, ogrzewana jak większość pomieszczeń kominkiem, usytuowanym w jej centralnej części.

Książę Oleśnicki Konrad I w roku 1358 okupił od kapituły Milicz, i wtedy też rozpoczęła się wielka przebudowa obiektu. W trakcie tych prac bryła budowli nabrała cech warownych, wybudowano mur obronny, a od strony wschodniej wieżę. Na przestrzeni wieków zamek jeszcze kilkakrotnie prze-



fol. Julia Montewska

talny w skutkach. Wtedy to w jego murach wybuchł pożar. Ogień co prawda nie strawił go doszczętnie i został odbudowany przez rodzinę von Maltzanów, ponieważ Milicz w 1590 stał się ich własnością.

Nieopodal zamku w latach 1790–1800 wybudowano klasycystyczny pałac, zamek powoli tracił swoją wartość obronną, a w dodatku w 1797 roku kolejny raz wybuchł w nim pożar. Co prawda ponownie odbudowano go, jednak już w szacie neogotyckiej, ponownie zmieniając jego styl. Być może budowa pięknego pałacu w pobliżu sprawiła, iż w zamku otworzono przędzalnię bawełny, farbiarnię, a przez pewien czas był też siedzibą teatru, jednak wiek XIX przyniósł mu zapomnienie. Od tego czasu rozpoczęła się agonia milickiego zamku, która, jak widzimy, trwa do dziś, choć kilka wieków temu obiekt był miejscem podpisania dokumentu pomiędzy Zakonem Krzyżackim a Księstwem Pomorskim, nazwanego później Ugodą Milicką. Dziś milicki zamek jest urokliwą ruiną, trwającą w zapomnieniu. Spacerując wśród ruin, zapadlisk, kikutów ścian, można powiedzieć, że to już ostatni akt w tym teatrze. Agonia postępuje z każdym rokiem. Odwiedzający Milicz zachwyceni pięknym pałacem rodu Maltzan niekiedy nie zauważają ruin zamku. Teren należy do Zespołu Szkół Przyrodniczych, który mieści się w pałacu. Żal, że opieką otoczone są tylko zabudowania pałacowe.

fol. Julia Montewska



budowywano, zmieniając jego detale i charakter. Styl renesansowy budowli nadał Zygmunt Kurzbach, ponieważ od 1494 roku dobra milickie wchodziły w skład terytorium czeskiego. Niestety rok 1536 okazał się dla zamku fa-

Julia Montewska — inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków Dolnego Śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.

Romantyk nieposkromiony

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



Nasza epoka to czas, w którym mamy dostęp do wszystkiego; to czas, w którym ponadto – wszystko wolno. Epoka nasza to czas niesłychanego rozdrobnienia wartości, do czego oczywiście przyczynia się technologia, bo właściwie każdy ma do niej dostęp i każdy jest w stanie wyrazić się, spełnić się dzięki niej – i w niej. Doprowadziło to chyba raz na zawsze do upadku uniwersalnych porządków myśli i rzeczy, do zaniku pryncypiów. Według mnie uchwytym momentem tego przesilenia były lata sześćdziesiąte XX wieku, dekada-apogeum tak odkrywczosci, jak i na tę odkrywczosc reakcji. To w latach sześćdziesiątych wypuściły pąki idee re-kreacji, re-animacji przeszłości, których może pierwszymi udanymi przykładami na gruncie muzyki były *Pasja wg św. Łukasza* Krzysztofa Pendereckiego (1963–1966) i *Sinfonia* Luciana Berio, którą włoski mistrz ukończył w 1969. Nb. neoklasycyzm lat dwudziestych i trzydziestych miał bardziej charakter pastiszowy niż późniejsza tendencja postmodernistyczna; neoklasycyzm był takim trochę ponurym żartem, postmodernizm – terenem dociekań głębokich, a dla sztuki istotnych.

Wszakże całe XX stulecie – ograniczyliśmy się do sztuki właśnie – było okresem przesilenia i walki. W końcu okazało się, że nie wygrał nikt, nastąpiło przymusowe zawieszenie broni, bowiem wszyscy zgłupieli i nikt już nie wiedział, gdzie się obrócić. Skorzystali z tego twórcy niechętni awangardzie i wcześniej tamszeni – teraz mogli wreszcie poszaleć. Mówię tu o pokaźnej grupie kompozytorek i kompozytorów (głównie w Ameryce Północnej i Rosji, ale także na Zachodzie) o orientacji romantycznej – to im szczególnie postmodernizm pomógł, usprawiedliwił ich twórczą postawę.

Takim kompozytorem jest u nas Andrzej Dziadek (1957) pochodzący z Jasienicy koło Bielska-Białej. Biorąc pod uwagę jego postawę twórczą, kompozytor ten to w muzyce polskiej postać wyjątkowa. Można w nim widzieć zwariowanego idealistę (którym nie jest), fanatycznego konserwatystę (którym także nie jest), albo po prostu stuprocentowego zawodowca spokojnie kroczącego raz wybraną drogą (którym z pewnością jest). Ta jego droga twórcza to chyba pro-

sta jak strzała autostrada. Nie ma na niej gwałtownych zwrotów, zakrętów, skrzyżowań – wszystko posuwa się z nieubłaganą konsekwencją w jednym kierunku, swego czasu obranym i nigdy nie zmienionym. Kompozytorowi obce są – tak się przynajmniej wydaje – twórcze agonia, niepewność, wahanie. Kiedy już się zdecydował, gdzie iść, w którą stronę muzyki się udać, nie zmienił kierunku i konsekwentnie zmierza ku swemu celowi – nadaniu pewnej użytej estetyce poloru, wzbogaceniu jej wymiarów, przedłużeniu jej istnienia.

Jako chłopak i nastolatek, Andrzej przeszedł wszystkie stopnie muzycznej edukacji, od szkoły muzycznej I stopnia po katowicką Akademię Muzyczną. Uczył się najpierw fortepianu, by stopniowo zająć się kompozycją. W Akademii Muzycznej, w której studia kompozytorskie rozpoczął w roku 1981, pracował pod kierunkiem Józefa Świdra, kompozytora w sumie dziwnego, jak gdyby niepewnego natury swego talentu. Na szczęście Andrzej, mimo przejścia od swego nauczyciela zamiłowania do tradycji, nie odziedziczył jego wahań. Posunął się dalej, obrawszy kierunek zdecydowanie zachowawczy, romantyczny w pełnym tego słowa znaczeniu, ze wszystkimi owego posunięcia dodatnimi i ujemnymi skutkami. Studia ukończył w 1986, potem, w latach 1990–1992 uzupełniał je w Wiedniu u Francisca Burta, od którego, jak mówi, przejął metody systemicznej organizacji materiału dźwiękowego. Obecnie uczy w Akademii Muzycznej w Gdańsku.

Z biegiem czasu Andrzej, z którym zawsze lubiłem spierać się, bo człek to i mądry, i obdarzony poczuciem humoru, o silnej, dyskretnie cynicznej, ale bardzo ciepłej osobowości, zdołał ładnie wyszlifować swój ultraromantyczny idiom. Czar tej muzyki nie wypływa z jej warsztatowej odrębności czy indywidualnego stylu – to we współczesnym, nieposkromionym Romantyzmie raczej rzadkie (wystarczy posłuchać najnowszych dzieł byłego awangardysty Magnusa Lindberga); jej siła polega natomiast na wręcz intuicyjnym utożsamianiu się słuchaczek i słuchaczy z wielkim romantycznym gestem, patosem ekspresji oraz wylewnej liryki, które znają z dzieł Wagnera i Straussa, Mahlera, Karłowicza. Dzisiejszy Romantyzm, któ-

ry chce być współczesną inkarnacją (jeśli nie kopią!) dziewiętnastowiecznego stylu, opiera się na zonglowaniu archetypami, tak w sferze melodyki, harmoniki (często wychodzącej poza kanon romantyczny), jak i narracji i formy. To jest typowa muzyka o muzyce, ale w moim przekonaniu nie znaczy to, iż jest to muzyka „gorsza” – ustaliliśmy już bowiem, że w naszych czasach dla każdego znajdziemy coś miłego, a przy tym, powtórzmy, wszystko wolno.

Andrzej lubuje się w wielkich formach instrumentalnych; tu wymieńmy udany *Koncert skrzypcowy* z lat 1992–1993; przejmujące *Stabat Mater na sopran i orkiestrę smyczkową* z 1997; I Symfonię z lat 1996–1997, utwór obowiązkowy podczas VI Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Fitelberga (1999); monumentalną II Symfonię „*Te Deum*” na chór i orkiestrę z roku 2000; a także trzyzęściowy, wirtuozowski *Koncert fortepianowy* z lat 2006–2007 – dzieło nietuzinkowe, a przy tym repertuarowo atrakcyjne, w którym liryka przeplata się z dramatem, może nie na zasadach tematycznych, lecz raczej swoistych emocjonalnych płaszczyzn, co np. słyszymy w muzyce Antona Brucknera.

Sporo osiągnął w gatunkach takich jak muzyka chóralna (*Et Misericordia na chór mieszany* z 1989; *Salve Regina na chór mieszany i kotły*, również z 1989; *Haec dies na chór mieszany* z 1993) oraz kameralnej, od znakomitego *Appassionato na zespół kameralny* z 1984, muzyki fakturalnie bogatej, narracyjnie dynamicznej, formalnie żywej, po szereg utworów na mniejsze składy, jak np. kwartety smyczkowe. Osobny rozdział stanowi muzyka fortepianowa, na której czele stoją *Dzwony* z 2004, klejnot współczesnej polskiej literatury na ten instrument.

Oto twórca wyjątkowy, z którego bezkompromisowo zachowawczą postawą łatwo się nie zgodzić, nie sposób jej jednak lekceważyć – bo dał nam tak dużo wartościowej muzyki.



Górska ekspresja w stylu country

ZBIGNIEW LUBOWSKI

W jaki sposób można dotrzeć na plenerowy koncert muzyczny? Rowerem, samochodem, pociągiem, a może na piechotę? To wszystko są metody standardowe. Nikt natomiast nie wpadł dotąd na pomysł, by skorzystać w tym celu z... wyciągu krzesełkowego. A takie właśnie niekonwencjonalne rozwiązanie zaproponowali publiczności organizatorzy XX Beskidzkiego Pikniku Country WIŚLACZEK 2019, który w sierpniu mijającego właśnie roku odbył się w Wiśle.

Dwudniowa impreza muzyczna w ostatni weekend letnich wakacji (24–25 sierpnia) przeszła prawie zupełnie niezauważona w naszym regionie, a szkoda, bo pod względem atrakcyjności programu było to z pewnością jedno z najbardziej oryginalnych przedsięwzięć artystycznych na Śląsku w całym 2019 roku. Warto do niego wrócić u schyłku roku, by retrospektywnie spojrzeć na jubileuszową edycję festiwalu organizowanego od lat w Wiśle dla miłośników country – muzyki rodem z USA, inspirowanej, odnotujmy, balladami kowbojskimi.

Tradycyjnym organizatorem festiwalu było Wiślańskie Centrum Kultury, współpracujące w tym względzie z Haliną Romaniszyn, wywodzącą się z Gliwic kreatywną animatorką różnych wydarzeń artystycznych, a zarazem pomysłodawczynią cyklicznej imprezy beskidzkiej. Program jubileuszowego WIŚLACZKA 2019 mógł przypaść do gustu nawet najbardziej wybrednym widzom i słuchaczom.

Koncert na wysokościach

Najbardziej widowiskowym elementem letniego przedsięwzięcia był bez wątpienia górski występ śląskiej grupy Whiskey River, jednego z najpopularniejszych i najdłużej działających w Polsce zespołów, grających muzykę inspirowaną nurtem country. Czteroosobowa grupa pod wodzą gitarzysty i wokalisty Antoniego Kreisa koncertowała na plenerowej estradzie ustawionej na wysokości 672 m n.p.m. obok górnej stacji wiślańskiego wyciągu krzesełkowego Skolnity.

Liczna grupa widzów przysłuchujących się ekspresyjnym utworom tanecznym z reper-

tuaru Whiskey River przyjechała tam z centrum Wisły na „czterooosobowych kanapach” (tak napisano przy kasie wyciągu). Nie zabrakło nawet spontanicznych popisów tanecznych w wykonaniu reagującej żywo publiczności. Największą bodaj furorę wśród podrygujących słuchaczy wzbudziła nieśmiertelna piosenka country *Jambalaya* – dzieło amerykańskiego wokalisty Hanka Williamsa. Refren śpiewała m.in. obsługa górnej stacji wyciągu krzesełkowego, usytuowanej tuż obok.

Westernowe miasteczko

Pozostałe pokazy i koncerty festiwalowe zorganizowano już ok. 250 m niżej, w ścisłym centrum beskidzkiego kurortu. Śródmiejska estrada na placu Hoffa była miejscem słonecznych pokazów tańców kowbojskich w wykonaniu stylowo ubranych artystów. A w zadaszonym amfiteatrze wiślańskim (noszącym, co warto przypomnieć, imię Stanisława Hadyny) gorąco oklaskiwano tancerzy z czeskiej grupy CROCK14, prezentujących barwne układy choreograficzne przy dźwiękach żywiołowych utworów w stylu country. Wystąpiły też m.in. zespoły: Music Road Pilots (Holandia) oraz Bluegrass Comeback (Czechy). Ich koncerty wzbudzały momentami ogromny aplauz publiczności. Strzelano w powietrze z kapiszonów...

W rolę festiwalowego konferansjera wcielił się z dużym wdziękiem Tomasz Szwed, znany piosenkarz country. Amfiteatralna widownia na ok. 2 tysiące miejsc nie świeciła ani przez chwilę pustkami. Do Wisły zjechali pod koniec wakacji miłośnicy country z odległych miejscowości regionu i kraju. Wyróżniały ich charakterystyczne ubiory z nieodzownymi kapeluszami i rewolwerami w kaburach. Wisła w okresie ostatniego weekendu sierpniowego przeobraziła się po prostu w westernowe miasteczko rodem z Dzikiego Zachodu. – To już prawdziwa konkurencja dla sławnego pikniku country w Mrągowie – podkreślali z satysfakcją gospodarze beskidzkiej imprezy. ■

fot. Zbigniew Lubowski



Gwiazdy spod znaku Alligatora

ZBIGNIEW LUBOWSKI



fot. Zbigniew Lubowski

Blues miał syna i nazwano go rock'n'rollem – pamiętne słowa Muddy'ego Watersa, wybitnego bluesmana amerykańskiego, przeszły do historii. Przywołał je w Katowicach znany dziennikarz radiowy Jan Chojnacki, gospodarz i konferansjer tegorocznego festiwalu RAWA BLUES, zapowiadając niezwykle występ utalentowanej gitarzystki i wokalistki z USA. 21-letnia Hannah Wicklund z Karoliny Południowej została przez niego zaliczona do artystycznego grona wnuczek i wnuków korzenego bluesa.

W tej zapowiedzi nie było ani cienia przesady. Amerykańska artystka prezentuje muzykę, stanowiącą frapującą kompilację blues-rocka i hard rocka. Sięga po najlepsze gitarowe wzorce od Jimiego Hendrixa do Jeffa Becka, pozostając jednak cały czas w kręgu bluesowej tradycji. Pod względem wokalnym nasuwa zaś skojarzenia z niezapomnianą Janis Joplin.

Występ młodziutkiej artystki z towarzyszeniem zespołu The Steppin' Stones rozgrzał do czerwoności 4-tysięczną rzeszę fanów bluesa, zgromadzonych 12 października w katowickim Spodku. Warto pod koniec roku przypomnieć tę jesienną eksplozję bluesa, bo *największy na świecie festiwal bluesowy pod dachem* (jak głosi oficjalny anons całego przedsięwzięcia) jest z pewnością muzycznym wyróżnikiem Katowic na kulturalnej mapie kraju.

Muzyczna symbioza

39. edycja tej popularnej imprezy, organizowanej od samego początku przez śląskiego bluesmana **Ireneusza Dudka**, została bezspornie zdominowana przez dwie znakomite instrumentalistki z USA. Drugą z nich była Lindsay Beaver, pochodząca z Kanady, ale mieszkająca w Teksasie perkusistka i wokalistka, wykonująca utwory rock'n'rollowe i bluesowe, pozostające wszakże w zadziwiającej symbiozie gatunkowej.

Przełomowym wydarzeniem w jej życiu było odkrycie twórczości Jimiego Hendrixa (1942–1970), uważanego powszechnie za najwybitniejszego i najbardziej wpływowego gitarzystę rockowego w dziejach. Stało się to, gdy miała 14 lat. Nauczyła się wówczas grać na gitarze, dochodząc w tej dziedzinie do niezłych rezultatów. Na szeroką scenę wprowadził ją zaś Bruce Iglauer, szef legendarnej wytwórni bluesowej Alligator.

Koncert Lindsay Beaver z towarzyszącymi jej muzykami z USA był jednym z najbardziej emocjonujących fragmentów **9-godzinnego festiwalu**. Niektóre z prezentowanych kompozycji miały szczególnie energetyczny charakter, pobudzając do tańca publiczność zgromadzoną na płycie Spodka.

W bluesowej uczcie nad Rawą wzięli także udział m.in. kalifornijski gitarzysta i wokalista – Daniel Castro oraz pianista i wokalista – Victor Wainwright (ze stanu Georgia) wraz z formacją The Train.

– „Zaprosiłem tym razem sześcioro wykonawców ze Stanów Zjednoczonych, różniących się mocno między sobą pod względem muzycznego repertuaru. Staralem się nie ograniczać do wąskiego bluesowego spektrum, lecz również sięgać do pokrewnych gatunków muzyki – gospel i rock'n'rolla” – mówił do dziennikarzy Ireneusz Dudek. Taki artystyczny mariaż wyszedł z pewnością na dobre festiwalowi.

Dość jeszcze warto, że muzycy chętnie spotykali się z publicznością w wydzielonej specjalnie strefie na antresoli Spodka. Rozdawali tam autografy i pozowali do pamiątkowych zdjęć. Chętni mogli zarazem kupić płyty CD i tradycyjne festiwalowe koszulki. Uczestnicy imprezy zastanawiali się, jak przebiegnie jej przyszłoroczna jubileuszowa edycja. W 2020 roku **RAWA BLUES** będzie przecież obchodzić swoje czterdzieste urodziny. Dudek nie ukrywa, że można oczekiwać nadzwyczajnych niespodzianek artystycznych...

Dla młodych – za darmo

W tym gronie było sporo młodzieży, a nawet i dzieci, bo z inicjatywy Ireneusza Dudka wprowadzono zasadę, że widzowie do lat 15, w towarzystwie rodziców, mają wolny wstęp na imprezę. – *Uważam, że należy ułatwiać młodziemu odkrywanie bluesa* – wyjaśnił Dudek podczas festiwalowej konferencji prasowej. ■

fot. Zbigniew Lubowski



Hannah Wicklund



Lindsay Beaver

fot. Zbigniew Lubowski

Synteza literacka Anny Nasiłowskiej

Siłaczką w pustyni i puszczy tekstów

JERZY PASZEK

Gdy Fryderyk Nietzsche w latach 1883–1891 pisał i wydawał *Tako rzecze Zaratustra. Książkę dla wszystkich i dla nikogo* (najlepszy polski przekład opublikował Waław Berent w roku 1905), to chyba nie przewidywał faktu, iż powstanie legion naśladowców i zmyślnych współzawodników w wyścigu do sławy, kreujących równie pokrętnie kropnięte i bogato wystylizowane „książki dla wszystkich i dla nikogo”. Anna Nasiłowska, poetka, powieściopisarka i autorka tomów historycznoliterackich (*Trzydziestolecie 1914–1944, Literatura okresu przejściowego 1975–1996*), obdarzyła nas dość opasłą jednotomową *Historią literatury polskiej* (Warszawa 2019, s. 680), zaadresowaną „do czytelnika, który niewiele o niej [polskiej literaturze] wie”, czyli do laika, ale jednocześnie pasjonata, oczekującego na „potrzebę przewartościowania jej [literatury] obrazu” (s. 9, 12). Najlepiej, żeby ten laik znał łącznie, francuski, angielski, a także niemiecki, bo i w takich językach można czytać „zalecaną bibliografię” (s. 657–661)! Wszelka bibliografia jest pozornie rzeczą „obojętną moralnie” i obiektywną, ale w tym szczególnym (nad)użyciu staje się wspaniałą pochwałą niektórych pracowników Instytutu Badań Literackich (najbardziej zalecana w tym rankingu jest Maria Janion), a także anihilacji „iblotów” (wcale nie) niższych lotów: pominięto m.in. Alinę Kowalczykową, Zofię Stefanowską, Alinę Brodzką, Włodzimierza Boleckiego, Mieczysława Klimowicza, Janusza Sławińskiego bądź Zdzisława Łapińskiego. Do tej drażliwej kwestii jeszcze powrócę.

Księga ma poważne wymiary i ponętne gabaryty, ale malkontent może ponarzekać sobie (a Muzom), że zamiast 36-krotnego wymalowania jednokolorowych, zielonkawych apli, można było te ponad dwa arkusze ozdobić podobiznami autorów i okładek ich libelli. Lacy by chyba skorzystali, bo obraz wnosi sporo informacji; dla pasjonatów natomiast pożyteczne byłoby wskazanie w tych wygoształdowanych miejscach przekładów polskich poezji, dramatów i powieści na języki obce (ongi w Pała-

cu w Rybnej słuchałem w napięciu, jak Jerzy Snopek przez 20 minut opowiadał o poszukiwaniu węgierskiego tłumaczenia *Nie-Boskiej Komedi*), a także wybitnych spolszczeń cudzoziemskich arcydzieł.

Warto zobaczyć, jak na tle innych jednotomowych historii literatury polskiej wygląda przedstawiana tu przeze mnie książka. Oto istnieją z okresu po II wojnie światowej co najmniej trzy dzieła konkurencyjne: Juliana Krzyżanowskiego *Dzieje literatury polskiej. Od początków do czasów najnowszych* (Warszawa 1969, s. 680, czyli tyleż, co u Nasiłowskiej!), Czesława Miłosza *Historia literatury polskiej do roku 1939* (przeł. z języka angielskiego Maria Tarnowska, Kraków 1993, s. 526; nb. w 2010 wyszedł poszerzony przekład, do którego dodano okres 1940–1966), wieloautorski *Słownik literatury polskiej* (pod red. Marka Piechoty i in., Katowice 2006, s. 972). Jako o konkurencji dla tomu pani prof. IBL-u – nie wspominam się o nich w książce z 2019 roku (jedynie na s. 540 jest wzmianka o akademickich pracach Miłosza, m.in. o *Historii literatury polskiej*, wydanej w USA po angielsku w roku 1969, czyli bez informacji o istniejących tłumaczeniach Tarnowskiej).

Katowicki *Słownik* przynosi największej wyjaśnień dotyczących literatury aż po rok 2006! Charakterystyczne są dwustronicowe hasła o powieściach ostatniej noblistki („*Dom dzienny, dom nocny*” *Olgi Tokarczuk*; *Proza kobiet: Manuela Gretkowska, Olga Tokarczuk*), o której Nasiłowska – po 13 kolejnych latach – wydusiła z siebie tylko trzy zdania (s. 115 i 651). A feministka powinna czulej przyłożyć się do zalotnego scharakteryzowania innej feministki! Jeśli chodzi o przewartościowanie obrazu literatury polskiej, to okazuje się, iż w całym średniowieczu nie znalazło się ani jedno arcydzieło: „Epoka ta nie pozostawiła arcydzieła” (s. 39: o czym piszą, w takim razie, Ewa Ostrowska i Aleksander Wilkoń, nie wspominając nawet 906-stronicowego tomiszczka Teresy Michałowskiej, syntezy zalecaniej laikom w bibliografii!).

Inny przykład: z badanej przeze mnie epoki Młodej Polski. Nasiłowska stara



fol. arch.

się podkreślać walory pisarstwa Stefana Żeromskiego (s. 349–353, 409–413), a o dorobku Waława Berenta wspomina w 8 zdaniach, zapominając zupełnie o jego nowatorskiej „opowieści biograficznej” pt. *Nurt* (nie mówiąc też o znakomitych przekładach m.in. *Baryłeczki Maupassanta czy tomu Tako rzecze Zaratustra*). Moim zdaniem, europejskość polskiej literatury (gdy już podejmuje się ten temat) ujawnia się w tłumaczeniach dzieł naszych autorów na języki obce (tu Berenta kilka przekładów *Próchna*: 3 na język rosyjski, a oprócz tego po jednym na niemiecki, czeski czy jidysz; *Ozimina* na język niemiecki wspaniale przełożył Olaf Kühl, zaś *Żywe kamienie* na francuski Paul Cazin); jednocześnie ważne bywają dopływy arcydzieł cudzoziemskich do polszczyzny (aby wspomnieć wybitną rolę rodziny Kochanowskich w tym dziele czy Krasickiego, Mickiewicza,łowackiego, Siemińskiego aż po Boya, Barańczaka, Słomczyńskiego lub Kubiaka). O tej roli Cazina nie mówi nasza autorka, nie wspomina nawet o Karlu Dedicusie i jego szkole niemieckich przekładowców, do której zalicza się m.in. wspomniany translator *Ozimyiny*.

Przewartościowanie wszystkich pisarzy polskich jest zapewne zadaniem ambitnym, ale z wielu powodów zajęciem nieskutecznym lub nietrafnym: cóż z tego, iż monografistka dorobku poetyckiego Stanisława Trembeckiego (rozprawa doktorska wydana w Ossolineum w 1990 roku) poświęci ulubionemu poecie aż 7 stronic, gdy w ich obrębie nie znajdzie się nawet wzmianka o Berencie, który w *Nurcie* barwnie przedstawił naszych klasyków czy – jak złośliwie ich przezywano – pseudoklasyków? Promotor jej dysertacji doktorskiej, Ryszard Przybylski, w syntezie *Klasycyzm, czyli prawdziwy koniec Królestwa Polskiego* (Warszawa 1983; Gdańsk 1996), a także we wspólnie z Aliną Witkowską napisanej mo-

nografii *Romantyzmu* (Warszawa 1997, s. 187) wspomina o Berencie jako miłośniku polskich klasyków, a *Nurt* pochwała jako serię „oślniewających »opowieści biograficznych«”! Nawet Krzyżanowski w swych *Dziejach literatury polskiej* (Warszawa 1970, s. 537) łączy trudny styl Berenta z językiem Trembeckiego! Witkowska natomiast ciekawy dorobek Dominika Magnuszewskiego porównuje z dykcją Berenta i „podobnymi eksperymentami, [jakie] zastosował wcześniej Krasiński w **powieści** *Agaj-Han*” (*Romantyzm*, op. cit., s. 510; podkr. J.P.). Nasiłowska nie pamięta jednak o rozprawie Janion „*Agaj-Han*” jako **romantyczna powieść historyczna** z tomu tejże *Romantyzm. Studia o ideach i stylu* (Warszawa 1969, podkr. J.P.; nb. o tym artykule piszę w eseju *O stylu „Agaj-Hana”*. *Polemika z Marią Janion* w tomie zb.: *Krasiński. Żywioły kultury, żywioły natury*, red. Małgorzata Burzka-Janik i Jarosław Ławski, Białystok – Opole 2019), ani o analizach Witkowskiej, gdy obwieszcza: „W romantyzmie polskim pojawiła się w **dra**macie *Agaj-Han* Krasińskiego [...] Maryna Mniszech, żona Dymitra Samozwańca” (s. 232; podkr. J.P.; nb. na s. 245 czytamy: „wspomniana wcześniej powieść *Agaj-Han* o Marynie Mniszech”).

Zapewne, poświęcenie wielu stronic omawianej syntezy Sienkiewiczowi (np. 299–311), stanowi ułkon w kierunku laików, którzy lubią kilkakrotnie odczytywać popularną *Trylogię* czy *Rodzinę Połanieckich* (mniej chętnie i z oporami sięgają natomiast po *Krzyżaków*, ze względu na stosowaną w nich archaizującą stylizację). Jest to pewnie protest przeciwko tezom Grażyny Borkowskiej, która w swoim przewartościowaniu *Pozytywistów i innych* (Warszawa 1999, seria: „Mała Historia Literatury Polskiej”) umieściła autora powieści *W pustyni i w puszczy* wśród pisarzy dla dzieci! Ale czy zawsze należy jednych wychwalać kosztem innych, jednych marginalizować, a innych stawiać w świetle jupiterów?

Czytelnicy nie chcą czytać książek Żeromskiego (zob. mój tekst na ten temat: *Chiasm Żeromskiego: od niepoprzedzanej popularności do niepopularnej niepoprzedzoności* w tomie zb.: *Stefan Żeromski. Kim był? Kim jest?*, red. Zdzisław Jerzy Adamczyk, Kielce 2015; tamże wypowiedź Borkowskiej: *Żeromski – nasz bliźni? Co myślimy o Żeromskim? Jak go postrzegamy? Czy jest nam jeszcze potrzebny?*), czy więc Nasiłowska powinna twórcę *Silaczki* stawiać na równi z wiecznie popularnym kreatorem *Quo vadis?* Moim zdaniem, gdy zaleca się tu trudne utwory Gombrowicza (uczniowie nie przypadkiem nie przepadają za lekturą *Ferdynandus*) czy Schulza, poezje Leśmiana i Miłosza (nie wspominając o Szymborskiej, wymagającej od czytelnika dużej wiedzy o strukturze intelektualnej współczesnego dyskursu filozoficznego lub psychologicznego, a także

jeszcze większych zasobów w dziedzinie tak pełnej zasadzek i niedomowień, jaką jest wybitne i niestandardowe poczucie humoru), to mała zachęta do poznania średniowiecznych klimatów w *Żywych kamieniach*, dekadencckich nastrojów bohemy w *Próchnie*, obrazu Warszawy z początku XX wieku w *Oziminie*, prób odradzania się narodu polskiego po rozbiorach w „opowieściach biograficznych” Berenta nie byłaby „misją niemożliwych niemożliwości niemożliwego”, by sparafrazować tytuł hitu filmowego i zarazem powiedzonka Stefana Dedalusa z *Ulisses*.

Jeżeli Juliusz Wiktor Gomulicki ośmielał się wskazywać błędy samemu Julianowi Krzyżanowskiemu (zob. *Nowy sen Epimenedesa*, „Nowe Książki” 1970, nr 2; przedruk w *Zygzakiem. Szkice – wspomnienia – przekłady*, Warszawa 1981, s. 529–542), to i ja pokuszę się o kilka sprostowań, wskazując wątpliwości, jakie nasuwa mi lektura syntezy Nasiłowskiej. Czy istotnie „*Raki* to inaczej palindrom” (s. 91)? Otóż jest pewne podobieństwo w budowie obu tych pełnych humoru i przemysłowości ludzkiej gadek i zagadek, ale dziś – po erze koślawych palindromaderów Barańczaka i zalewie tomików Tadeusza Morawskiego z wszelakimi (tematycznie i gabarytowo!) palindromami – nie tak łatwo jest wrzucać te raki i dromadery do jednego worka! Palindrom musi być (litera po literze!) odczytywalny wprost i wspak: SATYRA RARYTAS; A TY DUREN ERUDYTA, natomiast *Raki* Kochanowskiego czy Morsztyna mają tylko wersy, w których poszczególne wyrazy można odczytywać i wte, i wewte: „Folgujmy paniom nie sobie, ma rada” – „Rada ma: sobie, nie paniom, folgujmy”!

Myślę też, że linijkę Mikołaja Reja: „iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają” (s. 46) należy omówić tak, by wskazać, że słowo „gesi” jest dwuznacznikiem, gdyż raz odczytuje się ten wyraz jako rzeczownik w liczbie mnogiej, a kiedy indziej jako epitet (język gęsi to m.in. futurystyczne „gga, gga!”). Dla pasjonatów: linijka Reja pochodzi z zakończenia *Figlików* (utwór: *Do tego, co czytał*, w. 12), które są częścią sarmackiej sylwy pt. *Zwierciadło* z roku 1562; w nowszym, komentowanym wydaniu *Figlików* (Warszawa 1970, wstęp Juliana Krzyżanowskiego, oprac. Marii Bokszczanin, s. 221) podano objaśnienie do słów „gesi [...] język”: „język nieliteracki, nieuczony [...] (słowo »gesi« jest tu przymiotnikiem, a nie – jak się zazwyczaj mylnie sądzi – rzeczownikiem)”.

Błądzi też Nasiłowska, pisząc o wychowankach „nowego typu szkół, którzy *Hymn do miłości ojczyzny* Krasiciego śpiewali jako swoje *credo*, nie przyjmując do wiadomości, że to żart” (s. 149). Otóż utwór ten był opublikowany w „Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych” w roku 1774, a jego parodia w *Monachomachii* (zaczynająca się

wersem „Wdzięczna miłości kochanej szklenice!”) pochodzi z roku 1778, i to ta parafraza była żartem! Dokładnie opisała ów fakt Bożena Mazurkova w katowickim *Słowniku* pod hasłem „Święta miłości kochanej ojczyzny...” (*Słownik...*, s. 306).

Skandalem polonistycznym jest cytowanie początku *Epilogu Pana Tadeusza* następującymi słowy: „O czym że dumać na paryskim bruku” (s. 211), gdy tak pasjonaci, jak i laicy wiedzą, iż incipit ten brzmi: „O tem że dumać...” (oprac. Stanisława Pigionia w serii „Biblioteka Narodowa” Ossolineum) lub „O tym-że dumać...” (oprac. Zbigniewa Jerzego Nowaka w Wydaniu Rocznicy 1798–1998 *Dzieł Adama Mickiewicza*). Czyli reklamując edycje Ossolineum, sama badaczka opiera się na jakichś dziwnych, staroświeckich publikacjach! Na tym tle pomyłka w imieniu bohatera wiersza Leśmiana (s. 348: Srebroń zamiast Srebron) jest istnym drobniactwem!

Obiecywałem, że powrócę do „Zalecanej bibliografii”. Pisałem już, iż Janion okupuje pierwsze miejsce z 11 tomami (w tych zaś dwa razy współautorką była Maria Żmigrodzka). Na drugim miejscu usadowił się Jan Błoński – 6 tytułów; po 5 tomów mają tu Alina Witkowska i Kazimierz Wyka, a także – zupełnie niespodziewanie – Tadeusz Drewnowski. Wszyscy oni byli, oczywiście, pracownikami Instytutu Badań Literackich. Inne ośrodki polonistyczne zupełnie się tutaj nie liczą: Kleinera, Pigionia, Zgorzelskiego, Ziomka, Skwarczyńskiej, Hutnikiewiczza, Markiewiczza, Opackiego, Bachorza nie było. Ba, nie ma też tekstologów, czyli wydawców „Biblioteki Pisarzy Polskich” i „Biblioteki Narodowej”, np. Konrada Górskiego, Romana Pollaka, Marii Renaty Maynowej (z IBL!), Zbigniewa Golińskiego (z IBL!), Tadeusza Kłaka, Zdzisława Jerzego Adamczyka (oprac. 6 tomów korespondencji Żeromskiego „nic to!”). I stąd potem takie „wypadki przy pracy” (cytowanie byle jakich edycji!), jakie powyżej – przykładowo! – wyliczyłem. A czy ten enumeracyjny „rekord” Marii Janion można przeciwstawiać „zasługom” młodej badaczki, słynącej z tropienia „reakcyjnej” profesury? Zdzisław Najder w swoich wspomnieniach (Jan Pawelec, Paweł Szeliga: *Nadgonić czas... Wywiad rzeka ze Zdzisławem Najderem*, Warszawa 2014, s. 91) przypomina, iż „Niszczy ludzi to potrafili Janionówna, Żmigrodzka, Zimand czy Woroszyński, oni potrafili wtedy [okres stalinowski] niszczyć ludzi, **potem to odrobili**” (podkr. J.P.). Ale czy jakiegokolwiek „odrabianie” tragicznych zaszłości należy nagradzać pierwszą lokatą wśród cytowanych i zalecanych do lektury uczonych polonistów? ■

Fenomen Lou Andreas-Salomé

KSIĄŻKI

GRAŻYNA BARBARA SZEWCZYK

Zróznicowana gatunkowo twórczość niemieckiej pisarki i publicystki przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, Lou Andreas-Salomé (1861–1937), jest w Polsce prawie nieznaną. Jej najważniejsze utwory literackie, a także studia krytyczne, dokumentujące poglądy i inspiracje, które czerpała z pism Friedricha Nietzschego, Sigmunda Freuda i z poezji Rainera Marii Rilkego, nie doczekały się przekładów na język polski. Mimo iż w prywatnych biografach każdego z nich Lou pozostawiła niezatarte ślady, a o związkach, jakie łączyły ją ze sławnymi mężczyznami czasu świadczy nie tylko obfita korespondencja, ale i eseistyka, tylko niewielka grupa badaczy doceniła po śmierci jej wiedzę, intelekt i pisarski talent. Chętnie natomiast cytowano wypowiedzi prasowe, utrwalając w świadomości czytelników stereotypowy obraz „przyjaciółki Rilkego i Nietzschego”, pełen pikantnych szczegółów z jej osobistego życia. Po drugiej wojnie światowej pierwsze obszerne i solidnie udokumentowane opracowanie życia i twórczości Lou wyszło spod pióra amerykańskiego uczonego H.F. Petersa w 1962 roku. Jednak przełomem w spojrzeniu na całość stała się jej dokonań, podkreślających rolę, jaką pisarka pełniła na niemieckiej scenie artystycznej, była wydana dwukrotnie (1951, 1968) biografia literacka Ernsta Pfeiffera z Getyngi. Pfeiffer, który poznał Lou osobiście i opisał w oparciu o zachowane listy historię jej związku

z Nietzschem i jej współpracę z Freudem. Ale dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku zaczęto wznawiać jej utwory w Niemczech, przyczyniając się do poznania jej prozy oraz wypowiedzi na temat sztuki, artysty i kwestii kobiecej.

W Polsce przypomnieli jej postać i działalność literacką pisarz i publicysta Wilhelm Szewczyk. Opublikowana w 1980 roku książka pt. *Marnotrawstwo serca, czyli Lou Andreas-Salomé* była próbą rzetelnej, sięgającej do materiałów źródłowych rekonstrukcji powikłanych losów tej niezwykłej, samodzielnej w myśleniu i sposobie życia kobiety i niepokornej intelektualistki. Szewczyk przedstawił historię jej życia na tle zjawisk społecznych i debat artystycznych przełomu wieków w Niemczech i „rozprawiając się” z legendą zbudowaną na nieprawdziwych przekazach, dowiódł słuszności zdania Pfeiffera, że Lou była „jedną z najbardziej utalentowanych istot swego pokolenia i epoki”.

Najnowsza polska publikacja o Lou, pióra śląskiej germanistki i literaturoznawczynie Grażyny Krupińskiej poszerza pole dotychczasowych rozpoznań o nowe, mniej znane aspekty krytyczno-eseistycznej twórczości pisarki. Przedmiotem studiów analitycznych badaczki są poglądy estetyczne Lou i jej strategia krytyczna artykułowana w pismach krytycznoliterackich i w esejach powstałych w latach 1890–1931. Porządkując wielość kategorii i wątków myślowych, Krupińska stara się odpowiedzieć na pytania czym dla Andreas-Salomé było dzieło sztuki, jak pisarka rozumiała proces twórczy i czy jej model krytyki nosił znamiona inwencyjności i spójności. Punktem odniesienia dla refleksji teoretycznej jest zaproponowane przez współczesną badaczkę Marię Gołaszewską pojęcie „sytuacji estetycznej”, nawiązujące m.in. do siatki pojęciowej Romana Ingardena. Konsekwencją przyjętej metody było przedstawienie estetycznych poglądów Lou w wielu różnych kontekstach, np. w kontekście nietzscheańskiej filozofii i stylistyki, freudowskiej psychoanalizy czy dyskursów religioznawczych w przestrzeni kulturowej końca XIX i XX wieku.

I tak np. dowodzi, że Lou Andreas-Salomé, poszukując formuły wyrażającej jej pogląd na życie i sztukę, przywołuje nietzscheańską filozofię życia i poddaje ją własnej interpretacji. Poglądy te, pisze, znalazły rozwinięcie w kilku artykułach i przyczynkach pisarki, opublikowanych drukiem w 1894 roku i poświęconych dziełu filo-



zofa i jego koncepcjom estetycznym. Lou, odnosząc się do pojęć Nietzschowskiej filozofii, mimo że bardziej niż jego filozofia interesował ją Nietzsche jako człowiek, była świadoma ich niestabilności, uważając, że autor *Zaratustry* „wychwalał wartość ułudy, nielogiczności i nieprawdy”, a jego ideał nadczłowieka był tylko „ogładanym obrazem”. Uwagę badaczki zajmują głównie rozważania Lou na temat powiązań etyki i estetyki w dziele filozofa, jego rozdwojonej natury, bliskości sztuki, choroby i szaleństwa, oraz znaczenia „religijnego afektu dla aktu twórczego”. Niewiele miejsca zajmuje w nich język intelektualnego dyskursu i styl wypowiedzi, który pozwoliłby dzisiaj rozstrzygnąć, czy studia pisarki o Nietzschem zawierają elementy odkrywczoci i przemyślanej krytyki czy też powielają określone wzorce myślenia, utrudniając zrozumienie duchowego rozwoju filozofa, jego „wzlotów i upadków”.

Kolejne rozdziały zaznajamiają z pracami krytycznoliterackimi, recenzjami i esejami Lou. Podejmując wysiłek uporządkowania obszernego w tym zakresie dorobku, badaczka wydobywa z zapomnienia artykuły pisarki o literaturze niemieckojęzycznej przełomu XIX i XX wieku, w tym prace o poezji i R.M. Rilkego, dramaturgii niemieckich i skandynawskich dramatopisarzy Gerharta Hauptmanna, Franka Wedekinda, Strindberga i Ibsena, i o prozie rosyjskich autorów Tolstoja i Dostojewskiego. W tekstach tych, zauważa, Lou odnosi się do współczesnych prądów w literaturze i sztuce, do *estetycznego pluralizmu* i do pojęcia *nowoczesności*, odsłaniając przed czytelnikiem bogactwo inspiracji intelektualnych, skłonność do polemiki i dygresyjności. Prace te powstające na marginesie psychologicznych i filozoficznych studiów pisarki ujawniają ponadto główne cechy stylu jej pisarstwa: konsekwencję mimo zmienności punktów widzenia, trwałość przekonań i fascynację nowoczesnymi ideami cza-

phot. arch.



Lou Andreas-Salomé, 1877

su. Nie można nie zauważyć, że u początków przekonań Lou o miejscu i roli krytyka w zmieniającym się świecie wartości, stał autorytet Nietzschego, którego pisma i ich stylistyka oddziaływały na proces jej intelektualnego dojrzewania. Nic dziwnego, że dzisiejsza lektura jej recenzji i szkiców budzi wrażenie niezwykle żywotności; lojalność wobec tradycji miesza się w nich z prekursorstwem, z pasją przyswajania tego, co nowe. Lou porusza poza tym kluczowe w ówczesnych debatach idee i zagadnienia, np. podobieństwa między artystą i dzieckiem, powinowactwa między religią i sztuką, pojęcie przeżywania w znaczeniu afirmacji życia czy religijnego uniesienia. Przypominając ciekawy tekst Lou o sztuce aktorskiej i o Eleonorze Duse, badaczka wyjaśnia, jakimi argumentami posługuje się krytyczka, pisząc o przenikaniu się sztuki i życia, i jak należy dzisiaj rozumieć poglądy pisarki, oscylujące wokół „tajemnic” twórczego aktu i rodzajów estetycznego przeżywania sztuki.

Nową, nieprzebadaną dotychczas przez znawców twórczości Lou Andreas-Salomé perspektywę odczytywania jej pism krytycznych odnajdujemy także w rozdziałach zaznajamiających z jej koncepcją płci i spojrzeniem na problematykę kobiecości i męskości. Kwestie tę autorka monografii rozważa w kontekście dyskursu płci na przełomie XIX i XX wieku oraz w odniesieniu do freudowskiego modelu postrzegania postaci artysty i sztuki. Zauważa przy tym, że poglądy pisarki były raczej niespójne, i że Lou podążała często własnymi ścieżkami, nie kryjąc niechęci do jednoznacznego precyzowania własnego stanowiska i do wartościowania toczących się debat. Lou – podkreśla badaczka – nie podważała wprawdzie tradycyjnych obrazów kobiecości, pisząc, że kobieta, „matka wszelkiego życia” realizowała się „poprzez macierzyństwo”; z drugiej strony twierdziła, że aby mogła się samorealizować, potrzebowała przede wszystkim wolności. Natomiast w pismach, w których sięgała do freudowskiej teorii psychoanalizy, poruszała intrygujący dla krytyki nowego stulecia problem androgoniczności artysty, który jej zdaniem odnosił się jedynie do zachowań mężczyzn.

Jako jedna z najbardziej uzdolnionych uczennic S. Freuda – w 1914 otwiera w Getyndze gabinet psychoanalityczny, a od 1919 roku do śmierci pozostaje z Freudem w stałym kontakcie listowym – publikowała swoje poglądy na temat psychoanalizy, artysty i sztuki w prowadzonym podczas studiów u Freuda dzienniku. Wtedy też znalazła rozwinięcie jej koncepcja męskości, kobiecości i artysty, tematy, które wcześniej pojawiały się w listach pisarki do R.M. Rilkego, w studiach o twórczości Nietzschego, a także w esejach i artykułach o literaturze kobiet. Krupińska, omawiając te kwestie, przywołuje próbę naszkicowania przez Lou psychologicznego portretu szwedzkiego dramaturgisa Augusta Strindberga, którego



Lou Andreas-Salomé, 1877

ambiwalentny stosunek do kobiet, manię prześladowczą i paranoidalne zachowania tłumaczy językiem psychoanalizy i w nawiązaniu do swoich wyobrażeń o męskości i kobiecości. Otwartość i odwaga, z jaką pisarka spoglądała na charaktery, psychikę i dzieła Strindberga i zaprzysiężonych z nią poety Rilkego i filozofa Nietzschego, na ich lęki, uniesienia, zwątpienia i konflikty, dowodziły – twierdzi badaczka – że z jednej strony wysoko ceniła terapeutyczne oddziaływanie psychoanalizy, z drugiej uważała, iż należy rozgraniczyć psychikę artysty i jego twórczość, która jej zdaniem często pomagała leczyć stany chorobowe i łagodzić wewnętrzne napięcia.

Rekonstruując i poddając refleksji rozważania Lou Andreas-Salomé o sztuce, artyście, obrazach męskości i kobiecości, autorka książki Grażyna Krupińska odkrywa przed czytelnikiem bogactwo idei i problemów, które znalazły odzwierciedlenie w jej eseistyce, w szkicach krytycznych o literaturze i teatrze, w dłuższych i krótszych formach publicystyki, a także w jej utworach literackich. Poglądy tej niezwykle intelektualistki przełomu stuleci, jej koncepcje sztuki, ukształtowane

częściowo pod wpływem filozofii Nietzschego, psychoanalizy Freuda i wymiany myśli z Rilke, przede wszystkim jednak jej lektur, podróży i kontaktów ze środowiskiem artystycznym Berlina, Monachium i Wiednia, pozwalają w niej dostrzec uważną obserwatorkę życia społecznego i literackiego oraz kulturalnych debat czasu, odważną publicystkę kreującą nowy obraz artysty i analizującą fenomen procesu pisania, a także, co podkreśla w zakończeniu swojej książki Krupińska, zwolenniczkę sposobu myślenia, który współcześni badacze nazywają stanem „pomiędzy”. Ta kategoria kulturowej teorii literatury pozwala zrozumieć typowy dla eseistyki Lou sposób pisania pomiędzy „naukowością a literackością”, między „tradycją a innowacją, rozumem a uczuciem”. ■

Grażyna Krupińska: *Sztuka staje się życiem, a życie sztuką... Poglądy estetyczne Lou Andreas-Salomé w przestrzeni kulturowej końca XIX i początku XX wieku.* UNIVERSITAS, Kraków 2018, 300 s.

„Dopięty w każdym szczególe” – to pierwsza myśl, która nasunęła mi się po lekturze debiutanckiego zbioru Magdy Brzezińskiej. Stało się tak nie tylko za sprawą tytułu – *Pilnowaliśmy szczegółów*, ale i konsekwentnej koncepcji poetyckiej i edytorskiej, w której wiersze harmonijnie łączą się z szatą graficzną, tworząc dopracowaną (aż po najmniejsze detale) całość.

Pochodząca z Koniecypola autorka ukończyła filologię polską na KUL-u, obecnie mieszka i pracuje w Kielcach, jest dziennikarką i redaktorką, pracującą w magazynie psychologicznym „Charaktery”. Znalazła się też w gronie finalistów Nagrody im. Barbary Łopieńskiej za najlepszy wywiad prasowy. Te informacje wydają się ważne. W wierszach zgromadzonych w zbiorze można dostrzec zarówno filologiczną wrażliwość na potencjał znaczeniowy słów, jak i psychologiczny namysł nad jednostką, jej relacjami ze sobą, innymi i światem, a także dziennikarską umiejętność dostrzegania tematów „leżących na ulicy” i skłonność do zadawania pytań.

W tomie *Pilnowaliśmy szczegółów* rzeczywiście znaczące są detale, począwszy od okładki, dedykacji, przez układ wierszy, zamieszczone obok słów fotografie, po końcowe noty – rekomendacje Anny Piwkowskiej i Ignacego Karpowicza. Uwagę przykuwa prosty płócienny wzór na okładce z wyraźnymi splotami nici i supełami, przypominający obrus, a może kuchenną ściereczkę, od razu zwracającą uwagę na materialność i codzienność: „Codziennie stwarzam świat / na cztery talerze, cztery łyżki, / jeden stół i całą galaktykę / okruchów chleba / na spranym obrusie” (*Jutrznia*).

Drobiazgi są „pilnowane”, stają się splotami myśli i supełami uwagi. To one tworzą obraz rzeczywistości, „prostota rutyny” i „codzienne żmudności” wypełniają życie. Także zdjęcia, wykonane przez Tomasza Brzezińskiego, przedstawiają detale – na przykład szczytce do prania, na których zatrzymały się krople deszczu, zardzewiałe pinezki w desce, żdźbło trawy czy spadający liść. Na fotografiach szczegóły zostały wyeksponowane, ulegają estetyzacji, wykadrowane z szerszego tła tworzą szczerze obrazy. W uważnie widzianej codzienności powstają wiersze: pomiędzy „otwarcieciem drzwi”, z zaszyczonej w sklepie rozmowy, z niespodziewanej myśli. Julia Hartwig w poetyckim portrecie Emiliy Dickinson, zamieszczonym w *Wierszach amerykańskich* napisała: „Dwie trzy zwrotki Każda z nich da się zanotować / między ubiciem omletów i wysmarowaniem patelni”. W zwykłej krzątaniu notowane są także wiersze tworzące debiutancki tom. „Pilnowanymi szczegółami” okazują się tradycyjnie przypisywane kobietom domowe czynności, emocje, a wśród nich niepokój o najbliższych. Wiersz *List* adresowany przez matkę do córki, ukazuje kobiecą sztafetę troski. Prywatność, dojrzwianie żartobliwie mierzone kolejnymi parami butów, przykładanie wagi do relacji międzyludzkich, szukanie „trzępienia uczuć” nadają tej poezji wyraźne

Waga drobiazgu i sztuka balansu

KSIAŻKI

ELŻBIETA DUTKA



kobiece piętno. Ale równocześnie w utworze tytułowym znacząca jest liczba mnoga – kobieta mówi nie tylko w swoim imieniu: „pilnowaliśmy szczegółów w ciszy”, „strześliśmy myśli”. W tomie konsekwentnie pobrzmiewa intymny ton rozmowy z najbliższą osobą, rozważań nad wspólnym życiem, dokonywania wspólnych, życiowych rozrachunków, stawiania pytań o przyszłość. Mówienie w pierwszej osobie liczby mnogiej i w pierwszej osobie liczby pojedynczej staje się refleksją nad tym, czym jest rodzina. Jesteśmy „my”, ale równocześnie jestem „ja”, są wspólne wspomnienia, ale i pamięć własna.

Tytułowe „pilnowanie szczegółów” jest zatem rodzajem uważności dla tego, co jest „tu i teraz”. Wiersze Magdy Brzezińskiej cechuje czułość dla świata, rzeczy drobnych, ulotnych chwil i zapachów. Ale uwaga rozszerza się i na przeszłość, w wierszach *Psia-ry czy Minie* zarysowane zostały obrazy z pamiętane z dzieciństwa, gdy „żyło się wolno”, gdy dni „zaczynały się jakby od końca”. Wraz z tym pojawia się współczucie z dawną sobą, ale i empatia dla innych.

Kobiece „krząctwo” nie oznacza błahości, lecz staje się formą namysłu nad przemijaniem, nad sensem tego, co jest, co się przydarza, co nieuchronne. Poetycka refleksja prowadzi od szczegółu do ogółu. Nasłuchiwanie są zatem „odgłosy spod podłogi”, ale i „ze świata”, odmierzane są lata do spłaty kredytu, ale i: „Do dni, gdy cieszy tyle, ile jest / i ze spokojem czeka się na brak. / Do chwili, w której detale / rozmywają się jak ścieżka w półmroku / i wreszcie widać to, nad czym bez słów / czuwamy – nie wiedząc / po co” (*Pilnowaliśmy szczegółów*).

Spojrzenie pod powierzchnię staje się pytaniem o afirmację siebie, losu. Czasem zgoda na szczegóły i to, co kryją w sobie jest trudna, zwłaszcza gdy celowość kolejnych doświadczeń nie do końca jest jasna. Początkiem jednego z wierszy stało się zdanie, usłyszane niespodziewanie w rozmowie telefonicznej – „jesteśmy ważni wszyscy” (*Wiadomość*), którego właściwy sens odsłania się później. W innym utworze spoj-

zenie pod nogi staje się pytaniem o sprawy najważniejsze – dostrzeżenie mrówki prowadzi do pytań o Boga: „Dziś wiem tylko tyle, że ludzie zapisują go / wielką literą i patrząc w niebo, deptają trawę, / prawa, mrówki, stawiają kropki / w miejscu znaków zapytania” (*Mrówka*).

Namysł nad tym, co najważniejsze w wierszach Magdy Brzezińskiej pojawia się w naturalny sposób, po prostu wynika z uważnego bycia w codzienności. W tomie zatem nie ma patosu czy egzaltacji, pobrzmiewa ścisły ton, egzystencjalne rozterki wyrażane są w sposób spokojny. Wezwanie do zatrzymania się w codziennym pośpiechu, do spowolnienia, docenienia tego, co jest, nie mają charakteru dydaktycznych pouczeń. W poetyckim autokomentarzu podkreślone zostało pragnienie osiągnięcia balansu: „Wolałabym nie / powiedzieć o słowo / za mało. / Ani o jedno / więcej przemilczeć” (*Balans*).

Trudna sztuka balansu wydaje się kluczowa w tomie *Pilnowaliśmy szczegółów*. W kolejnych utworach podejmowane są próby zachowania równowagi, między mówieniem za dużo (*Przemówca*), a za mało, między *sacrum* a *profanum* (*Jutrznia*, *Mrówka*), ogółem a szczegółem, skalą *mikro* i *makro*.

Zaskoczeniem było dla mnie odkrycie, że w spisie treści nie został uwzględniony utwór zamieszczony jako pierwszy *A jeśli*. Wydaje się jednak, że w tak dopracowanym w szczegółach tomie to musi być znaczące. Wiersz stanowi przedślowie – jest rodzajem wprowadzenia do kolejnych trzydziestu dwóch liryków. W tym wstępie postawione zostało pytanie o znaczenie szczegółów, zasygnalizowany dystans do siebie i świata, ale także pojawiły się wątpliwości. Inicjalny utwór *A jeśli* ukazuje poetycką strategię Magdy Brzezińskiej – stawianie znaków zapytania zamiast kropek. ■

Magda Brzezińska: *Pilnowaliśmy szczegółów*. Pewne Wydawnictwo, Kielce 2019, 48 s.

Śmietnika naszego powszedniego...

KSIĄŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

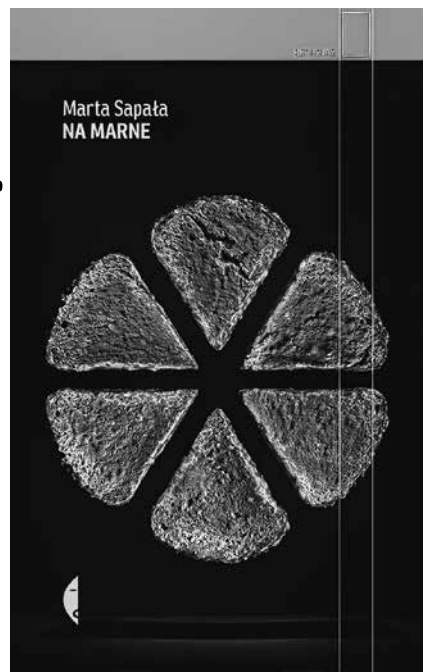
Po lekturze najnowszej książki Marty Sapały *Na marne* można odetchnąć z ulgą i przyznać, że reportaż interwencyjny ma się w Polsce całkiem nieźle (a nawet bardzo dobrze). Autorka *Mniej. Intymny portret zakupowy Polaków*, a także dziennikarka i współpracowniczka „Polityki” i „Zwierciadła”, dokonała rzeczy niemożliwej: rozważania o zjawisku marnotrawienia żywności zamknęła w formie 270 stronicowej książki, w której na uwagę zasługuje nie tylko opracowanie problemu niepojętej potrzeby posiadania jedzenia w nadmiarze, lecz również okładka projektu Agnieszki Pasierskiej. Przypomina ona rozkwitnięty w pełni kwiat lub rozpadającą się na sześć równych części kulę, którą można utożsamiać z naszą planetą. Katastrofizm tej wizji, którą bez wątpienia ewokuje okładkowe zdjęcie, wzmacnia czarne tło. Co prawda, w świecie niekończących się przemian wszystko podlega przyrodniczemu recyklingowi, lecz Sapałę interesuje szara strefa, w której pełnowartościowe jedzenie zmienia się w odpad lub resztkę. Przez jednych uznawaną za szkodliwą, dla drugich stanowiącą sens całodziennych wycieczek szlakiem osiedlowych dyskontów i ich pojemników do gromadzenia produktów przeterminowanych.

Napisać, że to świetna książka, to za mało. Czytaniu kolejnych fragmentów towarzyszy pytanie, w jakim stopniu ja sam/sama przyczyniam się do wzrostu ilości wyrzuconego pożywienia. Do tego autorka podkreśla, że aby móc fachowo określić procent zmarnowanych produktów spożywczych, trzeba podążać za nimi od momentu produkcji, aż po moment ekspozycji na sklepowej ladzie. Tylko szczegółowa obserwacja każdego z etapów produkcji może zbliżyć specjalistów do faktycznej liczby zmarnowanego pożywienia. Wystarczy wspomnieć, że samo uporczywe dotykanie niektórych owoców (*casus* bananów) powoduje przyspieszenie procesu dojrzewania i pojawianie się plam. Sklep, jako ostatni etap wędrówki pożywienia, okazuje się zatem kluczowym punktem w całym handlowym łańcuchu. To tam dochodzi do ścisłej selekcji wystawianych warzyw i owoców. Tam też stosuje się zasadę usuwania owoców, które, ze względu na brak estetyki, nie zainteresują klientów. Podobne zasady panują w skupach warzyw i owoców oraz hurtowniach. Liczą się kolor skórki, wielkość owocu/warzywa i kształt. To podstawowe kryteria, które powodują, że marnowanie żywności traci incydentalny charakter, a staje się powszechnym procederem.

Sapałę interesują niejednoznaczne defi-

nicje samego terminu „marnowanie żywności”. Dlatego reporterka postuluje nie tylko śledzenie procesu zbioru warzyw/owoców, dystrybucji, ekspozycji i samego zakupu, lecz również baczne przyglądanie się własnym nawykom konsumpcyjnym, które determinują decyzję o wyrzuceniu, utylizowaniu i marnowaniu jedzenia zdanego do spożycia. Jak sama przyznaje, aby prawidłowo określić ilość zmarnowanego jedzenia, konieczne jest ustalenie konsekwentnie przestrzeganych zasad opisu każdego grama pożywienia. Oczywiście, by zbadać zjawisko marnowania żywności, konieczne jest nie tylko odnotowywanie liczb, lecz również wskazywanie powodów marnowania (nadmiarowe gotowanie, złe szacowanie, lenistwo, chęć spożywania innych potraw, niż te, które pozostały z poprzednich posiłków). Gdy uwzględnimy się zarówno liczby, jak i motywacje, okazuje się, że marnowanie żywności jest nie tyle przerażające ze względu na skalę procederu, lecz ze względu na ponawianie procederu przez konsumentów. Po każdym posiłku zostają resztki, które nie są zepsute, a więc nadają się do spożycia, jednak ze względu na złe przechowywanie lub przekroczenie terminu przechowywania żywności, trafiają do kosza.

Sapała kreśli obraz społeczeństwa polskiego, które ze względu na różnice społeczno-kulturowe podejmuje odmienne praktyki zapobiegające marnowaniu żywności. Dla jednych najlepszym sposobem na pozbycie się resztek jest freeganizm, dla innych natomiast kuchnia *zero waste*. Zarówno dla jednych i drugich obie strategie wiążą się z ekologiczną ideologią. Można śmiało założyć, że należą oni do pokolenia, które, postulując zmiany, wierzy w sprawiedliwość ekologiczną. Ich działania na rzecz ochrony środowiska mają charakter pracy u podstaw. Przygotowywanie posiłków z resztek (obierek, pestek, skórek) jest więc manifestacją określonego światopoglądu, lecz, jak podkreślają przeciwnicy (zazwyczaj należący do starszych pokoleń), kuchnia *zero waste* często wiąże się z pracochłonnością. Najlepszym rozwiązaniem problemu jest więc, według przedstawicieli starszych roczników (często zamieszkujących małe miejscowości), dokarmianie zwierząt zlewkami. Agnieszka Budzyńska mówi: „Mam sześć dorosłych kóz, pięć kózłat, kury, gąski, perliczki, trzy kocięta i psa. Nie ma szansy, żeby coś się zmarnowało” (s. 171). Inną, nie mniej efektywną strategią, jest zakładanie kompostownika. To według rozmówczyń Sapały długotrwała inwestycja w jakość nowych plonów. Mieszkań-



cy wsi są więc tradycjonalistami, a status jedzenia mogą mieć tylko posiłki przygotowane z pełnowartościowych produktów (a nie z odpadów i resztek). Równie ważne w procesie minimalizowania strat jest efektywne zarządzanie domowymi finansami i unikanie pokus kupowania produktów spożywczych na zapas (czemu z przyjemnością oddają się mieszkańcy metropolii i mniejszych miast): „Powinno się kupować tyle, ile się uniesie, wtedy można myśleć: czy tego mi potrzeba?” (s. 174).

Osobnym problemem, który ma zapobiec marnowaniu żywności, są powstające w wielu miejscach w Polsce jadłodzielnie. Można w nich składować datne do spożycia jedzenie, jednak pojawiają się problemy, które można nazwać organizacyjnymi: kto powinien być uprzywilejowanym konsumentem, korzystającym z jadłodzielni? Czy powinny być monitorowane? Jak sprawdzać intencje korzystających z jadłodzielni? Czy ich powstanie nie napędza procesu marnowania? To tylko niektóre z pytań, które pojawiają się w kontekście działalności jadłodzielni, jednak sama idea, by jedzenie przeznaczone do śmieci mogło zostać spożyte przez anonimowych potrzebujących, zasługuje na pochwałę. Można już również spotkać zniczodzielnie (jedna z nich powstała w Rudzie Śląskiej), w których niezniszczzone znicze trafiają w nowe ręce. Dzięki takim inicjatywom można panować nad nadmiarem żywności, przedmiotów i zmieniać status rzeczy niepotrzebnych i resztek w pełnowartościowe i cenne zarówno z perspektywy ofiarodawców, jak i potrzebujących. *Na marne* jest nie tylko książką świetnie napisaną, ale również dającą do myślenia, a to największy atut reportażu o specyficznym spektrum tematów, jakie wybiera Sapała. ■

Marta Sapała: *Na marne*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019, 288 s.

Stanisław Ligoń, przedwojenny fenomen, idol, człowiek orkiestra, budzieli, jak dziad i ojciec polskości na Górnym Śląsku wrócił do domu z powojennej tułaczki, przywożąc ze sobą album fotograficzny. Zrobił go sam, kupując w Palestynie małoobrazkowy aparat fotograficzny. Kilkadziesiąt zdjęć wklejonych w równiutkie szeregi przedstawia ludzi i zabytki Bliskiego Wschodu, Jerozolimę i okolice Kairu. Rodzinne pamiątki Henrykowi Grzonce powierzyli trzej wnukowie Stanisława Ligonia. Autor skorzystał także ze zbiorów własnych oraz Biblioteki Śląskiej w Katowicach – wydawcy albumu upamiętniającego 100-lecie powstań śląskich.

Grzonka podzielił książkę na dwie osobne części oddzielone minirozdziałem *Historia niezwykłego obrazu*. W pierwszej biograficznej, na wstępie przypomina polityczne stanowisko wobec spuścizny Ligonia, wypominając władzom poprzedniego ustroju cichy ostracyzm i zbyt powolne przywracanie świadomości historycznej wobec osoby Karlika z „Kocyndra” przy okazji kolejnych rocznic katowickiej rozgłośni Polskiego Radia, której przed wojną Ligoń dyrektorował. Następnie przywołuje najważniejsze wydarzenia z życia Stanisława Ligonia, okraszając je licznymi fotografiami, niektórymi prezentowanymi po raz pierwszy. Poznajemy rodowód Karlika z postaciami znakomitych patriotów – dziadka Juliusza i ojca Jana, wędrowną górnośląskiego synka *za malarstwem*, które, wychowany w tradycyjnej górniczej rodzinie, nieszablonowo obrał za swoje pierwsze życiowe powołanie, ucząc się w Poznaniu, Krakowie czy Berlinie. Grzonka ukazuje wielopłaszczyznowy portret Ligonia. Korzystając z prac m.in. Edwarda Wichury-Zajdla, Mirosława Fazana, Gabriela Zycha, Krystyny Heskowej-Kwaśniewicz, Jacka Siebla, Celestyna Kwietnia stara się wypełnić białe plamy i plamki w życiorysie autora *Berów i bojek śląskich*.

Pierwszym „życiowym przestankiem” jest założone wspólnie z Janem Przybyłom pod egidą Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego pismo satyryczno-propagandowe „Kocynder”, do którego Ligoń maluje karykatury i pisze teksty. Wkrótce zaangażowany powstańczo i plebiscytowo periodyk stał się tak popularny, że zamieszczane w nim teksty i rysunki weszły w krwioobieg życia społecznego, a Ligoń otrzymał dożywotnio miano Karlika z „Kocyndra”. Oczywiście skuteczność propagandowa, dywersyjna i patriotyczna „Kocyndra” sprawiły, że im bardziej rosła popularność Ligonia, tym mocniej był znieawidzony przez wroga. Grzonka pisze o wyznaczanych za jego głowę nagrodach pieniężnych i zamachach, które odżyły ze zdwojoną siłą w przededniu II wojny światowej. Wówczas Ligoń prowadził podobną kampanię, co w „Kocyndrze”, tylko na większą skalę, bo przy wykorzystaniu nowego społecznego medium – ra-

Po co Karlikowi aparat?

KSIĄŻKI

dia. Najpierw Karlik powołał do życia humorystyczną audycję, prezentując gwarą *Bery i bojki śląskie*, potem na fali popularności wynikającej zarówno z prowadzonej audycji jak i zaangażowania w życie społeczne został dyrektorem katowickiej rozgłośni, a następnie zastąpił *beranie* słuchowiskiem „Przy żeleźnioku”, w którym śmiesznie i dosadnie przedstawił wszelkie przejawy niemieckiego szowinizmu, zyskując społeczny aplauz i zaufanie.

Kiedy nastąpił mroczny czas wojny, ani działalność radiowa, ani wzmacnianie polskości Górnego Śląska poprzez krzewienie teatru, sztuki, nauki, ani zabieranie głosu w obronie polskiego szkolnictwa nie zostały Ligoniowi zapomniane. Olwy do ognia dołała słynna akcja „Żeleźniok Karlika”, ogłoszona 30 kwietnia 1939 roku. Ligoń ogłosił zbiórkę pieniędzy na ciężki karabin maszynowy, jako wsparcie dla polskiego wojska. Zbiórka przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Ludzie masowo przekazywali do radia pieniądze i kosztowności, także w ukazanym na albumowej fotografii piecyku-skarbonce w miniaturowym czy oryginalnym rozmiarze. Z karabinu zrobił się samolot, zaś groźba utraty życia stała się bardzo realna.

Rozpoczyna się wojenna tułaczka Karlika. Jego wędrownka wiodła przez Węgry, Jugosławię, Grecję i Turcję do Jerozolimy. Właśnie pobyt Ligonia w Ziemi Świętej, a konkretnie jego nowa pasja związana z fotografowaniem jest przedmiotem drugiej części publikacji. Autor doprowadza kwestię biografii Karlika do końca. Poznajemy okoliczności jego pobytu w Palestynie i szerzej na Bliskim Wschodzie. Perturbacje związane z decyzją o powrocie do ojczyzny oraz to, co zastał Ligoń, przyjeżdżając do wyzwolonej Polski. Część biograficzną kończy symbolicznie fotografia z ceremonii pogrzebowych Karlika w 1954 roku, które przerodziły się w manifestację społeczną.



PIOTR SKOWRONEK

Ligoń, jak podaje Grzonka, „Kupił aparat fotograficzny, z którym potem się nie rozstawał w czasie zwiedzania. Uwieczniał historyczne obiekty, świątynie, zabytkowe i nowoczesne ulice, ale także ludzi, ich życie codzienne i obyczaje. (...) Ponad dwieście pięćdziesiąt zdjęć widokówek po Ziemi Świętej Ligoń wkleił do samodzielnie sporządzonego z białych kartek albumu”. Autor przypuszcza, że wypełnił w ten sposób religijne pragnienia dziadka i ojca oraz zaspokoił ciekawość rodziny, zabierając album z fotografiami do domu. Opublikowane zbiory zostały podzielone na 11 rozdziałów tematycznych, a zdjęcia opatrzone komentarzem objaśniającym co przedstawiają, oraz informacjami na temat ich obecnej użyteczności. Mimo walorów informacyjnych, teksty w jakiejś mierze wydają się zaburzać artystyczny, intymny urok „ulotnych” obrazów, które przecież robione ręką malarza w zamiarze nie miały tylko charakteru dokumentalnego. Obok Jerozolimy i jej murów, *Via Dolorosa*, *Galilei czy Betlejem* szczególnie interesujące wydają się dwa ostatnie rozdziały zatytułowane *Ludzie i Życie codzienne*, w którym okiem Ligonia właściwie nie patrzymy, a spotykamy mieszkańców tamtych okolic, rozśmianych, rozmodlonych, uprawiających ziemię, a przede wszystkim tętniących życiem, które tak uwielbiał Karlik.

Książka, połączenie biografii z albumem, wydana starannie na kredowym papierze z bibliografią, ma jedną, prozaiczną wadę – jest ciężka, co utrudnia lekturę, zaś jej klejona forma ogranicza nieco możliwość kontemplacji. Może należałoby się zdecydować na bardziej użyteczne dwie osobne publikacje? ■

Henryk Grzonka: Stanisław Ligoń 1879–1954. Ziemia Święta w obiektywie Karlika z „Kocyndra”, Biblioteka Śląska, Katowice 2019, 208 s.

Śląska Republika Uczonych

Ósmy tom *Śląskiej Republiki Uczonych*, zredagowany przez wrocławskiego germanistę i śląskoznawcę Marka Hałuba, jest obszerną, liczącą 25 artykułów publikacją, kontynuującą koncepcję programową tej imponującej, rozpoczętej w 2004 roku serii wydawniczej. Zainicjowana w minionym dziesięcioleciu polsko-niemiecka i polsko-czeska współpraca przedstawieli różnych dziedzin naukowych z kilku ośrodków uniwersyteckich zaowocowała projektami, studiami i spotkaniami o historii, nauce, kulturze i literaturze Śląska.

Tom ósmy zaznajamia w części pierwszej z wybitnymi, dziś zapomnianymi postaciami XVI i XVII wieku ze Śląska, np. z kaznodziejami (Johannes Gigas), medykami i historiografami (Joachim Cureus), uczonymi i myślicielami (Abraham von Franckenberg, Samuel von Butschky), z pietystami i propagatorami nowoczesnej idei nauczania w XVIII wieku (Gotthelf S. Steinbart), a także z działalnością wrocławskich lekarzy w XIX wieku, (Hermann Seerig i Carl Flügger). Autorzy studiów, rekonstruując drogi życia śląskich uczonych, wskazują na ich epokowe osiągnięcia i przywołują wydarzenia ważne dla zrozumienia rozwoju życia religijnego, społecznego i oświatowego prowincji.

Drugą część tomu otwiera kilka artykułów dokumentujących dokonania Ślązaków, folklorystów, poliglotów, mediewistów i orientalistów w XX wieku. W galerii znakomych postaci odnajdujemy portrety historyka i archiwisty Friedricha Andrae, mediewisty Karola Maleczyńskiego, folklorystów Stanisława Walisa i Józefa Ligęzy, a także władającego wieloma językami, w tym językiem chińskim prawnika Emila Krebsa, historyka sztuki i publicystę Paula Knötela oraz pisarza Maxa Hermanna-Neisse. Dwa przyczynki poświęcone są dziejom instytucji i fundacji, np. Biblioteki Śląskiej i Fundacji im. Eriki Simon.

ŚLĄSKA REPUBLIKA UCZONYCH
SCHLESISCHE GELEHRTENREPUBLIK
SLEZSKÁ VĚDECKÁ OBEC



Silesiana

GRAŻYNA BARBARA SZEWCZYK

Całość zamykają teksty ilustrujące przemiany we współczesnej nauce, muzealnictwie (np. Muzeum Ziemi Śląskiej w Opawie) i w bibliotekarstwie (badania bibliometryczne, fora cyfrowe) i podkreślające znaczenie najnowszych programów naukowo-technologicznych i projektów dla rozwoju polsko-niemiecko-czeskiej współpracy szkół wyższych.

Zawartość tematyczna tomu jest niezwykle bogata. Wprowadzając do „krajobrazu śląskiej republiki uczonych” nowe akcenty i przemyslenia, znakomici polscy, niemieccy i czescy znawcy śląskiej problematyki (np. profesorowie Joachim Bahlcke, Norbert Conrads, Tobias Wenger) czy młodszy jej badacze (Bogumiła Burda, Kalina Mróz-Jabłeczka, Adam Gołębiowski, Beata Gibak, Kamil Roda i in.) odkrywają przed czytelnikiem zapoznane rozdziały dziejów śląskiej nauki i przypominają o twórczych dokonaniach śląskich uczonych.

Ósmy tom *Śląskiej Republiki Uczonych* liczy 529 stron i zawiera streszczenia artykułów w języku niemieckim i czeskim. Godny podkreślenia jest wysiłek redaktora publikacji i zarazem autora wstępu Marka Hałuba, który dzięki wyborowi ciekawych i wciąż słabo rozpoznanych tematów pozwala zainteresowanym dziejami śląskiego regionu poszerzać i zgłębiać wiedzę o wielkich Ślązakach.

„Rocznik Lubowicki”

Wart lektury jest także najnowszy, szesnasty numer „Rocznika Lubowickiego”, zredagowany przez badaczkę historii Śląska, filolog klasycznego prof. Joannę Rostropowicz i opublikowany przez Górnośląskie Centrum Kultury i Spotkań im. Eichendorffa w Lubowicach. W Lubowicach, miejscu urodzin wybitnego niemieckiego poety okresu romantyzmu, pomysł wydawania naukowego rocznika poświęconego biografii i twórczości Eichendorffa, a także literaturze, sztuce i kulturze Górnego Śląska zrodził się już na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku, zrealizowany został jednak dopiero w 2003 roku. Najnowszy numer składa się z trzech części: *Eichendorffiana*, *Silesiana* i *Varia* i jest dedykowany wrocławskiemu germaniście, prof. Norbertowi Honszy z okazji jego 80. urodzin. Honsza, autor wielu rozpraw naukowych i książek popularno-naukowych, podejmujących problematykę współczesnej niemieckojęzycznej literatury i piśmiennictwa XIX i XX wieku (jego książki, rozprawy i studia m.in. o T. Mannie, H. Böllu, G. Grassie i H. Heine zyskały wysokie uznanie krytyki polskiej i niemieckiej) i laureat Śląskiej Nagrody Kulturalnej Dolnej Sak-

sonii, przez wiele lat redagował dwujęzyczny kwartalnik pt. „Polsko-niemieckie zbliżenia”. Był również redaktorem serii „Germanica Wrateslavenisa”.

W najnowszym numerze „Rocznika Lubowickiego”, odnajdujemy artykuły polskich, niemieckich i czeskich badaczy zgłębiających bogactwo wątków, postaci i obrazów w utworach literackich Eichendorffa, np. teksty autorstwa Michała Skopa (motyw Odry) i Joanny Gracy (postacie kobiet), ponadto dzieje recepcji poety zrekonstruowane w oparciu o utwory śląskich pisarzy XX wieku, Hansa Niekrawietza, Augusta, Scholtisa i Horsta Bienka (studium Grażyny Barbary Szevczyk) i współczesne badania naukowe prowadzone w Republice Czeskiej (przyczynek Ireny Šebestovej), przypominające również związki poety z Tworkowem (szkic Franza Heiduka).

W dziale *Silesiana* zamieszczono studia i przyczynki polskich i niemieckich autorów, w tym E. Klina, Bernharda M. Barona, M. Kutymy E.G. Hofa i J. Rostropowicz, dokumentujące osiągnięcia śląskich mistyków (tekst o Jakubie Böhme) i uczonych (portret badacza starożytnego świata Karla Ottfrieda Müllera), losy archiwum Gerharta Hauptmanna, oraz prezentujące nieznane opowiadania i wspomnienia zapomnianych dzisiaj autorów: Inge Kowalski i Arnolda Ulitza. Całość wraz z obszernymi streszczeniami w języku czeskim uzupełniają *Varia* zawierające omówienia nowości wydawniczych o Górnym Śląsku.

Zarówno najnowszy tom rocznika, jak i inne redagowane przez J. Rostropowicz publikacje poświęcone dziełu Eichendorffa i literaturze Górnego Śląska (np. dwujęzycznie wydawane „Zeszyty Eichendorffa” czy seria „Perły literatury Górnego Śląska”), są ważnym wkładem do dokumentowania i popularyzowania wśród współczesnych odbiorców bogatej spuścizny literackiej niemieckiego poety oraz utworów poznanych śląskich pisarzy. ■



ROCZNIK
LUBOWICKI
LUBOWITZER
JAHRBUCH
LUBOWICKÁ
ROČENKA

Jeżeli ktoś w wieku 16 lat siada na koń, by walczyć z bolszewikiem, jeżeli dwadzieścia lat później uczestniczy w pierwszej kawalerijskiej szarży II wojny światowej pod Krowantami, jeżeli w roku 1947 wraca do Polski z sowieckich łagrów... Jeżeli to wszystko potrafi jeszcze opisać z ułańską fantazją, z talentem Jana Chryzostoma Paska i z rzetelnością księgowego – możemy spodziewać się nie lada lektury.

Opowiem teraz o pamiętnikach jednego z ostatnich ułanów II RP – por. Antoniego Tarnowskiego. Doskonale oddający ducha książki tytuł *Na koniu i pod wozem* nadał książce syn porucznika, prof. dr hab. inż. Wojciech Tarnowski, wykładowca wiele lat na Wydziale Automatyki Politechniki Śląskiej. Nie będzie to recenzja, ale raczej informacja o natrafieniu na dzieło niezwykłe, które nagromadzeniem szczegółów militarnych, obyczajowych i hippicznych powinno zainteresować każdego historyka i pisarza, zajmującego się dziejami ziemiństwa polskiego w I połowie XX wieku. Wiele wiadomości ważnych i nieznanych nawet historykom oręża znajdują tu również badacze września 1939, poszukujący wciąż – jak piszący te słowa – odpowiedzi na pytanie: „dlaczego Polska tak strasznie tę wojnę przegrała”.

Pamiętniki Tarnowskiego – spisane w latach 1947–49, a opublikowane ponad pół wieku później – są całkowicie wolne od jakichkolwiek ocen politycznych. Autor nie próbuje udowodnić żadnej tezy. Po prostu dzień po dniu opisuje najpierw swoje psotne, chłopięce dzieciństwo, ułańską młodość i pierwszą wojaczkę, następnie drugą wojnę, a w końcu łagry. Fenomenalna pamięć pozwoliła mu odnotować nie tylko setki (po każdym rozdziale potężny indeks) nazwisk współtowarzyszy doli i niedoli, ale nawet imiona wszystkich swoich (brak indeksu)... koni!

Antoni Tarnowski (ur. 1904) należał do pierwszego rocznika Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu, gdzie trafił w maju 1926 tuż po przejęciu władzy przez Piłsudskiego. Życie ułana w czasie pokoju to wdzięczny temat literacki i anegdotyczny. Pisało o tym wielu cywilów; tu mamy opis „od środka”. Zabawny, niekiedy wzruszający i dostarczający wiedzy niedostępnej w innych źródłach.

Najważniejsze w tej książce są jednak relacje wojenne i łagrowe. Zacytuję teraz akapit wyjaśniający tajemnicę naszej „cudownej broni” – karabinu przeciwpancernego Ur, który naprawdę jednym trafieniem zatrzymywał te czołgi (również czeskie), które Niemcy mieli w roku 1939.

„Do szwadronu przydzielono ppor. zawodowego Uranowicza, na razie bez funkcji. Przywieziono trzy skrzynki w ochronnym kolorze z napisem „przyrządy optyczne”. Byłem zdziwiony, że liniowemu szwadronowi przydziela się sprzęt tego rodzaju. Wkrótce okazało się, że były to polskiej konstrukcji i polskiej produkcji karabiny przeciwpancerne, do ostatniej chwili

Na koniu i pod wozem

KSIAŻKI

osłonięte tajemnicą. Ich obsługę stanowili zawodowi podoficerowie, przedtem już przeszkoleni w strzelaniu i zaprzysiężeni na tajemnicę”.

Myśl strategiczna polska była błędna, by nie rzec – obłądna. Ale sporo drobniejszych działań podejmowano słusznie. Całkiem rozsądne, wobec niedostatku własnej broni pancernej, było utrzymywanie jednostek konnych, zdolnych do dalekich manewrów i wyposażonych w skuteczną broń przeciwpancerną. Tych karabinów mieliśmy za mało (3500), ale koncepcja była poprawna. Z omawianej książki dowiedziałem się, że operatorzy nowej broni byli zawczasu przeszkoleni, zaprzysiężeni (!) i rozesłani do wszystkich większych oddziałów polskich. Tej informacji nigdzie indziej nie znalazłem.

Książka zawiera też wiele opisów bitew i potyczek, widzianych z ułańskiego siodła. Nie ma strategicznych rozważań, jest za to – jak u Wańkowicza – dużo humoru, bo nawet w tragicznych sytuacjach zawsze coś takiego się zdarza, że później można się z tego tylko śmiać. Teraz jednak zacytuję to, co – co pod względem poznawczym – jest bezcenne, bo wypełnia ważny fragment odpowiedzi na najważniejsze pytanie. Ten fragment dotyczy ostatnich godzin pokoju w okolicach Gdańska, bo tam rozkazy rzucił pułk Tarnowskiego.

„Powietrze było parne i duszne, zbierało się na burzę. Obszedłem rejon i poszedłem spać. O godz. 24.00 obudził mnie gońiec z poleceniem, abym się stawił u dowódcy szwadronu. Głębocznie zastałem w izbie przy lampce naftowej pochylonego nad mapami. Zakomunikował mi, że szwadron nasz ma o godz. 3.00 pójść na granicę i złuzować 1. szwadron na linii ubezpieczeń. Wręczył mi 16 odcinków map sztabowych 1:100 000, piętnaście obejmujących tereny na zachód od Gdańska i jedną teren. Oczywiście – te pierwsze nigdy nie



Por. Antoni Tarnowski

ANDRZEJ JARCZEWSKI

okazały się niezbędnymi w tej kampanii, świadczyły tylko o wielkim optymizmie w założeniach operacyjnych. W ciągu prowadzenia wojny brak map dawał się nam dotkliwie odczuwać. Jeżeli ktoś posiadał potrzebny odcinek terenu, inni na postojach odrysowywali...”

Tak więc: nie przygotowano map na ewentualność odwrotu! Podobny przykład opisywałem w poprzednim numerze „Śląska” w artykule *Kapuściński fiction*, poświęconym książce Tadeusza Losterka o bitwie pod Przylękami z 9 września 1939. To samo widzimy w polityce i nawet w życiu osobistym na każdym kroku. Obawiamy się najgorszego, ale do końca nie jesteśmy w stanie uwierzyć, że to najgorsze może naprawdę przyjść.

Na podstawie literatury pamiętnikarskiej, a nie z podręczników historii, wysuwam tezę, że sanacja przygotowywała kraj nie do wojny, ale do... wojenki. Do marca 1939 było pewne (również dla Hitlera i dla Śmigłego-Rydza), że wojna musi rozpocząć się od ataku na Francję. Zadaniem polskiego wojska byłoby tylko wykonanie ograniczonych zadań zaczepnych, żeby Niemcy musiały część wojska wycofać z frontu francuskiego, co – teoretycznie – czyniło wojnę niemożliwą. Polskie władze dostrzegły ewentualność zmiany głównego kierunku niemieckiego uderzenia dopiero po zajęciu przez Niemcy Czech i litewskiej Kłajpedy i po zwasalowaniu Słowacji. Wciąż jednak wierzono we Francję, a nawet w Anglię, która czyniła wszystko, byśmy przypadkiem nie uniknęli wojny jako pierwsi. W dodatku o rosyjskim zagrożeniu przestano myśleć... Tak się przegrywa państwo. ■

Antoni Tarnowski: *Na koniu i pod wozem*. Wydawnictwo Ośrodek Karta, Archiwum Wschodnie, Koszalin 2003, 290 s.









Biedaszyby Maxa Steckla

JAN MALICKI

Gdy latem 1937 roku na wyrobisku węgla na katowickim Wełnowcu pojawiło się dwóch dziwnych panów, to z pewnością reakcja masy przebywających tu hajerów musiała być wroga, może tylko nieprzyjazna lub jedynie lekceważąca. Bo i czas był nieszczerólny. Jeszcze kilka lat temu na całym terenie województwa śląskiego istniało 2352 biedaszybów, zatrudniających aż 12 174 osób: mężczyzn, kobiet i dzieci. Największym zaś skupiskiem były tereny kolonii Agnieszka, właśnie na Wełnowcu. Z około 100 szybików tam zlokalizowanych wydobywano dziennie 500–600 ton węgla, który sprzedawano w okolice Lublińca i Tarnowskich Gór. Nic dziwnego, iż ów proceder był solą w oku Unii Polskiego Przemysłu Górniczo-Hutniczego. Ona też doprowadziła do uznania dzikiego wydobywania węgla za czyn karalny. Stało się to w roku 1935. A jak egzekucja prawa wyglądała w praktyce pokazał Janusz Kidawa w znakomitym według mnie filmie *Grzeszny żywot Franciszka Buty*.

Dwa lata później na Wełnowcu zjawiają się dwaj dziwni ludzie. Obaj w kapeluszach i ubraniach znamionujących inny, dostojny świat, jakże daleki od otaczającej ich siermiężnej codzienności – fotografowanych przez nich dzieci, ubranych w spodnie pełne łat, wydobywających węgiel z opuszczonego przez dorosłych szybu.

To zderzenie dwóch światów mogło przyciągnąć na wełnowieckie biedaszyby mieszkającego wówczas w Gliwicach, znanego i wielokrotnie honorowanego fotografa. Czło-

wieka, który przecież sływał nie tylko na Śląsku, lecz i w całej ówczesnej Europie ze zdjęć dokumentujących trzy wielkie dziedziny: przemysł, odległy świat natury „od Kłajpedy po Bosfor”, wreszcie dramatyzm zdarzeń historycznych. To trzy dopełniające się sfery ludzkiej cywilizacji początków XX stulecia, „wieku miast, maszyn i pary”. Jednakże latem 1937 roku do Katowic przywiódła go nie tyle chęć uwiecznienia osiągnięć śląskiego przemysłu, ile zamiar udokumentowania swoistego regresu, upadku technik wydobywczego czasu wielkiego kryzysu ekonomicznego owych lat. Technik sprowadzanych do form prostych, przedindustrialnych, charakterystycznych dla kultury technicznej bliższej czasom Walentego Rózdzińskiego czy Krzysztofa Wintera, kiedy pomysłowość człowieka i siła ludzkich mięśni decydowały o efektywności i skuteczności eksploatacji górniczego pola, jakże ubożego wobec systemu wydobywczego śląskich kopalń.

Materialnym śladem tamtej wyprawy do katowickich biedaszybów jest album zdjęć przechowywanych w Bibliotece Śląskiej (sygn. G 8668I), dokumentujący cały proces wydobywania węgla na dzikim wyrobisku, nieopodal Skarbofermu.

Świadomie użyłem określenia „dokumentujący”, a nie „ilustrujący”. Autor owych zdjęć bowiem beznamiętnie, ale też niezwykle precyzyjnie i perfekcyjnie przedstawia poszczególne etapy pracy górników – może z uściśleniem – bezrobotnych, ale nie „szybikarzy”, gdyż taki termin co prawda funkcjonował w opracowaniach naukowych, ale posiada on barwę degradującą, pejoratywną, dezawuuującą. O dokumentaryzmie owego albumu świadczy niezwykle konsekwentnie budowana kompozycja zbioru, zasadzająca się na następstwie czynności technologicznych; od szerokiej dwuczęściowej panoramy wyrobiska, poprzez uchwycony moment budowy szybu, zjazdu – wyobrażenia mi podpowiada – pierwszego w podziemiu, wyjazdu z biedaszybu, proces pozyskiwania węgla, odmierzenie urobku, owe słynne 2 m sześciennie, hałda miazgi węglowej, zawsze towarzyszącego wydobywaniu, sortowanie węgla, remont klatki wyciągowej, zniszczony szyb, który staje się miejscem pracy dzieci, poprzez zawalisko, będące integralną i naturalną konsekwencją pozyskiwania węgla, aż po czas zwiedzania biedaszybów. Jakże silnie kontrastuje z brudem strojów ekipy górniczej postać kobiety w sukience i kapelusiku oparta o kilof. Ale przez to jeszcze silniej uwydatnio-





roku wygłosił w Katowicach odczyty o Tatrach. Doświadczenia w fotografowaniu dzikich zwierząt opisał w 1927 roku we własnej publikacji: *Kamera Weidwerk (Myślistwo kamerą)*. Zamieścił w niej szkice aparatów i lamp błyskowych, przy pomocy których fotografował zwierzęta, oraz 42 fotografie kozic, jeleni, łosi, żubrów i wielu różnych ptaków. Już w marcu 1900 roku uzyskał patent na lampę błyskową uruchamianą przez fotografowane zwierzęta”. Tyle Piotr Hnatyszyn. Wreszcie trzecim wielkim tematem było dokumentowanie wydarzeń o wymiarze historycznym, takich jak: defilada oddziałów niemieckich w Katowicach w przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej, walki we Francji, ale i pogrzeb pierwszego wojewody śląskiego Józefa Rymera czy pobyt prezydenta Ignacego Mościckiego w naszym mieście. Wszystkie te pasje łączyła precyzja przedstawień, wysoka jakość artystyczna, ale też dążenie do immanentnej narracyjności dokumentacyjnej, ujawniającej się nie tylko w cykliczności przedstawień, ale też w przestrzeganiu ścisłej chronologii zdarzeń lub następstwa faktów. Stoso-

na została przepaść między światem biedaszybów, pełnym niebezpieczeństw, grozy i nieuchronności a światem nieodległego miasta. Zapewne przypadek sprawił, iż na 16. zdjęciu zbioru znaleźli się obaj fotografowie. Starszy z nich to Max Steckel. Miał wówczas 67 lat. Urodził się bowiem w roku niezwykle pamiętanym w Rzeszy. Mając 21 lat osiadł najpierw w Królewskiej Hucie, by wkrótce przenieść się do Katowic. Tu uzyskał patent mistrzowski, a z nim zamówienia. Odtąd – jak piszą autorzy katalogu *Czarne Diamenty. Fotografie z Górnego Śląska Maxa Steckla (1870–1947)* – zaczął się czas albumów: *O górnośląskim górnictwie węgla kamiennego, czy Podręcznik dla doksztalcających szkół górniczo-hutniczych*. To w pełni wyjaśnia architekturę kompozycyjną albumu znajdującego się

w zbiorach Biblioteki Śląskiej. Drugą wielką pasją było fotografowanie dzikich zwierząt. A to już wymagało zupełnie nowych rozwiązań technicznych w konstrukcji aparatów, ale i innych jeszcze sposobów wykonywania zdjęć. „W styczniu 1910 roku – pisze Piotr Hnatyszyn w katalogu *Czarne diamenty*, s. 12 – król Bułgarii Ferdynand zaprosił Maxa Steckla do wykonania fotografii wilków i niedźwiedzi żyjących w Rodopach. Za osiągnięcia w fotografowaniu zwierząt wymieniono nazwisko Maxa Steckla w hasle: *Fotografia zwierząt* w Leksykonie Meyersa z 1910 roku. Inny zaszczyt spotkał go 3 lata później: w grudniu 1913 roku na zamku w Świerklańcu przebywał następca tronu niemieckiego, przed którym Max Steckel wygłosił odczyt „Obserwacje zwierząt”. Z kolei w 1926 i 1927

wał w fotografii zasady obowiązujące w filmie. Dodajmy przy okazji – które też tworzył. Trudno jednak w krótkim szkicu uchwycić wszystkie sfery poczynania tego niezwykle człowieka. Jeśli bowiem powiemy fotograf, to należy dodać: artysta i dokumentalista, dwa określenia dopełniające się i wytyczające nową przestrzeń między beznamiętną relacją o zdarzeniach a swobodną stylizacją przedstawianej rzeczywistości kierowanej jednak w stronę kreacji artystycznej. I w tym upatrywałbym urok starej fotografii. ■



Wszystko jest znajome. Wprost z galerii handlowej, gdzie mieści się jedna ze scen Teatru Śląskiego, wkraczamy w pozornie bezpieczny świat telewizyjnego show, co prawda nieco przyprószonego kurzem wojny, której już nikt nie pamięta, gdzieś w tle berlińska ulica z resztkami chodnika, fragmenty muru, a może tak nam się tylko wydaje. Jeśli ktoś ma jeszcze wątpliwości, to zobaczy zniszczonego przez rdzę starego mercedesa. To z niego wytoczy się z hukem główny bohater wieczoru: nadgryziony przez czas Adolf Hitler, który właśnie powrócił do współczesnych Niemiec, a może miejsce nie ma w tym wypadku większego znaczenia, bowiem tak naprawdę on powrócił do nas.

Kim jest w ten bohater głośnej bestsellerowej powieści Timura Vermesa, którą przeniósł na scenę Robert Talarczyk? Kontrowersyjnym komikiem, niegroźnym dziwakiem wygłaszającym narodowosocjalistyczne tyrady, które na początku śmieszą, a później budzą niepokój? A może kimś, kto tylko przywdział maskę dawnego dyktatora, by prowokować publiczność telewizyjną tekstami w stylu: „Jestem zdania, że wcześniej rano powinni pracować tylko piekarze i naturalnie gestapo”. Ta postać jest wszystkim po trochu.

Powstaje pytanie czy będziemy się mierzyć na scenie z satyrą, otrzymamy diagnozę współczesności czy raczej przestrogę wykrzychaną w czasach niepewnej, fałszywej stabilizacji, kiedy wokół przekraczane są kolejne



fot. Przemysław Jendroska

Ostatnia przestroga

WOJCIECH LIPOWSKI

granice, kwestionowane zasady demokracji, gdy skrajnie populistyczne ugrupowania wygrywają wybory w wielu europejskich krajach. Mimo wszystko ten Hitler, w którego wcielił się powracający do Teatru Śląskiego, bardzo sugestywny i znakomity aktor Artur Świąć, jest postacią w miarę bezpieczną, bowiem dzieli go od publiczności niewidoczna granica. Co stanie się jednak, gdy pewnego dnia ją w końcu przekroczy?

Timur Vermes autor powieści *Er is wieder da*, która była jego pisarskim debiutem w 2012 roku, Niemiec węgierskiego pochodzenia, powiedział w jednym z wywiadów, że pomysł fa-

buły przyszedł mu do głowy, kiedy dowiedział się, że Hitler oprócz *Mein Kampf* napisał jeszcze jedną książkę *Zweites Buch*, niewydaną w 1928 roku, gdy powstała, a której maszynopis odnalazł historyk amerykański Gerhard Weinberg. Opublikowano go bez rozgłosu w latach 60., bo kogo mógł wtedy jeszcze interesować zbiór grafomańskich wynurzeń poświęconych polityce zagranicznej Niemiec. Vermes postanowił w związku z tym napisać własny utwór, czytając uprzednio nielegalną, zakazaną w Niemczech pierwszą książkę dyktatora, która jego zadaniem, nie dość, że była nudną lektu-



fot. Przemysław Jendroska

ra, to nigdy nie doczekała się w jego kraju poważnej rzeczowej dyskusji, co było podyktowane traumą historycznych doświadczeń. Dopiero koniec lat 60. przyniósł falę politycznych rozliczeń uczestników nazistowskiego aparatu władzy, wciąż funkcjonujących w strukturach państwa, zainicjowaną przez ludzi urodzonych już po wojnie, a potem zapadło milczenie. Kolejne pokolenie nie bardzo już interesowało się w jaki sposób Hitler doszedł do władzy i pociągał za sobą tłumy, zatem często wypowiadało się o nim w kategoriach parodii, żartu, bo od lat wojennych upłynęło sporo czasu. Tu wkroczył ze swoją wypełnioną humorem powieścią Vermes, ukazując czytelnikom przede wszystkim dyktatora jako zwykłego człowieka, zgrabnego demagoga, pragmatyka, przypuszczając, że to chyba przemówi do czytelnika najbardziej. Podobną drogą podążył reżyser spektaklu.

To przedstawienie jest mistrzowskim recitalem jednego aktora. Ciąg monologów, które tworzą oś narracyjną tej adaptacji, wygłaszanych przez Artura Świąsę z niebywałą ekspresją, chwilami przejmującą precyzją stylizacji na autentyczne wystąpienia Hitlera, tworzy serię scen o różnym zabarwieniu: raz komicznych, innym razem pełnych sarkazmu, czasem ocierających się o surrealizm. Trzeba podkreślić, że Świąś w sposób doskonały parodiuje frazę głównego bohatera, który w kulminacyjnym momencie staje się gwiazdą popularnych mediów. Gdy zjawiskowa, tajemnicza Anna Kadulska, zarządzająca tą machiną medialną, angażuje go do telewizyjnego show, nie przeczuwa jesz-

cze, jakie konsekwencje czekają na pomysłodawców tego przedsięwzięcia.

Robert Talarczyk nie uniknął w swoim spektaklu odniesień do współczesnych zjawisk z obszaru spraw społeczno-politycznych. Nie da się nie zauważyć, że pojawienie się rzekomego tyrana stanowi pretekst do przypomnienia wszystkim, jaki jest dziś poziom polityki, jak mechanizmy manipulacji wykorzystują współczesne media, w jaki sposób kreuje się charyzmatycznych przywódców, którzy wabią i oszukują ludzi. Taki jest bohater spektaklu i zarazem telewizyjnego widowiska: uwodzi słowem, gestem, poczuciem humoru, nawet gdy dotyka spraw najbardziej tragicznych jak Holocaust. Gdy jedna z postaci zwraca mu uwagę, że na temat Żydów żartować się nie powinno, bo nie jest zabawny, odpowiada twierdząco, jednak włącza go do swych populistycznych tyrad, które zwiększają jego popularność z każdym nowym odcinkiem programu, pozwalając mu na coraz śmielsze wielopoziomowe manipulacje rozmówcami, także na stopie prywatnej. Nie ważne przy tym czy adwersarzem jest kioskarsz przy buncrce Hitlera (dobra rola Zbigniewa Wróbla), turecki impresario (Wiesław Kupczak) czy piękni i młodzi dziennikarze (Dawid Ściupidro i Anna Lemieszek), każdy z nich, nawet zaprawiona w bojach medialnych szefowa stacji (Anna Kadulska), ulegną sile argumentów wspartych odpowiednią ekspresją gestu.

Na scenie w Galerii Katowickiej, wśród rozrzuconych w nieładzie przedmiotów, elementów wyciągniętych z różnych miejsc i czasów, wymieszanych ze sobą w tej nierealnej prze-

strzeni przez autorkę scenografii Katarzynę Borkowską, panuje dziwne wyczekiwanie. Co rusz ktoś wygląda zza błyszczącej kurtyny, przechodzi za stertami śmieci, grzebie w pryzmach puszek. Gdy zjawia się on w przykroczonym mundurze, uruchamia ciąg zdarzeń, w których kolejne postaci, napotkane przez demagogicznego komika, wiedzione chęcią zysku, staną się po kolei jego ofiarami. Czekałimy na pana – wyzna w końcu, używając liczby mnogiej, niejaki Sawatzki (Dawid Ściupidro) i w tym, co powiedział, wyrazi jednocześnie własne poglądy, których w innych okolicznościach nie ważyłby się ujawnić. To chyba najbardziej przejmujące zdanie spektaklu, bowiem dotyczy przedstawiciela społeczności osadzonej w stabilnych strukturach demokracji, gdzie impuls związany z pojawieniem się figury znanego z historii dyktatora, uwodzącego tłumy, a może tylko kogoś, kto go do złudzenia przypomina, może zapoczątkować próbę powrotu do czasów tragicznych doświadczeń. Na szczęście to tylko możliwość, przestroga. Jest ich więcej w książce Vermesa i w spektaklu Talarczyka.

W miarę upływającego czasu widzowie śmieją się jednak coraz mniej i z coraz większym zainteresowaniem wpatrują się w twarz stojącego przed nimi człowieka, która przypomina starannie przygotowaną maskę. Co się pod nią kryje? W masce tkwi różnica między człowiekiem w sferze prywatnej a człowiekiem wchodzącym w relacje z innymi ludźmi, inaczej, funkcjonującym w obszarze publicznym określanym przez normy, oczekiwania. A więc ten, który do nas powrócił, jest udawaniem, sztucznością, na szczęście. I niech tak pozostanie, mimo obaw, niepokojów, jakie mogła wywołać jego nagła, niezapowiedziana wizyta. I chyba dobrze jest pamiętać, tak na przyszłość, gdy czujemy się bezpieczni oglądając adaptację powieści Vermesa, że takie postaci tworzymy sami. Autor *Er is wieder da* pisze: „No bo w końcu jest cudoownie, wygodnie, a jak coś pójdzie źle, to przecież była to wspólna decyzja nas wszystkich, a jeszcze lepiej: to sam naród, wszak to on wybrał. ■

Timur Vermes
On wrócił
reż. Robert Talarczyk
adapt. Miłosz Markiewicz
Teatr Śląski w Katowicach
Premiera 29.11.2019



Obie śniły o niemożliwym. Role, które chciały zagrać pozostały na zawsze tylko w marzeniach. Ostentacyjnie eksponowały cielesność i przekraczały normy społeczne w swoich czasach. Ofiary własnego wizerunku: Kalina Jędrusik i Marilyn Monroe. Pierwsza chciała wystąpić w *Trzech siostrach* Czehowa, druga zagrać Gruszeńkę w *Braciach Karamazow* Dostojewskiego. Żadnej się nie udało.

Skąd wzięły się te porównania przy okazji premiery monodramu *Wyspa Kalina* autorstwa Zuzanny Bojdy w cyklu kameralnych przedstawień „Off Road” Teatru Polskiego w Bielsku-Białej? Ponieważ są one, zresztą obecne w spektaklu, całkowicie uprawnione. Wiele elementów ich artystycznych i prywatnych biografii było podobnych, nawet sceniczne wizerunki stworzyli mężczyźni. W przypadku Monroe był to dramaturg Arthur Miller, jej mąż; Kalinę Jędrusik wykreował znany pisarz, starszy od niej o 16 lat Stanisław Dygat, z którym połączyło ją małżeństwo, dostarczając przez długie lata skandalizujących historii, plotek i zwyczajnie zmyślonych opowieści nie tylko gazetom, ale wszystkim ciekawskim. Panie miały dużo wdzięku, emanowały zmysłowością, ale pod tym wszystkim skrywały liryzm, subtelność i, jak się później okazało, dojmującą samotność oraz rozgoryczenie.

W sztuce Zuzanny Bojdy, wyreżyserowanej przez Agatę Puszcz, wystąpiła Wiktoria Węgrzyn-Lichosyt. Powiedzmy od razu: rewelacyjnie wcielając się w skomplikowaną i wielowymiarową rolę Kaliny. Gdy zjawiła się na Małej Scenie bielskiego teatru wszyscy wstrzymali oddech, nie dowierzając, że można tak fizycznie upodobnić się do odtwarzanej postaci. Podobno sama aktorka była pomysłodawczynią tego projektu. I chyba wiedziała, co robi, bo efekt pracy czterech pań, czyli aktorki, autorki tekstu, reżyser i kostiumologa Igi Sylwestrzak dostarczył wszystkim niezapomnianych teatralnych doświadczeń.



foto: Dorota Koperska

Kalinowe noce i dni

WOJCIECH LIPOWSKI

Tytułową wyspę rozumieć można na różne sposoby, ale twórcom spektaklu chodziło głównie o to, by Kalina przedstawiła w jednym miejscu wybrane fragmenty wspomnień z własnego życia. Bez chronologicznej ciągłości. Płynące opowieści ilustrowane są piosenkami w klasycznych i bardziej współczesniowskich aranżacjach z muzyką na żywo w wykonaniu Piotra Matusika, przerywanymi przez kolejne dygresje: dynamiczne, nostalgiczne, pełne goryczy, czasem humoru. Wielowątkowa historia artystki ulepiona została z różnych elementów biografii i dokonania artystycznych. Są wspomnienia rodzinnego domu w Gnaszynie, jest prząsny PRL z jego możliwościami i częściej ich brakiem, są anegdoty, wyświetlane podczas spektaklu fragmenty kronik filmo-

wych, zdjęcia, artykuły prasowe, wywiady, jest Dygat piszący specjalnie dla niej 10 przykazań, ojciec, mężczyźni, problemy zdrowotne, traumy młodości, rozchylone usta i głęboki dekolt, w końcu plotki i chęć odnalezienia w tym wszystkim prawdy o kobiecie wrażliwej, wybitnej artystce, którą zasufladkowano w stereotypie seksbomby PRL-u, porównywano do Monroe i Bardot w rodzimym wydaniu.

Po wielu latach Kalina komentowała swe erotyczne podboje: „Przeżyłam kilka szalonych romansów. Niedużo. No, kiedyś policzyłam – pięć. To wcale nie jest dużo na całe życie. Nie umiałam ich ukryć – żer dla legendy. I jeżeli ktoś „życzliwy” opowiedział mężowi o mojej nowej fascynacji innym mężczyzną, on mawiał swoim cudownym wolterowskim „r”: Gdy-



by ona była panienką na pocztce przyklejającą znaczki, to być może nie byłyby jej potrzebne takie fascynacje. Kalina jest wielką aktorką i potrzebne jej są niezwykłe, cudowne momenty”.

Na szczęście autorka tekstu pozwoliła widzom poznać także, a może przede wszystkim Kalinę, jakiej nie znaliśmy. Tę, która schodziła ze sceny i chroniła się we własnym domu, tę, która cierpiała przez zawiść i pomówienia innych. Artystkę Kabaretu Starszych Panów ukrywającą w półszepcie niezapomnianych piosenek Przybory i Wasowskiego swój smutek i wspomnianą już na wstępie samotność. Wiktorii Węgrzyn-Lichotyst udało się zaśpiewać wybrane do monodramu piosenki z charakterystycznym dla Kaliny matem z nutką tajemniczości. Trzeba podkreślić przy tym znakomitą muzykalność i aktorstwo. Niełatwo połączyć w spektaklu bardzo dynamiczną narrację z partiami interpretacyjno-wokalnymi poszczególnych utworów. Aktorka miała szczęście do akompaniatora. Piotr Matusik, przebrany w mundur strażacki, w sposób bardzo ciekawy, ilustrował muzyką kolejne epizody, nie zawsze wykonane w całości, ale za to w zupełnie nowych, czasem zaskakujących odsłonach. Pamiętajmy przy tym, że są one śpiewane już przez kolejne pokolenie młodych artystów, co świadczy o ich nieprzemijalności, sile oraz wciąż atrakcyjnej formule. W spektaklu usłyszymy zatem *Mój pierwszy bal*, *Z kim tak Ci będzie źle jak ze mną*, *Romeo, czy jesteś na dole* czy *Nie budźcie mnie*, wszystkie w bardzo ciekawych aranżacjach Dawida Suleja Rudnickiego. To rzecz jasna tylko wybór z ogromnego dorobku artystki. Mamy w pamięci właściwie tylko kilkadziesiąt najpopularniejszych piosenek, a przecież Kalina Jędrusik nagrała ich blisko dwieście. Może kiedyś ktoś przygotuje pełne wydanie jej muzycznego dorobku.

Oczywiście, sztuka Bojdy nie omija wątków filmowych biografii artystycznej Kaliny. Niestety, film jak wiadomo jej nie rozpieszczał, proponując w zasadzie role drugoplanowe i epizodyczne. Kolejne próby angażu do różnych produkcji kończyły się niepowodzeniem. Tak było na początku kariery w przypadku *Kanału* Wajdy, gdzie nie zagrała roli Stokrotki, czy komedii Chmielewskiego *Ewa chce spać*, w której ostatecznie otrzymała tylko epizod. Podobnie było przy okazji *Niewinnych czarodziejów*, *Jak być kochaną*, czy *Jutro premiera*, w którym zaśpiewała słynną piosenkę *I wciąż się na coś czeka*. Były jeszcze, chyba już dziś zapomniane: *Lekarstwo na miłość*, *Jowita* i kultowa, choć też tylko epizodyczna rola w *Ziemi Obiecanej*. O *Jowicie* Morgensterna powiedziała: „Miałam do zagrania interesującą kobietę Helenę, któ-

ra jest jeszcze młoda, a już stara, u progu szarości i rozgoryczenia”.

Te słowa mogłyby ilustrować zakończenie spektaklu Agaty Puszcz, gdy Kalina powoli opuszcza swą samotną wyspę, pozostawiając mit. Była na niej krótko, o wiele za krótko, by wszystko wyjaśnić, opowiedzieć, wyśpiewać. Przemknęła przez nią w żywiołowym, spontanicznym, lirycznym, subtelnym, czasem agresywnym *emploi*. Miała szczęście, że trafiła na Węgrzyn-Lichosyt, która, wykorzystując twórczo własną osobowość, styl, prezencję, zebrała część okrucichów rozbitego zwierciadła, rozrzuconego przez czas, w którym odbiło się jej życie, legenda.

Stanisław Dygat napisał kiedyś, przywołane w spektaklu, 10 przykazań dla swej żony, które miały stać się pomocne w odniesieniu przez nią sukcesu towarzyskiego. Z wrodzonej przekory nigdy się do nich nie stosowała, chociaż gdy-

by przeczytała trzecie, byłoby jej nieco lżej w codziennym zmaganiu z przeciwnościami losu: „Nie traktuj nigdy żadnej przykłej sytuacji, w której się znajdujesz, jako niezasłużonej krzywdy. Nie czuj się, a tym bardziej nie pokazuj jako ofiara. Kalkuluj natomiast z trzeźwym wyrachowaniem, jak złą sytuację odmienić na swoją korzyść. Na krzywdzących nie patrz z żalem lub nienawiścią. Patrz na nich z uznaniem jako na zręcznych (lub starających się być zręcznymi) graczy, badaj ich i podpatruj uważnie, wyznaczając błędy, które robią, i sposoby, którymi mogłabyś ich pokonać”. ■

Zuzanna Bojda
Wyspa Kalina
 reż. Agata Puszcz
 Teatr Polski Bielsko-Biała
 Premiera 30.11.2019



foto: Dorota Koparska



Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2020 rok!

Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*

Prenumerata roczna – 84 złote
Prenumerata półroczna – 42 złote
Prenumerata kwartalna – 21 złotych

*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

*

POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy		GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE	
nazwa odbiorcy cd.		UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE	
I.L. nr rachunku odbiorcy		0820300045111000004079490	
nr rachunku odbiorcy		0820300045111000004079490	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)		W P P L N	
nazwa zleceniodawcy		W P P L N	
nazwa zleceniodawcy cd.		PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA	
tytułem		"ŚLĄSK"	
tytułem cd.		"ŚLĄSK"	

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

pieczęć, data i podpisy(ły) zleceniodawcy

Oплата:

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy		GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE	
nazwa odbiorcy cd.		UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE	
I.L. nr rachunku odbiorcy		0820300045111000004079490	
nr rachunku odbiorcy		0820300045111000004079490	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)		W P P L N	
nazwa zleceniodawcy		W P P L N	
nazwa zleceniodawcy cd.		PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA	
tytułem		"ŚLĄSK"	
tytułem cd.		"ŚLĄSK"	

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

pieczęć, data i podpisy(ły) zleceniodawcy

Oплата:



NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Joanna Kotkowska

Jubileuszowy konkurs poetycki

CZĘSTOCHOWA. W dniach 7–9 listopada br. już po raz czterdziesty odbył się Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Haliny Poświatowskiej. Zaczęło się w 1974 roku dzięki kłobucko-częstochowskiej grupie poetyckiej im. W. Sebyły. Od 1991 roku organizatorem jest Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie.



Zdjęcie: Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie; fot. Sławomir Jodłowski

W tym roku na konkurs wpłynęły 203 zestawy, spełniające wymogi regulaminowe, czyli ponad 1000 wierszy. Oceniało je w dwóch kategoriach jury, w składzie: Joanna Orska, Wojciech Kass, Marcin Sendeki. Wśród poetów przed debiutem książkowym nagrody otrzymali kolejno: Agata Puwalska, Łukasz Barys, Rafał Piekarski. Publikacją wyróżniono też utwory Marty Pankiewicz-Piotrowskiej oraz Olgi Kędzi. W grupie Po debiucie nagrodzono: Jakuba Sęczyka (I miejsce), Michała Banaszaka oraz Marlenę Niemiec (II miejsce ex aequo), Dominika Żybertowicza, Annę Piliszewską (wyróżnienie). Opublikowano również utwory Pauliny Pidzik oraz Piotra Tomczaka.

Celem konkursu jest nie tylko ocena nadesłanych wierszy, ale również integracja środowisk literackich. W tym roku podczas spotkania rozmawiano z jurorami, zaprezentowano spektakl muzyczny w reżyserii i wykonaniu Małgorzaty Bańki Poświatowska. Właśnie kołom oraz Milczenie syren Michała Pepola (reżyseria, scenariusz i wykonanie) z udziałem Magdaleny Cieleckiej.

Kadrowanie Miasta

CZĘSTOCHOWA. Finał konkursu *Częstochowa w kadrze* odbył się 17 listopada w OKF „Iluzji”. W tym roku w jury zasiadli: Witold Szymczyk – wykładowca Wydziału Sztuki Operatorskiej Szkoły Filmowej w Łodzi, Janusz Mielczarek – fotografik, Tadeusz Piersiak – dyrektor Muzeum Częstochowskiego, a wcześniej m.in. kierownik kina Relax, Aleksander Wierny – naczelnik Wydziału Kultury, Promocji i Sportu UM Częstochowy.

Na konkurs zgłoszono dziesięć prac przygotowanych przez siedmiu autorów. Dominowały fabuły, ale pojawiły się również spoty reklamowe, teledyski, a nawet impresja. Najkrótszy obraz trwał prawie trzy minuty, żaden nie mógł przekroczyć 10 minut. Tak szeroka formuła konkursu pozwala zastosować rozmaite rozwiązania, a przede wszystkim pokazać miasto na wiele sposobów.

Jury doceniło fabuły, nagradzając: *Kamforę* Adama Kaziora (I miejsce), *Przyjaciela* Krzysztofa Magdziarza (II miejsce) oraz *Czerwoną bilę* Alicji Ziental (III miejsce). Wyróżnienie przyznano Bartoszewi Paludkiewiczowi za teledysk *Usta*, przygotowany do utworu zespołu uczniów ze szkoły podstawowej *Jedynka pod prądem*.

Trudno być słoniem

CZĘSTOCHOWA. Z okazji 81. rocznicy Nocy Kryształowej częstochowski Oddział Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce zaprosił 13 listopada na monodram Łukasza Staniszewskiego *Słoń*, w wykonaniu Dariusza Siastacza. Była to doskonała okazja, by powrócić do momentu, gdy ludność żydowska utraciła prawo do samostanowienia i gdy przestały się liczyć ich plany i pragnienia.

To opowieść człowieka, daremnie próbującego odnaleźć w sobie żyda, opisywanego w ówczesnej prasie i audycjach radiowych. Jest przeciętnym obywatelem, który lubi otaczać się pięknymi widokami. Nie wiemy, czym się zajmuje i kim jest. Wiemy, że lubi patrzeć na pięknych ludzi, a w domu ma piękną żonę. Pierwszym sygnałem zmian są goście pojawiający się w kawiarniach, gorzej ubrani i bardziej nerwowi. Stopniowo bohater traci prawo wstępu do rozmaitych przestrzeni, gdy tymczasem nowi ludzie pożądadają tego, co żydowskie.

Monolog nastawiony na słuchacza, skierowany do kogoś nieobecnego na scenie pana, przemieniał widzów w część opisywanego świata. To oni przecież będą musieli zastanowić się nad tym, jak pomóc współczesnym słoniom, a przede wszystkim nie dopuścić do kolejnych metamorfoz.

27 Pułk Piechoty

CZĘSTOCHOWA. W Pawilonie Wystawowym w parku im. S. Staszica wciąż można było zwiedzać wystawę *7 Dywizja Piechoty. Zapomniani Bohaterowie 1939*. Pokazano tu historię dywizji od czasu jej utworzenia rozkazem Dowództwa Okręgu Generalnego Kielce z dnia 9 maja 1919 aż do września 1939 roku. Dywizja broniła granicy z Niemcami, walczyła na Śląsku Cieszyńskim, brała udział w wojnie polsko-bolszewickiej.

W Częstochowie stacjonował 27 Pułk Piechoty, który powstał w listopadzie 1918 roku z Okręgowego Częstochowskiego Pułku Piechoty dowodzonego przez płk. Antoniego Jastrzębskiego. Po wybuchu II wojny światowej żołnierze pod dowództwem gen. brygady Janusza Gąsiorowskiego bronili miasta do 4 września. Wycofali się na rozkaz dowódcy Armii Kraków gen. Antoniego Szyllinga. Po latach zapomniano o tych wydarzeniach.

Wystawa jest doskonałą lekcją historii. W sali na parterze zgromadzono pamiątki i dokumenty osobiste żołnierzy oraz

zaprezentowano uzbrojenie polskiej armii międzywojennej. Pokazano umundurowanie, motor Sokół, karabin maszynowy oraz zasięki (te ustawiono na zewnątrz budynku), mapy, fotografie, podręczniki, obwieszczenie o mobilizacji z sierpnia 1939 roku.

Wytańczyć opowieść o starożytnym Egipcie

CZĘSTOCHOWA. 23 listopada w Klubie Politechnik odbyła się 19 premiera Częstochowskiego Teatru Tańca. Spektakl *Faraon* przygotowano na podstawie powieści Bolesława Prusa. Reżyserią, scenografią i, oczywiście, choreografią zajęli się Włodzimierz Kuca. To opowieść o nieudanych reformach w państwie nad Nilem podjętych przez Ramzesa XIII, który zostaje powstrzymany przez kapłana Herhora.

O starożytnym Egipcie przypominały elementy scenografii – zarys piramidy, posągi bóstw, tarcza słoneczna oraz schody będące także symbolem feudalnego ustroju. Unaoczniały one dystans między grupą rządzącą, faraonem i kapłanami, a niewolnikami. Wybrańcy swobodnie poruszali się między poziomami, inni próbowali się tam wdrzeć, licząc się z karą grożącą za naruszenie porządku. Poddani stanowili tłum pilnowany przez kilku dozorców. Przypominali żywą masę wypęczającą z za krat albo zalegającą na stopniach. Byli stłumioną energią, a szczególnie uciśnione zdawały się kobiety.

W przedstawieniu znajdziemy wiele przejmujących obrazów, zbudowanych za pomocą światła i ciała tancerzy. Ruch to przecież główna zaleta przedstawienia, a sceny zbiorowe eksponowały dynamikę i ogromny ładunek emocji, który ostatecznie nie doprowadził do przemiany świata.

Krótko

*zagrali: Rura – Pidżama Porno, Kękę, Luxtorpeda, Błazej Król; Teatr im. A. Mickiewicza – Marek Dyjak; Muzyczna Meta – Mery Spolsky; Filharmonia Częstochowska – Stare Dobre Małżeństwo; Muzeum Monet i Medali im. Jana Pawła II – Mateusz Pospieszalski;

*wystawili: MGS – Jarosław Koziara, Jagoda Woźny; MDK – Wiesław Żydek; OPK Gaude Mater – Marek Teleszyński;

*14 listopada w Muzeum Częstochowskim odbyła się promocja książki Zbysława Janikowskiego *Moja Częstochowa w PRL-u, mój PRL w Częstochowie*;

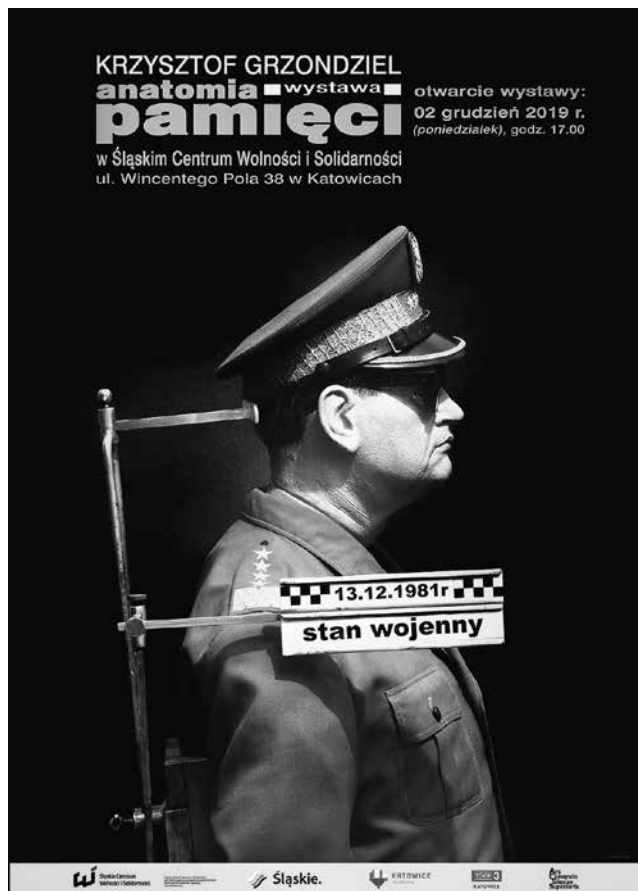
*22 listopada w Filharmonii Częstochowskiej z okazji jubileuszu 50 lat pracy Włodzimierza Krawczyńskiego wykonano wiersze Jana Twardowskiego do muzyki częstochowskiego kompozytora.

Nagroda im. Karola Miarki

KATOWICE. W Bibliotece Śląskiej 5 grudnia 2019 r. odbyła się uroczystość wręczenia Nagród im. Karola Miarki. Laureatami Nagrody są osoby upowszechniające kulturę i naukę, które w swojej pracy i twórczości nawiązują do idei wcielanych w życie przez patrona i wnoszą trwałe humanistyczne wartości do kultury regionalnej i narodowej. To prestiżowe wyróżnienie wręczane jest od ponad trzydziestu lat, nagrody przyznaje Zarząd Województwa Śląskiego corocznie trzem osobom na podstawie propozycji specjalnie powołanej komisji. Nagrody laureatom, w imieniu marszałka Jakuba Chelstowskiego, wręczyła sekretarz Województwa Śląskiego, Karolina Kosowska-Raczek. Wśród wyróżnionych tym zaszczytnym laurem w 2019 r. znaleźli się: **Józef Szypuła** – rzeźbiarz, artysta z kręgu Stowarzyszenia Twórców Ludowych; **Krystian Gałuszka** – śląski poeta i prozaik, dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rudzie Śląskiej; **Zbysław Janikowski** – autor książek, tekstów satyrycznych, wspomnień historycznych, znawca Częstochowy.

„Anatomia pamięci”

KATOWICE. Do końca lutego 2020 – w Śląskim Centrum Wolności i Solidarności, Katowice, ul. Wincentego Pola 38 – czynna będzie wystawa dzieł Krzysztofa Grzondzela „Anatomia Pamięci”. Prezentowane niżej zdjęcie nie jest fotomontażem, ale fotografią instalacji naturalnej wielkości, stojącej obok wielkich, wywierających potężne wrażenie płócien. Dla Grzondzela pamięć o stanie wojennym jest czynnikiem kształtującym estetykę. Artysta „nie zwalnia ręki”, malując to, o czym nigdy nie powinniśmy zapomnieć. Twórczości Krzysztofa Grzondzela poświęcimy więcej miejsca w następnym numerze „Śląska”.



Jarmark Bożonarodzeniowy

KATOWICE. W piątek 22 listopada rozpoczął się w Katowicach Jarmark Bożonarodzeniowy 2019. Prezentowane są m.in.: świąteczne ozdoby, figurki do stworzenia własnej scenografii bożonarodzeniowej, ceramika artystyczna, bombki szklane, świeczniki, anioły, bombki ręcznie malowane, artystyczne wyroby z drewna, szkła, ceramiki i minerałów, wyroby z papierowej wikliny, ozdoby dekorowane techniką decoupage, eko torby, ekoszyby, kalendarze adventowe, kartki świąteczne, świece rzeźbione, grawerowane łyżeczki z imionami, ręcznie malowane kufereki i szkatułki, wianki i bukiety oraz stroiki z suszonych owoców, kompozycje zapachowe, zabawki z drewna, biżuteria artystyczna ze stali szlachetnej, ikony i dewocjonalia, produkowane z polskiej wełny czapki, szaliki, rękawiczki i skarpetki, bogata galanteria skórzana. W jarmarkowych alejkach znajdziemy ręcznie zdobione pierniki, lizaki, czekoladowe figurki i narzędzia, szeroki wybór ziarnistych kaw i herbat ze Sri Lanki, domowe soki z malin, bzu i mniszka lekarskiego, naturalne miody pszczele, tradycyjne polskie wędliny z wieprzowiny, wołowiny i dzicyzny, wędliny litewskie i węgierskie. Nie zabrakło także szerokiego wyboru serów z Polski, Słowacji i Holandii. Pojawiły się

również oleje tłoczone metodą tradycyjną. Ponadto nalewki, likiery, miody pitne, wina z różnych stron świata, hiszpańską churros, czyli tradycyjne ciasteczka z czekoladą, belgijskie frytki z oryginalnymi sosami, ponadto owoce w czekoladzie, pieczone jabłka no i oczywiście tradycyjne przysmaki kuchni polskiej i śląskiej – śląskie tiramisu, smażone i gotowane pierogi, pieczone placki ziemniaczane, pajda chleba ze smalcem, smażonka, bigos z dzicyzną, kiełbaski i krupnioki z grilla, szaszłyki, śląski żurek. A na rozgrzewkę gorące napoje: grzane wina, grzany poncz, grzane piwo z browaru Czarter, miody pitne na gorąco oraz śląskie nalewki. Nowością wśród świątecznych napitków jest turbo poncz jagodowy oraz extra poncz z konopi. Było wiele atrakcji dla dzieci: Szopka Bożonarodzeniowa, domek św. Mikołaja, bańniowy pociąg i kraina bajek. Jarmark świąteczny trwał tradycyjnie do 23 grudnia.

Silesian Jazz Festival

KATOWICE. W Katowicach zorganizowano koncerty najciekawszych muzyków jazzowych z Polski i Europy. W tym roku na scenie Katowice Miasto Ogrodów oraz w Muzeum Śląskim wystąpili m.in.: wybitna duńsko-estońska saksofonistka Maria Faust z zespołem SHITNEY, genialny Kuba Więcek z najnowszym projektem MULTITASKING, a z okazji 50. rocznicy śmierci Krzysztofa Komedy hołd jego muzyce oddała młoda wrocławska formacja EABS. Festiwalowi towarzyszyła gala finałowa 6. edycji Międzynarodowego Konkursu na Kompozycję Jazzową oraz przyznanie tytułu Ambasadora Jazzu 2019.



Trzy powstania do Polski – lekcja historyczna

BYTOM. Śląskie Centrum Wolności i Solidarności wraz z Operą Śląską w Bytomiu organizuje spotkanie edukacyjne – lekcję historii, związaną z 100. rocznicą wybuchu powstań śląskich. Spotkanie pod hasłem „3 powstania do Polski” odbędzie się we wtorek 19 listopada o godzinie 11.00 w sali koncertowej im. Adama Didura. W programie: pieśni powstańcze w wykonaniu Chóru Dziecięcego Opery Śląskiej pod kierownictwem Oskara Zgoły. Wystąpią także prelegenci – Michał Dzióbek („Powstania śląskie – między marzeniami a realiami”) oraz Sebastian Rosenbaum („Wojciech Korfanty – między legendą a rzeczywistością”).

Konkursy wokalne

GLIWICE. 24 listopada 2019 w nowoczesnej hali Arena Gliwice odbył się **17. Konkurs Piosenki Eurowizji dla Dzieci**. Wokalna rywalizacja zakończyła się sukcesem 12-letniej Viki Gabor, reprezentującej Polskę piosenką *Superhero*. Gratulujemy zwycięzcy, a także organizatorom wydarzenia, które przysporzyło Gliwicom dobrej sławy.

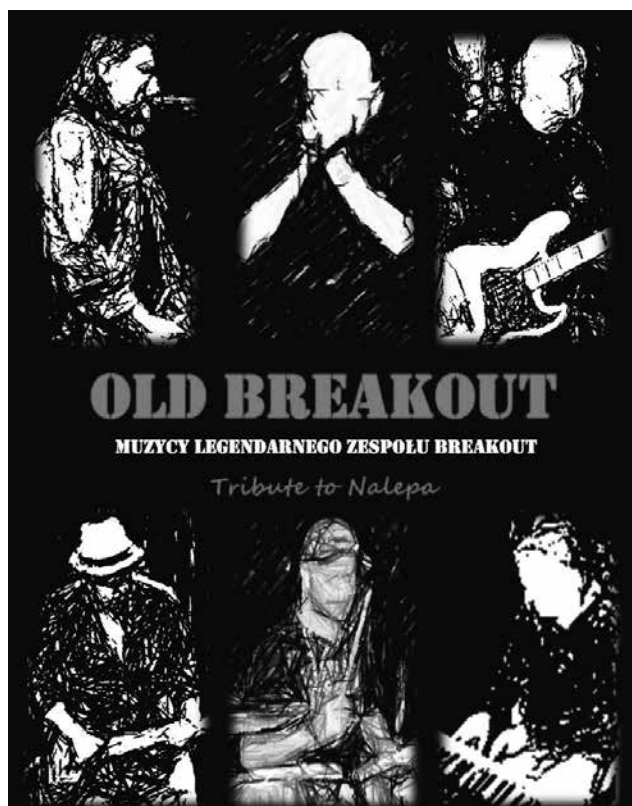
GLIWICE. Ogólnopolskie konkursy wokalne dla dzieci (i dorosłych) są organizowane w Gliwicach od roku 2009 przez Fundację „Rytm” najpierw jako **Festiwal Piosenki Młodych Artystów**, a następnie – do roku 2018 – jako **Festiwal Rytm Gliwice**. W roku 2019 formuła musiała się zmienić, a kierunek i charakter tych zmian wyjaśnia nazwa konkursu: **Ogólnopolski Festiwal Wokalny Osób z Niepełnosprawnościami „Zaczarowany Mikrofon”**. Wobec dużej liczby zgłoszeń – do września przeprowadzono kilka koncertów eliminacyjnych, a 19 października 2019 odbył się finał w Centrum Kultury Studenckiej MROWISKO z udziałem 30 wykonawców. Wobec sukcesu frekwencyjnego i artystycznego „Zaczarowanego Mikrofonu” – Fundacja Rytm zamierza kontynuować festiwal w nowej formule w następnych latach. Pełniejsze informacje o tym wydarzeniu na stronie fundacjarytmgliwice.pl.

7. Międzynarodowe Dni Henryka Mikołaja Góreckiego „ReGeneracje”

KATOWICE. Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” zorganizowała 7. Międzynarodowe Dni Henryka Mikołaja Góreckiego „ReGeneracje”. Henryk Mikołaj Górecki należy do grona najbardziej znaczących twórców XX stulecia: początkowo piewca awangardy, potem – przedstawiciel sztuki głęboko kontemplacyjnej, stawiający na pierwszym miejscu muzyczną tradycję oraz ograniczanie materiału muzycznego na rzecz głębokiego poznania istoty dźwięku, należącego do sfery sacrum. Kompozytor zmarł 12 listopada 2010 r. w Katowicach – jemu też poświęcone są Dni Henryka Mikołaja Góreckiego „ReGeneracje”. Podczas koncertu 17 listopada zabrzmiały nie tylko *Trzy utwory w dawnym stylu* jego autorstwa, ale również *VII Symfonia* odkrywanego w stulecie urodzin polskiego twórcy żydowskiego pochodzenia Mieczysława Weinberga, jak i *Serenada* na orkiestrę smyczkową op. 2 Mieczysława Karłowicza – w tym roku przypada 110. rocznica jego tragicznej śmierci pod Małym Kościołem. Wszystkie utwory wykonała Śląska Orkiestra Kameralna prowadzona przez znakomitego dyrygenta i skrzypka Roberta Kabare. Formacja cieszy się uznaniem na arenie międzynarodowej – jest zapraszana na wiele międzynarodowych festiwali, takich jak Festival Murten Classics, Le Festival des Voutes – Sud-Vendée, Schubertiade – Schloss Eyb, Crans-Montana Classics czy Muzyka w Starym Krakowie.

PIEKARY ŚLĄSKIE. Ośrodek Kultury „Andaluzja”, utworzony w wyniku radykalnego przeobrażenia dawnego Zakładowego Domu Kultury KWK „Andaluzja”, znów dał znać o swoim istnieniu. W minionych latach koncertowało tam sporo słynnych wykonawców bluesowych i rockowych z Wielkiej Brytanii i USA, w tym m.in. znakomite zespoły Ten Years After, Iron Butterfly, Cactus, Wishbone Ash, a także inni popularni na świecie artyści – Vernon Reid, Big Joe Turner czy też Fish.

Ich występy w piekarskim klubie były efektem osobistych starań dyrektora placówki, Piotra Zalewskiego, zapalonego miłośnika bluesa i klasycznego rocka. Od 14 lat kieruje on z powodzeniem „Andaluzją”. Koncerty licznych sław rockowych z całego niemal świata przyciągają do piekarskiego obiektu przy ul. Oświęcimskiej mnóstwo widzów z najodleglejszych nawet miejscowości Śląska, a także Małopol-



OLD BREAKOUT
MUZYCY LEGENDARNEGO ZESPOŁU BREAKOUT
Tribute to Nalepa
14.11.2019 g. 19:00
Ośrodek Kultury ANDALUZJA
PIEKARY ŚL., ul. Oświęcimska 45 www.okandaluzja.pl
e-mail: impresariat@okandaluzja.pl / tel. 32 284 56 20
cena biletu: przedsprzedaż - 40,00 zł
w dniu koncertu - 50,00zł
facebook

ski i Opolszczyzny. 14 listopada zagrała w klubie blues-rockowa formacja OLD-BREAKOUT, założona w roku 2013 przez dawnych muzyków z zespołu „Breakout” Tadeusza Nalepy. W trakcie dwugodzinnego koncertu przypomniła największe przeboje z bogatego dorobku Nalepy (1943–2007), uznawanego za ojca polskiego bluesa. Występ grupy został entuzjastycznie przyjęty przez publiczność. /Z.L./

Rybnickie Dni Literatury

RYBNIK. Manuela Gretkowska otworzyła cykl spotkań autorskich Rybnickich Dni Literatury w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Rybniku. Reportażystka zgromadziła w sali wykładowej biblioteki komplet publiczności. Wiele mądrych słów można było usłyszeć od prof. Normana Daviesa, który został powitany owacją na stojąco. Scenę, schody, a nawet parapet zajęli fani Mariusza Szczygła, by móc zobaczyć i posłuchać tegorocznego laureata „Nike”.

Zakorzenione w kulturalnym krajobrazie miasta Rybnickie Dni Literatury, organizowane od 50 lat z myślą o miłośnikach sztuki słowa, są doskonałą rekomendacją przedsięwzięcia, stawiającego sobie za cel wybór najlepszej pozycji książkowej minionego roku. **Górnośląska Nagroda Literacka Juliusz** to konkurs, który doskonale łączy przeszłość z teraźniejszością. W 2019 roku Kapituła Nagrody wybrała nominowanych do nagrody: *Kronika życia Michała Bułgako*wa Krzysztofa Tura, *Sen Kolumba* Emila Marata, *Kieślowski. Zbliżenie* Katarzyny Surmiak-Domańskiej, *Noblista z Nowolipiek* Marka Górlikowskiego oraz *Ota Pavel* Aleksandra Kaczorowskiego. Decyzją Kapituły Górnośląskiej Nagrody Literackiej Juliusz, w 2019 roku nagrodę otrzymał **Aleksander Kaczorowski** za książkę *Ota Pavel. Pod powierzchnią*. Gratulujemy laureatowi.

Pani Wanda Szmigiel ufundowała tablicę pamiątkową poświęconą Wojciechowi Korfantemu

KATOWICE. Mieszkancka Katowic zorganizowała uroczystość odsłonięcia tablicy upamiętniającej historyczne, mało znane wydarzenia, w Katowicach – Dąbrówce Małej, przy ul. gen. Le Ronda 56. Na podwórzu kamienicy, w której mieszka całe życie i przyległym do niego terenie w okresie plebiscytowym odbywały się gromadzące niezliczone tłumy wiece z osobistym udziałem Wojciecha Korfanteo. Fundatorka ma już 94 lata i chciała w ten sposób pozostawić po sobie ślad, jako ostatnia osoba, która relacje o tych wydarzeniach zna z ust ich bezpośredniego uczestnika.



fot. arch.

rzać wiedzę o dorobku i działalności Wojciecha Korfanteo. Instytut ma zacząć funkcjonować w nowej formule w 2020 roku.

Pomnik Wojciecha Korfanteo w Warszawie

WARSZAWA. Z udziałem najwyższych władz państwowych, ministrów, parlamentarzystów, posłów do Parlamentu Europejskiego, samorządowców oraz mieszkańców odsłonięto w Warszawie pomnik Wojciecha Korfanteo. Na uroczystość pociągiem „Powstaniec Śląski” pojechała blisko dwuosobowa delegacja z naszego regionu, której przewodniczył marszałek Jakub Chelstowski. W pociągu Kolei Śląskich, który dla upamiętnienia 100-lecia Powstań Śląskich kursuje po naszym regionie, jechali m.in. radni Młodzieżowego Sejmiku Województwa Śląskiego, poczty sztandarowe, przedstawiciele służb mundurowych, parafianie z diecezji z Szopienic, kombatanci, orkiestra górnicza, Zarząd Województwa Śląskiego oraz radni Sejmiku Województwa Śląskiego.

Uroczystości rozpoczęła msza święta w Bazylice Archikatedralnej pw. Męczeństwa św. Jana Chrzciciela w Warszawie, której przewodniczył metropolita warszawski kard. Kazimierz Nycz. Przed mszą prezydent RP Andrzej Duda złożył wieniec przed tablicą upamiętniającą Wojciecha Korfanteo, znajdującą się na ścianie bocznej kościoła.

Następnie uczestnicy uroczystości zgromadzili się przed pomnikiem Wojciecha Korfanteo, który stoi u zbiegu Al. Ujazdowskich i ul. Agrykola.



fot. Kancelaria Sejmu/Rafał Zambzowski

Przekształcenie Regionalnego Instytutu Kultury w Katowicach w Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfanteo

KATOWICE. Zarząd Województwa Śląskiego zdecydował o podjęciu działań zmierzających do przekształcenia Regionalnego Instytutu Kultury w Katowicach w Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfanteo. Marszałek Jakub Chelstowski poinformował opinię publiczną o planach utworzenia instytutu w obecności historyka, prof. Zygmunta Woźniczki.

„Instytut będzie nadal prowadził działalność w zakresie edukacji, kultury i dokumentowania zmian w kulturze, ale zostanie ona poszerzona o kwestie związane z osobą i działalnością Wojciecha Korfanteo. Powstanie specjalna pracownia, która będzie dokumentowała te dokonania i odzyskiwała dokumenty. Ta instytucja jest też nawiązaniem do obchodów stulecia wybuchu Powstań Śląskich” – mówił marszałek Jakub Chelstowski.

Marszałek podkreślił, że inicjatorem koncepcji jest historyk, prof. Zygmunt Woźniczka, specjalista w zakresie Powstań Śląskich. Zdaniem marszałka wciąż brakuje informacji o Wojciechu Korfantym i jego dokonaniach, a działalność instytutu ma wypełnić tę lukę w polityce historycznej prowadzonej na szczeblu regionu. Instytut ma być miejscem, gdzie wybitni specjaliści, historycy i naukowcy będą mogli posze-

Feliks Korfanty, wnuk Wojciecha Korfanteo, zaznaczył, że to bardzo wzruszający moment dla całej rodziny, ale i niepodległej Polski. Powiedział, że cieszy się, iż Wojciech Korfanty dołączył w ten sposób do innych polityków, którzy walczyli o Polskę. Uroczystego odsłonięcia pomnika dokonali prezydent RP Andrzej Duda, prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski i Feliks Korfanty. Następnie dokonano poświęcenia monumentu. Delegacje władz państwowych i samorządowych oraz przedstawiciele mieszkańców złożyli wieniec. Hołd Wojciechowi Korfantemu oddali m.in. prezydent RP Andrzej Duda, premier Mateusz Morawiecki wraz z ministrami, marszałek Jakub Chelstowski oraz samorządowcy z naszego regionu. Ostatnim punktem obchodów był występ Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. Wojciech Korfanty dołączył tym samym do alei Ojców Niepodległości obok m.in. Józefa Piłsudskiego, Romana Dmowskiego i Wincentego Witosa.

Moneta z okazji odzyskania niepodległości

KATOWICE. W gmachu Sejmu Śląskiego odbyła się uroczysta promocja monety „Stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości” – Wojciech Korfanty. W wydarzeniu uczestniczyła członkini Zarządu Województwa Śląskiego Izabela Domogała. Naro-

dowy Bank Polski w ramach serii „Stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości” wyemitował dwie monety kolekcjonerskie z podobizną Wojciecha Korfańtego. Jest to moneta złota o nominalnie 100 zł oraz srebrna o nominalnie 10 zł. Ich nakład jest limitowany. Wynosi odpowiednio 1500 szt. oraz 13 tys. szt.

Postać Wojciecha Korfańtego została umieszczona na rewersie. Za to awers zawiera wizerunek orła białego, nominal, rok emisji oraz napis „Rzeczpospolita Polska”.

Aspekty historyczne Powstań Śląskich

KATOWICE. Międzynarodowa konferencja naukowa poświęcona aspektom historycznym Powstań Śląskich i plebiscytu na Górnym Śląsku powinna pozwolić na ujęcie tej problematyki szerzej, ponadregionalnie. Zaproszono wybitnych historyków z Polski i zagranicy, zajmujących się dziejami pierwszej połowy XX wieku, by spróbowali przedstawić ówczesne wydarzenia nie tylko faktograficznie, ale i analitycznie, w kontekstach ogólnopolskim i ogólnoeuropejskim. Uznaniem, jakim ci wybitni naukowcy cieszą się w swoim środowisku, organizatorzy (Biblioteka Śląska w Katowicach) chcieli spopularyzować tematykę powstań śląskich jako zagadnienia ponadregionalnego, europejskiego „miejsca pamięci”, którym żyła dyplomacja prawie wszystkich znaczących państw europejskich oraz Stanów Zjednoczonych w momencie tworzenia Państwa Polskiego.

Premiera filmu

KATOWICE. Regionalny Instytut Kultury w Katowicach realizuje film *Józefa Bramowska. Senatorka ze Śląska* upamiętniający postać J. Bramowskiej (1860–1942), działaczki społecznej, propagatorki polskości Śląska, przewodniczącej Zarządu Głównego Towarzystwa Polek na Śląsku, senatorki RP. Józefa Bramowska, urodzona w Żyglinie, była postacią publiczną, działaczką społeczną oraz propagatorką czytelnictwa, stroju śląskiego, żoną i matką pięciu synów. Film zwraca uwagę na ciekawą, miejscami dramatyczną historię życia śląskiej kobiety w trudnym momencie dziejowym. Przez pryzmat historii ukazuje postawę i wybory śląskich kobiet.

Pamięci Elwiry Kamińskiej

KOSZĘCIN. Dla Zespołu „Śląsk” dzień 9 grudnia każdego roku jest szczególnie ważny. Przywołuje pamięć o **Elwirze Kamińskiej** – wybitnej choreograf i pedagog, która, przekraczając wraz ze **Stanisławem Hadyną** w lipcu 1953 roku bramy koszęcińskiego pałacu, tworzyła historię powstania oraz działalności Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”.

Największe zasługi dla „Śląska” oddała w zakresie swojej pracy – tańca. Stworzyła wyrazisty, dynamiczny styl grupy baletowej. Wyznaczyła kierunek i ukształtowała warstwę taneczną w pierwszych programach artystycznych Zespołu. Efektem jej pracy był również dobór kostiumów i dostosowanie ich do warunków scenicznych. Dziś żyje w pamięci członków Zespołu „Śląsk” i wielu osób związanych z tańcem. W uroczysty Dzień Pamięci Elwiry Kamińskiej wpisały się działania upamiętniające wybitną postać polskiego baletu. Delegacja Zespołu „Śląsk” złożyła kwiaty na grobie Elwiry Kamińskiej – w Katowicach, przy ulicy Francuskiej. Również w parku w Koszęcinie, przy symbolicznej ławeczce z postacią Elwiry Kamińskiej, złożono kwiaty i przypominano największe dokonania choreograf „Śląska”. Muzycznym wydarzeniem tego dnia był koncert „Baletki na Mikołaję”, dedykowany pamięci Elwiry Kamińskiej. Program koncertu obejmował interpretacje taneczne znanych utworów instrumentalnych Fryderyka Chopina, Josepha Bayera, Carla Orffa, Léo Delibes’a, Adolphe’a Adama oraz projekt choreograficzny Sebastiana Wiertelaka „Ikar, który skradł słońce”. Wydarzenie edukacyjne odby-

ło się w ramach zadania „Rok Stanisława Hadyny – powrót do korzeni” realizowanego ze środków finansowych Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

„Kawałek Polski w Ameryce” – Zespół „Śląsk” w trasie po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie

USA. KANADA. Od 5 grudnia chór i orkiestra Zespołu „Śląsk” na czele z Dyrektorem Zbigniewem Cierniakiem koncertuje w Stanach Zjednoczonych. Za nimi pierwsze koncerty w Linden, Ridgewood, Staten Island, Milford, Hartford i Webster. Spotkaniom z Polonią towarzyszą niezwykle emocje i wzajemne wzruszenia. Na artystów czeka publiczność w Webster w Massachusetts, jutro Albany – stolica stanu Nowy Jork oraz Syracuse. Zespół będzie występował także w Kanadzie. Komplety publiczności i owaacyjne przyjęcie to właściwie norma podczas wizyt w kolejnych miastach i kościołach, gdzie występują. W repertuarze tegorocznej, grudniowej trasy znalazły się najpiękniejsze polskie koledy i pastorałki oraz pieśni patriotyczne i ludowe przeboje Zespołu „Śląsk”. Wśród wielopokoleniowej publiczności można było zauważyć dużo osób w strojach ludowych, co jest najlepszym dowodem jak wielką wagę nasi rodacy za Oceanem przywiązują do podtrzymywania polskiej tożsamości. Koncert Zespołu „Śląsk” był dla nich świętem, któremu nadali wyjątkową oprawę. Grudniowe tournée chóru i orkiestry po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie otrzymało dofinansowanie ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Instytut Mikołowski obchodził swoje dwudziestolecie

MIKOŁÓW. W 1996 roku Paweł Targiel rozpoczął starania o przekształcenie mieszkania, w którym mieszkał w młodości Rafał Wojaczek w placówkę kulturalną. W 1997 roku z jego inicjatywy, z pomocą ówczesnego wiceburmistrza Mikołowa Mariana Sworzniaka, w miejscu zamieszkania Wojaczka otwarto instytucję,

XX-lecie
Instytutu Mikołowskiego
im. Rafała Wojaczka
(1999–2019)
21-22.11.2019

Bytem
Rafal

PROGRAM:

Dzień I – 21.11.2019, godz. 18:00

- Spotkanie autorskie Piotra Matywieckiego związane z premierą książki poetyckiej *Wszyscy inni* (wyd. IM, 2019)
- Spotkanie autorskie Tadeusza Ślawka związane z premierą książkowego eseju *Kafka. Życie w przestrzeni bez rozstrzygnięć* (wyd. IM, 2019)

Dzień II – 22.11.2019, godz. 18:00

- Spotkanie z Pawłem Dyblem związane z premierą książki *Ziemszczy, słoneczni, ciocieni. Eseje o polskich postach współczesnych* (wyd. IM, 2019)
- Spotkanie z Dariuszem Pawelcem – autorem antologii poeów śląskich *Tropy „Na Dzikę”. Postantologia* (wyd. Ars Cameralis, 2019)

Instytut Mikołowski
ul. Konstytucji 3 Maja 18
43-100 Mikołów
www.instytutmikołowski.pl

która zajęła się działalnością kulturotwórczą i prowadziła również działania o charakterze promocyjnym dorobku kulturalnego miasta. Instytut Mikołowski uzyskała status prawny z początkiem roku 1999. Od otwarcia placówki, aż do swojej śmierci funkcję dyrektora Instytutu pełnił poeta i redaktor naczelny „Arkadii. Pisma katastroficznego” – Paweł Targiel, a współpracownikami byli poeci: Maciej Melecki (obecnie Dyrektor Instytutu), Krzysztof Siwczyk (Obecnie Zastępca Dyrektora) i Arkadiusz Kremza. Efektem tych wszystkich dwudziestu lat, jakie upłynęły w kwietniu 2019 r. od momentu powstania instytucji, jest osiągnięcie rangi miejsca wyjątkowego w skali kraju, albowiem nieczęsto się zdarza, by w tak małym mieście – jakim jest Mikołów względem, chociażby, miast ościennych – udało się, dzięki ogromnemu zapałowi ludzi pracujących i współpracujących z IM, stworzyć magnetyczne miejsce dla miłośników literatury i sztuki z całego kraju. Niezależność działań, której IM od początku hołdował, daje spore możliwości oferowania odbiorcom szerokiego spektrum indywidualnych aktywności poszczególnych twórców. W 2018 r. Instytut przeniesiony został do willi przedwojennego burmistrza Jana Koja przy ul. Konstytucji 3 Maja 18. Tam odbyły się obchody tego porcelanowego jubileuszu z spotkaniami poetyckimi z Pawłem Matywieckim i Tadeuszem Sławkiem oraz Pawłem Dyblem i Dariuszem Pawelcem.



III Międzynarodowe Forum Literackie – XXX Najazd Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu

OPOLE, BRZEG, ROGÓW OPOLSKI. Międzynarodowe Forum Literackie – XXX Najazd Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu „Wybitne osobowości świata kultury i nauki na drodze” organizowany przez Stowarzyszenie Współpracy Polska-Wschód, Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego, Wojewódzką Bibliotekę Publiczną im. E. Smółki w Opolu. W Najeździe wzięli udział przedstawiciele środowisk twórczych, kulturalnych i naukowych z Białorusi, Czech, Litwy, Niemiec, Rosji, Ukrainy, Węgier i Polski. Tegoroczny Najazd miał szczególny charakter ze względu na setną rocznicę odzyskania niepodległości. W Brzegu, w Zamku Piastów Śląskich, narodziła się idea Najazdu Poetów i tam Najazd Poetów także i w tym roku się odbywał. Podążano przede wszystkim szlakiem przywracania śląsko-kresowej pamięci. Mówiono na spotkaniach o wybitnych postaciach, które zasłużyły się dla polskości, zasłużyły się dla Śląska. W trakcie wydarzenia swoje wiersze prezentowali doświadczeni artyści mieszkający zarówno w Polsce, jak i poza jej granicami. Organizator najazdu Janusz Wójcik wskazuje, że jednym z celów imprezy od zawsze było podkreślanie jedności pomiędzy Polakami rozsianymi po całym świecie.

Mural oddający hołd Kazimierzowi Kutzowi

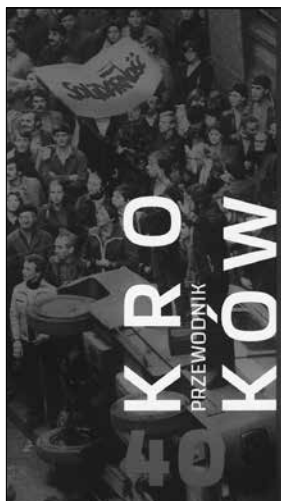
KATOWICE. Mural oddający hołd Kazimierzowi Kutzowi, wykonany według projektu jednego z najwybitniejszych artystów nieprofesjonalnych Erwina Sówki, odsłonięto w katowickiej dzielnicy Szopienice, skąd pochodził zmarły w ubiegłym roku reżyser. Samorząd Katowic stara się obecnie o pozyskanie pobliskiego budynku, w którym przed laty mieszkał Kutz, pod kątem zaaranżowania w nim miejsca spotkań środowisk twórczych, czegoś w rodzaju upamiętniającej wybitnego szopienicznina kawiarni artystycznej. Mural przedstawia Kutza dosiadającego konia, który unosi się na podeście z przytwierdzonymi zamiast kół rolkami taśmy filmowej, ponad przemysłowym krajobrazem Szopienic. Inicjatorem wykonania dzieła był katowicki oddział „Gazety Wyborczej”; partnerem przedsięwzięcia jest samo-

urząd Katowic. Mural powstał na ścianie szczytowej kamienicy przy ul. Wypoczynkowej, należącej do wspólnoty mieszkaniowej, której członkowie chętnie wyrazili zgodę. Miasto, które prócz udziału organizacyjnego, współfinansowało powstanie muralu wskazuje, że znajduje się on przy odnawianym właśnie szopienickim Parku Olimpijczyków – wpisuje się więc w rewitalizację dzielnicy. Miasto chce urządzić tam nie tyle np. muzeum, lecz miejsce spotkań środowisk twórczych, dyskusji, rodzaj kawiarni artystycznej.

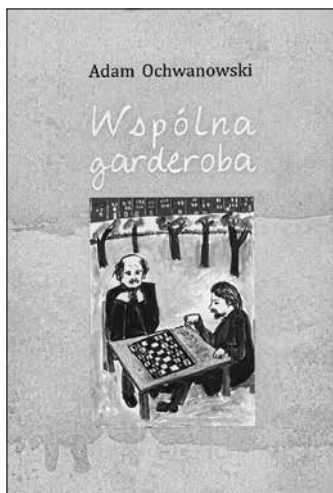
Zdzisław Pyzik i Stanisław Hadyna uhonorowani w Siewierzu

SIEWIERZ. Z okazji 100. rocznicy urodzin Stanisława Hadyny Sejmik Województwa Śląskiego ogłosił rok 2019 Rokiem Stanisława Hadyny. Symbolicznym odsłonięciem pomnika Stanisława Hadyny i Zdzisława Pyzika – twórców pieśni *Od Siewierza* – społeczność Miasta i Gminy Siewierz włączyła się w obchody stulecia urodzin wybitnego twórcy. Honorowy Patronat nad przedsięwzięciem objął Marszałek Województwa Śląskiego Jakub Chełstowski. W wydarzeniu wzięli udział krewni Zdzisława Pyzika – wnuczka pisarza dr Katarzyna Węgrzyn oraz prawnuk Mateusz Węgrzyn, Zastępca Dyrektora Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” Tomasz Janikowski wraz z delegacją artystów oraz zaprzyjaźniona z rodziną Pyzików prof. zw. dr hab. Grażyna Szewczyk. Obecny był także pochodzący z Krakowa Marek Maślaniec, autor dwóch rzeźb, które znajdują się na siewierskim Rynku – ławeczki Pyzika i Hadyny oraz „tańczących panien” na fontannie. Sylwetkę twórczą założyciela Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” przedstawiła prof. zw. dr hab. Grażyna Barbara Szewczyk – skandynawistka, germanistka, polonistka. Profesor G.B. Szewczyk podzieliła się również swymi osobistymi refleksjami i wspomnieniami o Zdzisławie Pyziku, z którym łączyła jej ojca Wilhelma Szewczyka (1916–1991) przyjaźń ze szkolnych lat. O swoim dziadku Zdzisławie opowiadała dr Katarzyna Węgrzyn – socjolog, redaktorka jedynego opublikowanego w roku 2002 zbioru wierszy i piosenek Zdzisława Pyzika *Pyk, pyk z fajeczki...* Stanisław Hadyna i Zdzisław Pyzik swoim popularnym, powszechnie lubianym utworem zaskarбили sobie serca wszystkich mieszkańców Śląska i księżęcego grodu. ■

KSIĄŻKI NADESŁANE



140 kroków. Przewodnik po miejscach związanych z działalnością opozycji antykomunistycznej w PRL na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Wybór i opracowanie: Karol Chwastek, Michał Dzióbek, dr Marek Lyszczyna, Sebastian Reńca. Wydawca: Śląskie Centrum Wolności i Solidarności, Katowice.



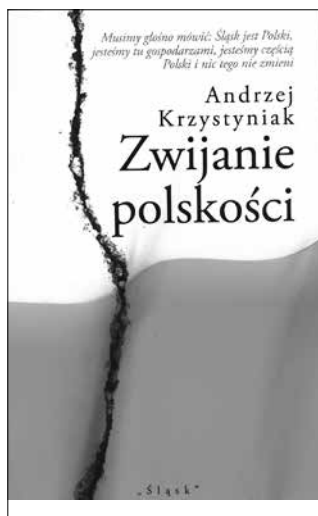
Adam Ochwanowski. *Wspólna garderoba*, wydawca: Instytut Kultury Ireneusza Ślusarczyka, Jędrzejów 2019.



Arkadiusz Frania. *Osobowości i osobliwości. Z życia literackiego współczesnej Częstochowy*. Wydawca: Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2019.



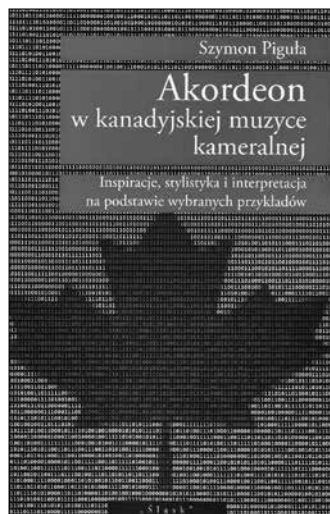
Arkadiusz Frania. *Oset*. Wydawca: Norbertinum, Lublin 2019.



Andrzej Krzystyniak. *Zwijanie polskości*. Wydawca: „Śląsk” sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.



Janusz Sztumski. *Wstęp do metod i technik badań społecznych*. Wydanie ósme poprawione i uzupełnione. Wydawca: „Śląsk” sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.



Szymon Piguła. *Akordeon w kanadyjskiej muzyce kameralnej. Inspiracje, stylistyka i interpretacja na podstawie wybranych przykładów*. Wydawca: „Śląsk” sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2019.

„Śląsk” w Japonii

AGNIESZKA KUKUŁA

1 Z okazji 100-lecia nawiązania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a Japonią – z trzydziestoma koncertami dla osiemdziesięciu tysięcy widzów – Zespół „Śląsk” odwiedził osiemnaście miast w niemal wszystkich regionach Kraju Kwitnącej Wiśni. 20 listopada Zespół „Śląsk” zakończył swój sześciotygodniowy pobyt w Japonii koncertem w Tokio. Na widowni Nakano Sunplaza Hall zasiadło wielu znakomitych gości specjalnych, a wśród nich ponad 30 przedstawicieli korpusu dyplomatycznego z całego świata. Jest bowiem ciekawą tradycją, że każda pierwszoligowa trasa koncertowa w Japonii kończy się koncertem dla służb dyplomatycznych akredytowanych w tym kraju. Ambasador RP w Japonii, pan Paweł Milewski w swoim wystąpieniu podkreślał wielkie zasługi Zespołu dla kultury polskiej, a także cenną rolę, jaką Zespół „Śląsk” odgrywa w relacjach międzynarodowych jako ambasador kultury polskiej na świecie.

Tego samego wieczoru dyrektor **Zbigniew Cierniak** uhonorował założyciela firmy Min On, pana **Daisaku Ikedę** – organizatora japońskiego tournée – nagrodą specjalną Zespołu „Śląsk”, statuetką „Maecenas Silesiae”. Wyróżnienie, przyznawane mecenasom i przyjaciółom „Śląska”, wręczone zostało w podziękowaniu za znakomitą organizację japońskiej trasy, z wdzięcznością za owocną współpracę oraz w uznaniu zasług w budowaniu polsko-japońskiego dialogu kulturowego. Przekazując słowa wdzięczności, dyrektor podkreślił, iż obie instytucje łączą wiele cech wspólnych, wskazujących na szacunek i dbałość o kulturę i sztukę, a wieloletnie przygotowania i ostateczny sukces tegorocznej trasy są wspaniałym przykładem wymiany kulturalnej, której beneficjentem pozostaje japońska publiczność.

Wielka trasa koncertowa rozpoczęła się 15 października 2019, po 15 latach od ostatniej wizyty. Pierwszy koncert odbył się w Takasaki – mieście, które podczas przyszłorocznych Igrzysk Olimpijskich w Tokio będzie gościć polską reprezentację. Na koncertowej mapie znalazły się m.in. takie miasta, jak: Nagoja, Hiroszima, Kioto, Osaka, Sapporo, Jokohama czy Tokio. Samolotami i ekspresowymi pociągami, w zmieniającym się wraz z krajobrazem klimacie artyści pokonywali

tysiące kilometrów, by z pełnym zaangażowaniem zaprezentować japońskiej publiczności piękno i bogactwo polskiej kultury. Gdziekolwiek się pojawili, czekały na nich sale wypełnione po brzegi i widzowie, którzy – zauróczeni tańcem i śpiewem – dawali się ponieść emocjom i głębokiemu wzruszeniu. Były owacje i łzy, wyrazy uznania i wdzięczności za to, że Zespół „Śląsk” pokazał Japończykom, jak dynamiczna i różnorodna jest polska kultura ludowa. Gospodarze zadbali o to, aby każdy koncert był w całości zachwycającym i niezapomnianym widowiskiem. Artyści mogli więc zawsze liczyć na znakomitą obsługę techniczną i prestiżowe sale, a sztuka baletu i chóru podkreślała przepiękna scenografia w postaci tła nawiązującego do polskiej kultury, skomponowanego z ręcznie malowanych ornamentów florystycznych i architektonicznych.

Pomimo różnorodności klimatycznej i kulturowej regionów, w których występował Zespół, to co bezsprzecznie połączyło odwiedzane miasta, to gorące przyjęcie przez japońską widownię. Na koncerty przychodziła wielopokoleniowa publiczność, która w naturalny sposób ulegała żywiołowości i energii płynącej ze sceny, entuzjastycznie przyjmując występy „Śląska”. Wykonywana na finał japońska pieśń *Jidai* za każdym razem wzruszała widzów, którzy często włączali się do wspólnego śpiewu. Ogromna sympatia, gościnność, podziw i szacunek, z jakim spotykali się artyści Zespołu, znajdowała także wyraz w zainteresowaniu lokalnych władz oraz mediów. Spędzony w tej atmosferze dzień 11 listopada był dla wszystkich – zarówno Polaków, jak i Japończyków – wyjątkowym świętem. Niezapomniane pozostaną spotkania, m.in. w Takasaki z młodym pokoleniem Japończyków z Kataoka Junior High School, w Hiroszynie z członkami Stowarzyszenia Miłośników Polskich Tańców Ludowych Państwa Yoshiaki i Yumiko Oka, w Kioto z amatorskim zespołem polskich tańców ludowych z regionu Kansai czy w Shunan z Chórem Dziecięcym Soka Crystal Choir.

Warto podkreślić, że współautorem wielkiego sukcesu japońskiego tournée Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”

jest Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które dofinansowało trasę koncertową. Dzięki tournée „Śląska” atmosfera świętowania jubileuszu 100-lecia nawiązania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a Japonią była wyjątkowa, a nawiązanie doskonałych relacji z partnerem japońskim wróży owocną współpracę także w przyszłości.

2. Po krótkim odpoczynku w Koszucinie, Zespół „Śląsk” odleciał do USA, gdzie koncertuje od 5 grudnia. Tegoroczna podróż Zespołu za Ocean to głównie przedświąteczne spotkania z Polonią. Zespół zawsze rodakom repertuar najpiękniejszych koled i pastorałek oraz pieśni patriotycznych i ludowych. Pierwszy koncert odbył się 5 grudnia w Linden w stanie New Jersey, w kolejnych dniach planowane jest spotkanie z publicznością w Nowym Jorku, a potem czekają już kolejne amerykańskie stany: Connecticut, Massachusetts, Michigan, Wisconsin i Illinois. Na trasie znalazły się także miasta w Kanadzie: m.in. Montreal, Ottawa, Hamilton, Mississauga czy Toronto. Ostatni koncert odbędzie się w Chicago. Większość koncertów zaplanowano w kościołach, część z nich to polskie parafie – miejsca spotkań Polonii. W sumie odbędzie się 20 koncertów. Od początku swojego istnienia „Śląsk” regularnie podróżuje po świecie, bywając także w Ameryce. Po raz pierwszy publiczność za Oceanem podziwiała artystów z Koszucina w roku 1959. Tegoroczna trasa koncertowa to już 15. podróż Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” za Ocean. Zespół wraca do Polski tuż przez Wigilią, 23 grudnia.

3. Współzałożycielka Zespołu „Śląsk”, choreograf **Elwira Kamińska** (1912–1983) otrzymała 2 grudnia swoją ławeczkę w koszęcińskim parku. Autorem projektu jest Marek Maślaniec, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, który stworzył także – odsłoniętą w siedzibie Zespołu w 2015 roku – ławeczkę profesora Stanisława Hadyny. Fundatorem pomnika jest rodzina pana Karola Cebuli, zmarłego w tym roku wielkiego przyjaciela Zespołu „Śląsk”, uhonorowanego w 2015 roku nagrodą specjalną „Maecenas Silesiae” za wielokrotnie okazywaną Zespołowi hojność i wsparcie działań programowych. ■



旅を続ける人々は
いつか故郷に出逢う日を



fot. Irek Dorożański



